

CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

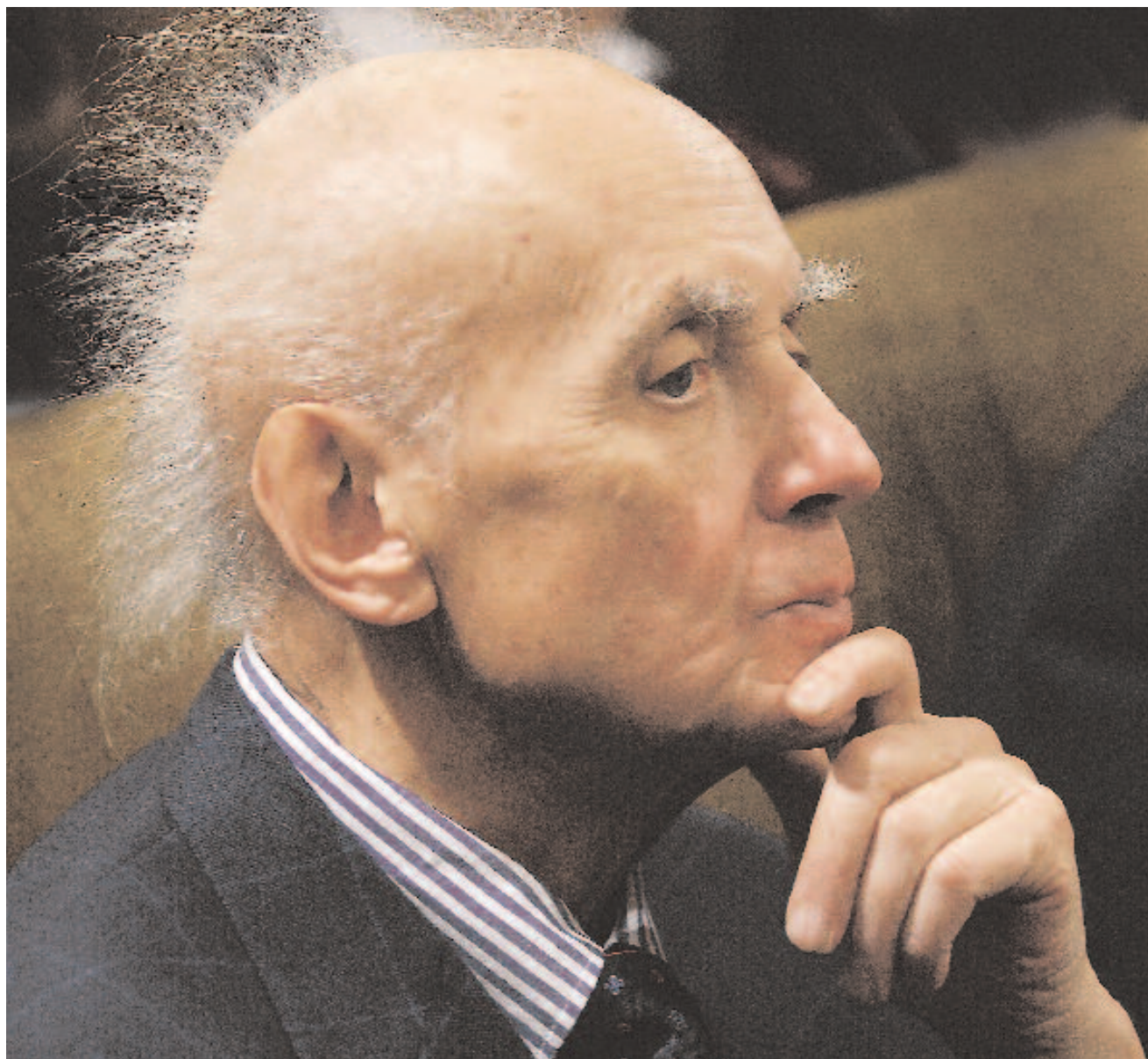
# ŚLĄSK

Nr 2 (219) • ROK XIX • LUTY 2014



mój KILAR

- Mirosław J. Błaszczyk • Andrzej Jasiński
- Tadeusz Kijonka • Leon Markiewicz
- Grzegorz Niemczuk • Violetta Rotter-Kozera
- Anna Sekudewicz • Jerzy Szymik
- Joanna Wnuk-Nazarowa • Krzysztof Zanussi
- Damian Zimoń



# Pożegnanie Wojciecha Kilara



Zmarłego 29 grudnia 2013 roku Wielkiego Kompozytora pożegnano 3 stycznia w jego macierzystej parafii, w kościele pod wezwaniem Najświętszych Imion Jezusa i Maryi w Katowicach-Brynowie.



Oficjalne uroczystości pogrzebowe odbyły się w Katedrze p.w. Chrystusa Króla i miały charakter państwowy. Obok najbliższej rodziny uczestniczyli w nich m.in. małżonka Prezydenta RP Anna Komorowska oraz przedstawiciele władz państwowych i samorządowych, politycy, reprezentanci związków twórczych.



Przy urnie z prochami Wojciecha Kilara zaciągnięto warty honorowe. Na zdjęciu: prof. Antoni Wit (z prawej) wybitny dyrygent, wieloletni dyrektor NOSPR i Filharmonii Narodowej oraz Jerzy Kornowicz prezes Związku Kompozytorów Polskich.



Wicepremier Elżbieta Bieńkowska żegnała Wielkiego Ślązaka ze Lwowa, człowieka, z którym – jak mówiła – mieliśmy zaszczyt mieszkać pod jednym, wspólnym, śląskim niebem.



W Katedrze zabrzmiały utwory Wojciecha Kilara w wykonaniu Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, Filharmonii Śląskiej, Orkiestry Kameralnej Miasta Tychy „Aukso” oraz Zespołu Śpiewaków Miasta Katowice Camerata Silesia. W ostatniej drodze Wojciechowi Kilarowi towarzyszył także Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” (na zdjęciu).



Urnę z prochami Wojciecha Kilara złożono w grobowcu, w którym w 2007 r. pochowana została jego ukochana żona Barbara. Ostatnie słowa pożegnania wygłosił metropolita katowicki abp Wiktor Skworec, który przewodniczył uroczystościom pogrzebowym. Pożegnała Go też rzewna muzyka beskidzkich górali.



Państwowy charakter uroczystości pogrzebowych podkreśliła obecność pocztów sztandarowych Wojska Polskiego i salwa honorowa.

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

# GRAŻYNA JANOTA

2012

*urodziłam się w pięknym kraju  
dzieciństwo było prawdziwe  
kochalam i byłam kochana  
zawsze mówiło się prawdę  
ludzie nie zazdrościli nie było co pożądać  
świat był prosty.*

*później zagrali na górze  
inaczej niż chciała reszta.  
posypały nieudane lata.  
dać by mieli jeszcze więcej. odebrać  
by mieli mniej. kłamać tak by  
uwierzyli że to prawda gdy setny  
raz powtórzone. budować przepaść  
nie do przeskoczenia mur. tak  
podzielić by nic nie zostało.  
łgać pluć i zaklinać na Boga.  
z tamtego nic nie zostało.*

*moje dzieci już widziały  
choć nie powinny zły przykład z góry.*

*od wczoraj biedniejszym zabierają  
dzieci z kołyszek bo nie dębowe (ikeowe)  
a zwykle sklejki bez atestu.  
bez znaczenia mleko w piersi  
pępowina  
łożysko trzymane  
jak relikwie.*



Rys. Wojtek Łuka

**GRAŻYNA JANOTA** – urodzona w Tychach, ale już od najmłodszych lat mieszka w Mysłowicach. Zamężna, mama dwóch synów. Laureatka wielu konkursów poetyckich. 17 czerwca w MDK „Kosztka” w Katowicach odbyła się Poetycka Noc Świętojańska, podczas której ogłoszono wyniki XIV Ogólnopolskiego Turnieju Jednego Wiersza. Zwyciężczynią (Grand Prix) okazała się Grażyna Janota. Przed debiutem książkowym.

Nr 2 (219), Rok XIX, LUTY 2014 r.

WYDAWCA:  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO  
LITERACKIE W KATOWICACH  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
Tel. 32 253-62-21  
e-mail: gtl@gtl.home.pl  
www.gtl.org.pl

WSPÓLWYDAWCA:  
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA  
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1  
Tel. centr. 32 20 83 700  
informacja: info@bs.katowice.pl  
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

WITOLD TURANT  
redaktor naczelny

WIESŁAWA KONOPELSKA  
p.o. zastępcy redaktora naczelnego,  
sekretarz redakcji

MARIA SZTUKA  
dział kulturalny

BOGDAN WIDERA  
dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA  
dział graficzny

KATARZYNA BERETA  
redaktor periodyku internetowego  
www.slaskgtl.pl

MIROSLAW KORBEL  
nadzór techniczny i poligraficzny  
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

IRENA FALKIN-SIBIGA  
ANNA STRUMLIŃSKA  
korekta

ADRES REDAKCJI:  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
Tel./fax 32 206-82-71  
e-mail: redakcjask@onet.pl,  
msk.slask@gmail.com

DTP: STP „KorGraf”  
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12  
Tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48

Druk: PW „Tolek”  
DRUKARNIA JM. KAROLA MIARKI  
43-190 MIKOŁÓW, ul. Zwirki i Wigury 1

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji.

**Warunki prenumeraty:** poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł, półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

**Prenumerata zagraniczna:** poprzez Dział S.A. Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31 www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
jest dostępne w wersji elektronicznej  
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ  
pod adresem:

<http://www.sbc.org.pl/dlibra/publication?id=19462>

## W NUMERZE:

## PUBLICYSTYKA

5. *Bogdan Widera* DŁUGI POWRÓT BOHATERA
6. *Jan F. Lewandowski* PRZYPOMNIENIE SKARBU ŚLĄSKIEGO
10. *Marian Kisiel* LITERATURA: MARZENIE I ŚMIERĆ
13. *Zygmunt Barczyk* WYZWANIE
17. *Witold Turant* LAURY UMIEJĘTNOŚCI I KOMPETENCJI 2014
18. *Dorota Szatters* BARBARZYŃCA Z CHORZOWA
26. *Grażyna Barbara Szewczyk* O SZTUCE PIELEGNOWANIA NIEMIECKO-POLSKIEGO DIALOGU. ARCHIWUM LITERACKIE KARLA DEDECIUSA
28. *Grzegorz Sztołera* A PO CO CI TO BYŁO, ALOJZ!
32. *Katarzyna Bereta* WOKÓŁ PRZEMIAN W CHORZOWIE
37. *Leon Markiewicz* ŚLADEM FENOMENU WOJCIECHA KILARA
41. MÓJ KILAR: Mirosław Jacek Blaszczyk, Andrzej Jasiński, Leon Markiewicz, Grzegorz Niemczuk, Violetta Rotter-Kozera, Anna Sekudewicz, Jerzy Szymik, Joanna Wnuk-Nazarowa, Krzysztof Zanussi, Damian Zimoń
47. *Tadeusz Kijonka* TO BYŁ SZCZĘŚLIWY CZŁOWIEK

## FELIETONY

3. EDYTORIAL
25. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA  
*Marek S. Szczepański* DLACZEGO POLACY ZACZĘLI MIGROWAĆ (I)
31. ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA  
*Jan Miodek* W KOSZĘCINIE I W JEGO OKOLICACH
58. *Magdalena Dziadek* MIĘDZY NUTAMI. BOGUSŁAWSKI I KRZANOWSKI – MUZYKA NA AKORDEON. MUZYKA W CZĘSTOCHOWIE
59. *Henryk Bzdok* ANEGDOTY

## PLASTYKA

50. WALDEMAR ŚWIERZY (1932-2013)
51. *Wiesława Konopelska* ŚWIERZY – GIGANT NA ULICY
66. *Witold Kociński* RANY SIĘ ZABLIŹNIA
67. MAREK CHLANDA UZDROWISKO/SPA TOWN
76. *Michalina Wawrzyczek-Klasik* REFLEKSJA NAD FUNKCJĄ PLAKATU
76. *Bogdan Widera* BAJKOWO

## TEATR

55. *Danuta Lubina-Cipińska* JAKIE POKOLENIE, TAKI „LOT”
56. *Witold Kociński* BODO ŚPIEWA W SOSNOWCU
57. *Danuta Lubina-Cipińska* DEFEKACJA ROZRYWKI

## KSIĄŻKI

60. *Witold Turant* OBSERWOWANE Z ZIMNĄ KRWIĄ
61. *Michał Paweł Urbaniak* TAJEMNICE CHARLOTTE BRONTĚ
62. *Przemysław Pieniążek* NARODZINY LEGENDY
63. *Katarzyna Bereta* USAKRALIZOWANA PAMIĘĆ
64. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH

## POEZJA I PROZA

1. WIERSZ NA OTWARCIE  
*Grażyna Janota* 2012
16. *Grażyna Janota* WIERSZE
20. *Bogna Gliniecka* ODEGRAĆ ŻYCIE

## EKOLOGIA

52. *Jolanta Matiakowska* LASY DLA BUDŻETU

## STAŁE RUBRYKI

4. ŚLĄSKI MIESIĄC
49. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE. WOJCIECH KILAR I JEGO KATOWICE
65. Z ŻYCIA BIBLIOTEK  
*Hanna Przybyła* SPOTYKAMY SIĘ PRZY KAWIE
68. OPOLSKIE

## NOTATNIKI KULTURALNE

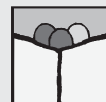
69. *Janusz Wójcik* OPOLE
70. *Wiesława Konopelska* KATOWICE
72. *Maria Szuka* ZAGŁĘBIE
73. *Jan Picheta* BIELSKO
74. *Joanna Kotkowska* CZĘSTOCHOWA
75. *Jacek Sikora* ZAOLZIE

## NA OKŁADCE:

*Wojciech Kilar*

## FOTOGRAFIA:

*Zbigniew Sawicz*





Fot. Bogdan Kulakowski

## *Drodzy Czytelnicy*

Określenia takie jak niepowetowana strata czy miejsce nie do wypełnienia, używane bez względu na wagę i znaczenie tego, co człowiek którego zabrakło rzeczywiście znaczył i jak ważna była jego twórczość, stały się tak banalne, że nie wiadomo za bardzo do czego się odnoszą. Jednak w przypadku Wojciecha Kilara, twórcy o znaczeniu światowym, trudno znaleźć inne, które lepiej określiłyby pustkę, jaką odchodząc zostawił. Jako niezwykle człowiek i jako artysta najwyższej próby. Dlatego też postanowiliśmy wraz z gronem osób, które go znały, spróbować odtworzyć jego sylwetkę. Josif Brodski w jednym ze swych esejów pisał o tym, jak ludzie w Wenecji podczas gęstej mgły pozostawiają za sobą coś w rodzaju tunelu odpowiadającego kształtem ich postaci. Trudno mi odnaleźć sytuację oddającą lepiej ślad we mgle naszej codzienności, jaki pozostawił po sobie ten wielki kompozytor. Z pewnością jego imieniem zostaną nazwane różne miejsca w publicznej przestrzeni, nie tylko Katowic i Śląska, by upamiętnić tę wyjątkową postać. Jednak uważamy, że warto naszych Czytelników zapoznać z wrażeniem, jakie wywarł na osobach, które miały z nim bliski kontakt, w nadziei, że coś z tych obrazów Wojciecha Kilara, jakie pozostały w ich świadomości pozostanie także w naszej pamięci, którzy znaleźmy go tylko w jednym wymiarze.

W lutowym wydaniu „Śląska” wspominamy także postać, która przez wiele lat zapomniana, zaczyna coraz wyraźniej wpisywać się w historyczny pejzaż Katowic. Henryk Sławik, działacz społeczny, dziennikarz, człowiek, któremu wielu Żydów zawdzięczało podczas wojny życie, staje się w przestrzeni publicznej miasta coraz bardziej widoczny, czemu służyć będzie także ogłoszony przez Radę Miasta „Rok 2014, rokiem Sławika”. Związane z obchodami wydarzenia będziemy dla Państwa relacjonować i komentować, nie zabraknie także historycznej oceny jego działalności. Już w tym wydaniu polecam Państwa uwadze interesujący szkic Bogdana Widery, poświęcony tej postaci. Chciałbym także zaproponować artykuł Grażyny Barbary Szewczyk o Karlu Dedeciusie, wielkim ambasadorze i popularyzatorze literatury i kultury polskiej w Niemczech. I, pozwolą Państwo, jeszcze jedno wspomnienie. Tym razem pióra Mariana Kisiela, o Stefanie Szymutce, postaci niezwykle ważnej dla życia umysłowego Śląska, badaczu, eseiście, a przez pewien czas także członku naszego redakcyjnego zespołu.

Osobom o mocnych nerwach, acz nie pozbawionym wrażliwości społecznej chciałbym jeszcze polecić wstrząsający autoreportaż Zygmunta Barczyka o swoim powrocie do społeczeństwa respektującego jego prawo do samostanowienia. Nie zabraknie w tym numerze poezji, której dostarczy nam skromny objętościowo, ale interesujący wybór wierszy młodej poetki Grażyny Janoty. Natomiast prozę reprezentować będzie goszcząca po raz pierwszy na naszych łamach Bogna Gliniecka. Historia wyjrzy do nas z artykułu Jana F. Lewandowskiego o mitach i prawdach związanych ze Skarbem Śląskim w okresie międzywojennym.

Jeśli do tej propozycji dodam sporo aktualnych relacji i komentarzy, sądzę, iż wolno mi będzie życzyć Państwu interesującej lektury.

WITOLD TURANT

■ **ZABRAKŁO** sztolni Czarnego Pstrąga w Tarnowskich Górach, jak i kopalni Guido w Zabrze, które w oficjalnej prezentacji na stronie internetowej Ministerstwa Kultury po prostu... nie istnieją. Jedyna polska kopalnia warta zwiedzenia to Wieliczka. A Śląsk to kraina tustych klusek leżąca u stóp Tatr. Takie farmazony zajmują warszawskich urzędasów od kultury. I te farmazony kosztowały pół miliona złotych. I to ma uczyć dzieci geografii. **BOŻE!** Poseł Plura mówi o ignorancji, natomiast Tarnowskie Góry zaprosiły ministra Zdrojewskiego do siebie, by go oświecić [choć może to raczej resort]. Minister zaproszenie przyjął.

■ **WYSTAWĘ** poświęconą pamięci zmarłego w listopadzie 2013 roku Antoniego Tomiczka (rocznik 1915), legendarnego pilota, wojennego bohatera, otwarto w Pstrążnej. Nosi tytuł „Nad płonąca Warszawa – długi lot do domu majora Antoniego Tomiczka”. Wystawę przygotowała dr Julia Dziwoki z Rybnika, która przez trzy lata zbierała materiały o tym niezwykłym Ślązaku, mieszkańcu Pstrążnej.

■ **DRUGIM** Nikiszowcem, zagłębiowskim „odpowiednikiem” tego miejsca, ma szansę stać się zabytkowe osiedle TAZ w Zawierciu, które powstało w XIX wieku przy nieistniejącej już przedziałni bawełny. W jego skład wchodzi nie tylko budynki mieszkalne, ale także m.in. pałacyk Szymańskiego, czy bazylika mniejsza. Koszt rewitalizacji oszacowano na 25 mln zł. Termin realizacji, jeśli wszystko się uda, to przełom 2015 i 2016 roku.

■ **BARBÓRKA** odbyła się w tym roku także u prezydenta Bronisława Komorowskiego, który zaprosił śląskich górników do stolicy. Grała górnicza orkiestra, odbyła się msza święta, byli notable z regionu oraz wyróżnieni medalami pracownicy kopalni. Nie udało się jedynie zorganizować w Pałacu Prezydenckim karczmy piwnej, bo zabrakło czasu.

■ **PREMIER** za to na Barbórkę przyjechał na Górny Śląsk, do podpszczyńskiego Suszca. Do ostatniej chwili wizyta premiera Donalda Tuska była utrzymywana w tajemnicy. Premier w towarzystwie wicepremier Elżbiety Bieńkowskiej w górniczym mundurze bawili się wybornie z górniczą bracją w sali suszckiego ośrodka kultury. A przedtem premier gościł na oficjalnym spotkaniu w kopalni Krupiński.

■ **ANDROMEDA**, byłe tyskie kultowe kino, zaczyna drugie życie, już nie związane z filmem (szkoda), ale kulturą. Stąd tajemna nazwa – „pasaż kultury”. Mieścić się tu będą m.in. klub muzyczny zdolny pomieścić i trzysta osób, kawiarnie i restauracje, galeria sztuki użytkowej na parterze, magazyny Miejskiej Galerii Sztuki „Obok” (w piwnicach). W czasie przebudowy, kosztującej 11,5 mln zł, odkryto pod posadzką kina nie zaznaczone w dokumentacji piwnice.

■ **STOWARZYSZENIE** Osób Narodowości Śląskiej zapowiedziało skargę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, jeśli „Sąd Okręgowy w Opolu podtrzyma decyzję Sądu Najwyższego i uniemożliwi nam legalną działalność”.

■ **PREMIER** zaś stwierdził kategorycznie, komentując kontrowersyjne orzeczenie SN, że „Ślązacy i Kaszubi to definitywnie Polacy”. Czy czeszy Ślązacy również, panie premierze?

■ **DRONY** są już wykorzystywane w Beskidach, ale w celach zupełnie pokojowych. Te niewielkie, zdalnie sterowane maszyny filmują z powietrza uroki pięciu gmin beskidzkich (Brennej, Istebnej, Szczyrku, Ustronia i Wisły), efekty ich pracy poznamy za pół roku. Film będzie ukazywał beskidzkie krajobrazy w ciągu czterech pór roku. W ten sposób stowarzyszenie Beskidzka 5, zrzeszające wymienione wyżej gminy, uczci swoje dziesięciolecie.

■ **KOLORYSTYKA** wewnątrz Twistów z bydgoskiej fabryki, które Tramwaje Śląskie zakupiły do swojego taboru, nie spodobała się potencjalnym pasażerom. Podróżnym bowiem wewnątrz Twistów kojarzą się ze szpitalem, a nawet... toaletą. Ma się to zmienić. Z zewnątrz śląskie tramwaje będą wszystkie takie same – czerwone.

■ **MINAŁ** rok od skandalu w Kolejach Śląskich. W ciągu 48 godzin od buńczucznych zapowiedzi okazało się, że spółka jest kompletnie nieprzygotowana do realizacji zadania, które jej powierzono. Za to spektakularną dysmisją zapłacił marszałek Adam Matusiewicz, a wcześniej stanowiska stracili prezes KS, jego zastępca oraz błyskotliwy twórca rozkładu jazdy. Sprzątanie trwa do dzisiaj. Straty finansowe sięgają na razie 60 mln zł. Trwa audyt w Inteko, spółce-córce śląskich kolei, a także śledztwo Prokuratury Okręgowej w Katowicach.

■ **KOLEJNĄ**, udaną operację przeszczepienia twarzy przeprowadzono w Centrum Onkologii w Gliwicach. Pacjentką była młoda kobieta.

■ **KUSZĄ** turystów bieżnijskie podziemia pod Wzgórzem Zamkowym otwarte w połowie grudnia. Atrakcji w podziemiach – a właściwie schronach wzniesionych w ostatnią wojnę przez władze niemieckie – nie zabraknie. Będzie tu i targ średniowieczny, i browar, i kopalnia, i cementownia a nawet zabytkowy tramwaj. Wszystko, jak będzie ciepłej...

■ **PAMIĘĆ** o wydarzeniach w kopalni „Wujek”, sprzed 32 lat już, nie ginie. Poza obchodami rocznicowymi upamiętniającymi wydarzenia z 16 grudnia [przypominajmy – oddziały wojska i milicji pacyfikując kopalnię zabiły 9 górników, a raniły 21], zadebiutowała cyfrowa

i multimedialna książka o wydarzeniach z „Wujka” [jej pomysłodawcą i współtwórcą jest Paweł Polański z Warszawskiej Szkoły Filmowej], którą bezpłatnie można pobrać ze strony internetowej Muzeum Izby Pamięci Kopalni Wujek.

■ **UPAMIĘTNIONO** także rocznicę pacyfikacji kopalni „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu Zdroju, jaka miała miejsce dzień wcześniej przed tragiczną pacyfikacją kopalni „Wujek” – dokładnie 15 grudnia 1981. Wtedy pluton specjalny Milicji Obywatelskiej po raz pierwszy od wprowadzenia stanu wojennego strzelał do strajkujących górników.

■ **TATUSIU**, możesz też chodzić w sukience – oznajmił maluch w rybnickich Chwałowicach ojcu [który nie był Szkotem] i... rozpełtało się piekło, genderowe na dodatek. Dyrektorka przedszkola, do którego chodził ten i inne maluchy została zaszczena po nawoływaniach z ambon do „antygenderowej” krucjaty. Nie pomogły tłumaczenia, że to zwykły uniorny program edukacyjny. Do akcji włączyli się politycy, nie zawsze fortunnie. A na budynkach dwóch przedszkoli w Rybniku-Chwałowicach rozwieszano plakaty z kopulującą parą i hasłem „Stop homo terrorowi. Chrońmy swoje dzieci! Chłopak + dziewczyna = normalna rodzina”. Boże, toć to wojna religijna...

■ **KULTURALNYM** wydarzeniem grudnia była niewątpliwie przedświąteczna promocja albumu „Domy i gmachy Katowic” autorstwa Michała Bulsy, Grzegorza Grzegorka (ten drugi jest również wydawcą i redaktorem książki) i Beaty Witaszczyk. Jest to kontynuacja cieszącej się powodzeniem, zesłarocnej publikacji „Ulice i place Katowic”. Dzięki nim można odbyć niezwykłą i sentymentalną podróż po katowickiej przestrzeni miejskiej. Wydawca zapowiada dodruk pierwszej części.

■ **ZWANY** „legendą Jasnej Góry”, paulin o. Jerzy Tomziński skończył 95 lat. To najstarszy pauliński mnich i jedyny żyjący w Polsce uczestnik Soboru Watykańskiego II. Dwukrotnie piastował urząd generała zakonu paulinów, trzykrotnie przeora Jasnej Góry.

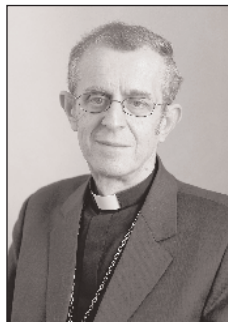
■ **WŁADZE** Zabrze kategorycznie zabroniły organizowania wiecu „Nie dla cygańskiej przestępczości w Zabrze”, który na 21 grudnia zapowiadało Narodowe Odrodzenie Polski i grupa Patriotów Górnik Zabrze. W Zabrze mieszka pół miliona Romów. Władze miasta obawiały się zaognienia sytuacji społecznej i niekontrolowanych rozruchów.

■ **SYLWESTER** i Boże Narodzenie były w tym roku beśnieżne. Intensywnych opadów należy spodziewać się na... Wielkanoc.

KRONIKARZ

Żegnamy z wielkim smutkiem

## Śp. bp. TADEUSZA SZURMANA (1954-2014)



Zwierzchnika katowickiej diecezji Kościoła ewangelicko-augsburskiego i zastępcę zwierzchnika tego Kościoła w Polsce, wybitnego duchownego, orędownika idei ekumenizmu, Ślązaka spod Cieszyna, który pokochał całą Śląsk z jego wielokulturowością i wieloreligijnością, wspaniałego Człowieka, poetę, przyjaciela naszego pisma, uhonorowanego tytułem Przyjaciel „Śląska”.

Zespół redakcyjny miesięcznika „Śląsk”

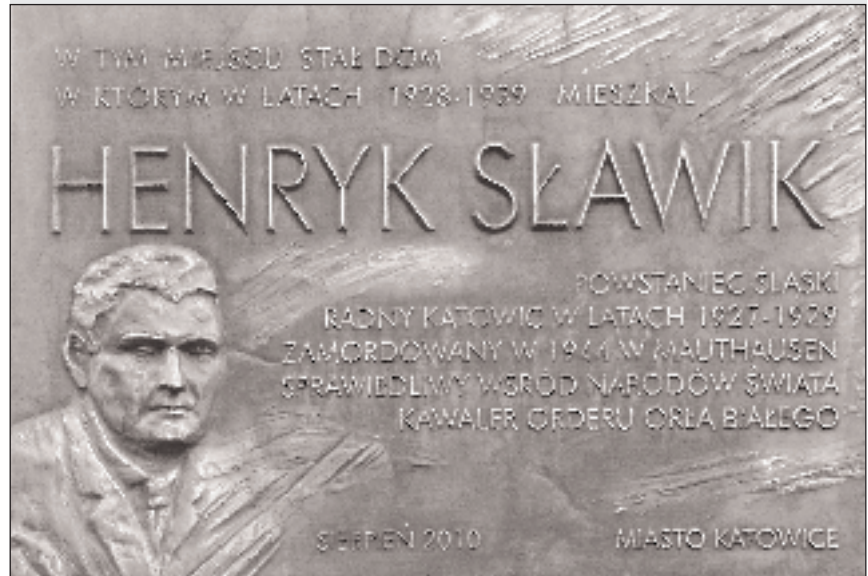
Jego Osobie i dziełu poświęcimy szkie w kwietniowym – świątecznym wydaniu naszego pisma.

## Sejmik Śląski zdecydował, że rok 2014 będzie w naszym województwie Rokiem Henryka Sławika

**P**raktycznie do 1988 roku Henryk Sławik pozostawał w Polsce a nawet na rodzinnym Śląsku postacią nieznaną. Wprawdzie w roku 1946 został patronem ulicy (dzisiejszej Zaburskiej), ale tylko przez kilka dni, ponieważ władza ludowa szybko się zorientowała, że to nie jest bohater na ten czas (jej czas). Bo jak można tak honorować delegata rządu Sikorskiego, posła do „sanacyjnego” Sejmu Śląskiego itd.? W dodatku Słazaka, czyli „element niepewny”. Jednak w roku 1968 jeszcze raz Sławik został wspomniany w „Głosie Pracy” w kontekście wydarzeń marcowych (Polacy ratowali Żydów, którzy okazali się niewdzięczni). W tekście pominięto zasadnicze szczegóły dotyczące bohatera, bo tkwił w nich diabeł, a nawet znacznie gorzej – Kościół katolicki. Sławik bowiem ratował od zagłady Żydów przy pomocy duchownych wystawiających im na polskie nazwiska metryki chrztu. Jego biografia też nie bardzo pasowała do akceptowanych wtedy wzorców, ponieważ był socjalistą dość antykomunistycznym. W swojej gazecie pisał o ZSRR – mówiąc eufemistycznie – mało entuzjastycznie. Powtórnie więc skazany został na przemilczenie. I musiało minąć kolejnych 20 lat, żeby zaczął powracać do społecznej pamięci. Dopiero wtedy pojawiły się pierwsze publikacje prasowe, następnie książki, podjęto także badania naukowe.

O życiu i działalności Sławika napisano już wiele, również w naszym miesięczniku ukazało się kilka tekstów, mimo to – przeprowadziłem taką prywatną sondę – wciąż pozostaje szerzej mało znany. Przypomnę więc bardzo skrótowo niektóre fakty z jego życiorysu. Urodził się w Szerokiej w rodzinie ubogiej. Skończył czteroklasową szkołę ludową, oczywiście niemiecką (w późniejszym czasie znajomość tego języka bardzo mu się przydała). Po I wojnie światowej i powrocie z rosyjskiej niewoli był powstańcem śląskim. W Polsce angażował się w działalność społeczną, oświatową, polityczną i dziennikarską. Zamieszkał w Katowicach przy ul. Św. Jana (kamienicę spalili radzieccy wyzwolicieli miasta). Został redaktorem naczelnym „Gazety Robotniczej” – organu PPS. Był dziennikarzem wojującym, polemizował zarówno z korfantowską „Polonią” jak i z prasą sanacyjną (zwłaszcza po przewrocie majowym). Interesowała go głównie tematyka społeczna (w „Czarnym ogrodzie” Małgorzaty Szejnert jest informacja o tym, jak bez urzędowych zezwoleń zjechał do kopalni, aby zrobić reportaż o strajkujących górnikach). Najważniejszy jest jednak czas II wojny światowej. Sławik, wpisany przez Niemców na listę do aresztowania, uciekł na Węgry. Tam spotkał Józsefa Antallą, delegowanego przez rząd Królestwa Węgier do opieki nad polskimi uchodźcami, który zaproponował mu współpracę, dzięki czemu mnóstwo Polaków udało się uratować a nawet przenieść do polskich sił zbrojnych na Zachodzie. W tym też czasie zaczęła się ich wielka akcja ratowania Żydów uciekających z Polski. Było wśród nich wiele dzieci (wiadomo ze świadectw, że niektóre z nich wyrzuciły z pociągów matki wzięzione do obozów koncentracyjnych). A one przetrwały wojnę dzięki stworzonemu przez Antallę i Sławika sierocińcowi niby dla dzieci polskich oficerów. Pomagali księża wystawiający świadectwa chrztu. Ocalały tysiące. Zdradzony Sławik, mimo tortur, nie wydał Antallę. Został stracony w Mauthausen w 1944 roku.

Od osób dobrze poinformowanych wiem, że nasz bohater wrócił do Katowic przez Węgry, tam go odkryto wcześniej i doceniono.



Tablica pamiątkowa poświęcona Henrykowi Sławikowi usytuowana przy ulicy św. Jana w Katowicach.

# Długi powrót bohatera

Być może dlatego, iż József Antall, syn Józsefa – przyjaciela Sławika, został premierem Węgier po 1989 roku. Mniej więcej w tym samym czasie poszukiwanie rodziny swojego wybawcy zaczyna Henryk Zvi Zimmermann z Izraela. Odnajduje ją (matka przeżyła obóz a córkę odnalazł i wyekspediował do Katowic Antall. Niedługo potem, w 1990 roku instytut Yad Vashem nadał pośmiertnie Sławikowi medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”.

Powrót naszego bohatera na Śląsk następuje jednak tak naprawdę dopiero w 2004 roku. Wtedy to Rada Miasta Jastrzębia podejmuje uchwałę o nadaniu imienia Henryka Sławika Gimnazjum nr 3, a na katowickim cmentarzu przy ul. Sienkiewicza zostaje wmurowana tablica pamiątkowa. W roku 2008 Jastrzębie ma już ulicę imienia bohaterskiego Słazaka, a w Katowicach powstaje stowarzyszenie HENRYK SŁAWIK – ŻYCIE I DZIEŁO. Ukazują się kolejne publikacje, odbywają wykłady i naukowe seminaria. W lutym roku 2010 w czasie organizowanego przez Urząd Miasta i Stowarzyszenie „Dnia Węgierskiego w Katowicach” przydział RP Lech Kaczyński dekoruje pośmiertnie Henryka Sławika Orderem Orła Białego, a Józsefa Antallę Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. W uroczystości uczestniczy prezydent Węgier László Solyom. O to odznaczenie apelowało do prezydenta Stowarzyszenie, a inicjatywę poparł metropolita katowicki abp Damian Zimoń. Kolejne uroczystości odbywają się od tej pory w Katowicach i na Węgrzech. Zaś w Warszawie, parku wilanowskim, posta-

dono trzy lipy ku czci Sławika, Antalla i Wallenberga, którzy w czasie II wojny światowej nieśli ratunek Żydom na terytorium Królestwa Węgier. W uroczystości udział wzięli ambasadorowie Szwecji, Węgier i Izraela oraz wiceprezydent Katowic. W rok później prezydenci Bronisław Komorowski i Janos na terenie obozu Mauthausen odsłoniли tablicę upamiętniającą zamordowanego tam Sławika i innych członków Komitetu Obywatelskiego. W akcie tym uczestniczyła delegacja Miasta Katowice oraz wnuk bohatera Zbigniew Kutermak.

Wiceprezydent Miasta Katowice Michał Luty od którego uzyskałem wiele z wykorzystanych w tym tekście informacji, mówi mi również, że Henryk Sławik i József Antall będą mieli w Katowicach swój pomnik. Ma stanąć przed budowanym centrum kongresowym. To bardzo dobrze. Dla Katowic, ale też sprawiedliwości dziejowej. Bo przesładuje mnie myśl, jak bardzo nie potrafimy „sprzedać” światu naszej historii. Albo nie chcemy, bo decydują jakieś partykularne względy polityczne. Schindler, który uratował mniej Żydów niż Sławik został przez film Spielberga wypromowany wszędzie. Wallenbergowi z dyplomatycznym paszportem na pewno było łatwiej niż uchodźcy ze Śląska. Niestety w wielu wydanych u nas publikacjach już w tytule ogłaszano: „polski Wallenberg”, „śląski Wallenberg”, a przecież była szansa, żeby ktoś napisał „Wallenberg – szwedzki Sławik”.

BOGDAN WIDERA

JAN F.  
LEWANDOWSKI

Czy ktoś jeszcze wie, co to była tangenta? Przywołujemy nieraz dobrodziejstwa przedwojennej autonomii, lecz mało kto wie, jak działała ona praktycznie w sferze finansowej.

# Przypomnienie Skarbu Śląskiego



*Drapacz chmur w Katowicach, w którym miały siedzibę różne agendy skarbowe.*

W Statucie Organicznym Województwa Śląskiego z 1920 roku przewidziano utworzenie osobnego Skarbu Śląskiego, który oddzielono od Skarbu Państwa. W ten sposób autonomia śląska miała trwałą podstawę finansową, a Sejm Śląski dysponował własnymi funduszami, które wydatkowano zgodnie z jego wskazaniem, czyli z ustawami budżetowymi. Dochody Skarbu Śląskiego oparte były na ogólnych ustawach podatkowych Rzeczypospolitej.

Jednak podatki i inne opłaty publiczne wędrowały nie bezpośrednio do Warszawy, lecz właśnie do Skarbu Śląskiego, który posiadał własną administrację podatkową. Nie było w Katowicach państwowej Izby Skarbowej, jak w innych województwach. Pobieranie podatków należało do Śląskiego Wydziału Skarbowego Urzędu Wojewódzkiego, który przyjmował wpływy nie tylko dla Skarbu Śląskiego, lecz ponadto dla Skarbu Państwa w Warszawie. Niemniej administracja Śląskiego Wydziału Skarbowego opłacana była w całości z budżetu autonomicznego województwa śląskiego.

## Tangenta

Dopiero w następnej kolejności Skarb Śląski rozliczał się ze Skarbem Państwa w Warszawie, przekazując mu corocznie część dochodów na potrzeby ogólnopństwowe, stosownie do liczby mieszkańców województwa śląskiego i jego siły podatkowej. Przekazywaną do budżetu ogólnopolskiego kwotę nazywano tangenta. Jej wysokość ustalano corocznie pomiędzy rządem polskim i Śląską Radą Wojewódzką, na podstawie specjalnego wzoru wyliczeniowego.

Relacje finansowe między Skarbem Państwa i Skarbem Śląskim należały zatem do fundamentalnych zagadnień autonomii. Jednak w projektach Statutu Organicznego, które w 1920 roku trafiły do Sejmu Ustawodawczego w Warszawie, nie ustalono ich precyzyjnie. Dzięki wspomnieniu Pawła Kempki z Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego w Bytomiu wiemy, że na początku lipca 1920 roku z Warszawy nadeszło do Bytomia telegraficzne we-



zwanie reprezentanta Komisariatu w celu rozstrzygnięcia sprawy podziału finansów.

Delegowany z Bytomia mecenas Kempka pojawił się w Warszawie około 7 lipca 1920 roku, by negocjować z wiceministrem skarbu Romanem Rybarskim, wybitnym ekonomistą. Dzięki przedwojennej relacji Kempki wiemy, że to profesor Rybarski zaproponował specjalny wzór dla obliczania tangenty, a Kempka zaakceptował jego propozycję.

W efekcie w dodatku do artykułu piątego Statutu Organicznego ustalono, iż ze Skarbu Śląskiego oddawana będzie do Warszawy tangenta w wysokości ustalonej wedle wzoru:

$$\frac{c}{2} - \frac{d}{2} \times \frac{a}{b}$$

gdzie:

a = ludność cywilna województwa śląskiego

b = ludność cywilna Rzeczypospolitej Polskiej, łącznie z województwem śląskim

c = dochody Skarbu Śląskiego z podatków i opłat, lecz bez dochodów z dodatków do podatków

d = dochody łączne Skarbu Rzeczypospolitej i Skarbu Śląskiego z podatków i opłat, lecz bez dodatków do podatków.

Początkowo tangenta wynosiła do 40 procent dochodów Skarbu Śląskiego, lecz po zlikwidowaniu podatku węglowego i wprowadzeniu państwowego monopolu tytoniowego i spirytusowego (na czym bardzo ucierpiały dochody Skarbu Śląskiego) nigdy już później nie płacono tangenty w takiej wysokości. Działo się to za cichą zgodą Ministerstwa Skarbu w Warszawie, gdzie zdawano sobie sprawę, że wprowadzenie w 1924 roku monopolu państwowego na spirytus i tytoń spowodowało zasadnicze zmniejszenie dochodów Skarbu Śląskiego, które przedtem do niego należały.

W publikacji posta Sejmu Śląskiego, Stanisława Janickiego „Śląsk na łonie Macierzy” z 1929 roku wyliczono, że przez utratę akcyzy spirytusowej i tytoniowej dochody Skarbu Śląskiego w połowie lat dwudziestych (kiedy wprowadzono monopole państwowe) zmniejszyły się o kwotę około 30 milionów złotych rocznie. Podobnie było z podat-

kiem węglowym, który w 1924 roku zasilił Skarb Śląski kwotą 30 milionów złotych, ale w 1925 roku już go nie było. Były to kwoty dla Skarbu Śląskiego zasadnicze, skoro rzeczywiste jego dochody wynosiły w tamtych latach poniżej stu milionów złotych.

Dlatego sprawa wysokości tangenty stała się przedmiotem nieustannych dyskusji, a potem i sporów między Warszawą i Katowicami. Z reguły płacono tangente niższą niż zaplanowano we wzorze profesora Rybarskiego i przekazywano ją do Skarbu Państwa przeważnie dopiero z nadwyżki budżetowej. Natomiast większość podatków pobieranych w województwie śląskim pozostawała na miejscu.

### Jakie były podatki?

Jakie to były podatki? Po przejściu województwa śląskiego przez Polskę najpierw obowiązywały przez krótki czas dawniejsze podatki ustalone za czasów pruskich i austriackich, lecz szybko zostały one zastąpione przez podatki uchwalane przez Sejm Rzeczypospolitej.

Z początku wpływały do Skarbu Śląskiego znaczne kwoty z osobnego podatku węglowego, który zlikwidowano z końcem 1924 roku. Natomiast akcyzy spirytusowa i tytoniowa zostały odjęte Skarbowi Śląskiemu z chwilą wprowadzenia monopolu państwowego: spirytusowego z dniem 1 stycznia 1924, a tytoniowego z dniem 1 stycznia 1925 roku. Do tego dochodziła drobniejsza akcyza solna, przejęta przez monopol państwowy także 1 stycznia 1925 roku.

Monopole państwowe zostały wprowadzone na terenie województwa śląskiego bez wymaganej zgody Sejmu Śląskiego, który uchwalił 8 lipca 1925 roku specjalną rezolucję, w której określił zaprowadzenie państwowego monopolu spirytusowego w województwie śląskim za niedopuszczalne. Nie zapytano o zgodę Sejmu Śląskiego. Posłowie Sejmu Śląskiego widzieli w tym naruszenie Statutu Organicznego, w tym jego artykułu 8a, stanowiącego, że „zmiany ustaw, dotyczących górnictwa, przemysłu, handlu i rękodzielnictwa, obowiązujących w Województwie Śląskiem w dniu przejścia Górnego Śląska przez Polskę, mogą

nastąpić tylko za zgodą Sejmu Śląskiego”.

Przypomnijmy, że przeprowadzono wtedy reformę finansowo-skarbową Władysława Grabskiego (premiera i ministra skarbu), która wprowadziła złotego w miejsce marki polskiej. Podstawą reformy był zaprowadzony w 1923 roku na trzy lata specjalny podatek majątkowy (w przypadku podatku majątkowego również nie zapytano o wymaganą zgodę Sejmu Śląskiego, który tym razem, dla dobra sprawy reformy, nie składał protestu).

Po reformach Grabskiego najważniejszymi źródłami dochodu Skarbu Śląskiego pozostały podatki dochodowy i przemysłowy, a ponadto drobniejsze wpływy z podatku gruntowego. Do tego niewielkie wpływy z majątku samego województwa.

Niesłuchanie dotkliwa okazała się dla Skarbu Śląskiego utrata wspomnianych opłat akcyzowych za tytoń i spirytus i to nie tylko z powodu zmniejszenia dochodów (około 30 milionów złotych rocznie!), ale także z powodu narastającego sporu ze Skarbem Państwa.

„Dochody z tych monopolów – pisał w 1929 roku dobrze zaznajomiony z tematem poseł Stanisław Janicki – wpływają bezpośrednio do skarbu państwa. Skarb państwa żądał jednak nadal od skarbu śląskiego wyżej wspomnianej tangenty w tej samej proporcjonalnej wysokości, jak w pierwszych latach istnienia województwa śląskiego. Swe stanowisko uzasadniał tym, że dał w zamian Śląskowi inne źródła dochodowe, mianowicie w postaci zwiększonych wpływów z podatku dochodowego i przemysłowego. Sejm Śląski stał natomiast na stanowisku, że po odebraniu mu na rzecz skarbu państwa tak poważnych dochodów, skarb śląski tangenty w tej samej wysokości płacić nie powinien”.

Dlatego jeśli za rok 1924 zapłacono aż 34 miliony złotych tangenty (przy łącznych wydatkach Skarbu Śląskiego w wysokości 95,5 miliona złotych), to za rok 1925 nie odprowadzono jej do Warszawy wcale, a w 1926 roku odprowadzono tylko półtora miliona złotych. Jednak już za rok budżetowy 1927/1928 zapłacono znowu 17.350.000 złotych tangenty.

Sprawa była o tyle skomplikowana, że pomimo wzoru profesora

Rybarskiego nie było ścisłego i precyzyjnego określenia, jakie części konkretnych podatków przypadają Skarbowi Śląskiemu, a jakie Rzeczypospolitej. Precyzyjne relacje miała dopiero określić osobna ustawa.

„Przyszła ustawa o skarbie śląskim – pisał wspomniany poseł Janicki w 1929 roku – zawierać musi wyraźne rozgraniczenie dochodów podatkowych tak dla skarbu śląskiego, jako też i dla skarbu państwa, więc przepisze wyraźnie, jaka część danego podatku, względnie jaki podatek przypadać ma skarbowi śląskiemu, a jaki bezpośrednio skarbowi Rzeczypospolitej”.

W 1920 roku zapowiedziano, że Rada Ministrów – w porozumieniu ze Śląską Radą Wojewódzką – przedstawi projekty równobrzmiących ustaw Sejmu Rzeczypospolitej i Sejmu Śląskiego regulujących wzajemne relacje podatkowe i skarbowe, lecz ustawy takiej nigdy nie uchwalono. Rząd polski, mimo zobowiązania do inicjatywy ustawodawczej (na mocy artykułu 5 Statutu Organicznego), nigdy z nią nie wystąpił. Przez wszystkie lata autonomii, aż do 1939 roku, panowała w tej materii prowizorka.

### Przesadne wymiary

Niesłychanie wymowne są dane o podatkach zbieranych w Polsce i w województwie śląskim. Przykładowo w 1924 roku (a zatem już po wprowadzeniu złotówki) w całej Rzeczypospolitej wpływy z podatków wynosiły łącznie ponad 552 miliony złotych, a w tym podatki z województwa śląskiego

wynosiły 85,7 miliona złotych. Zatem na województwo śląskie przypadało ponad 15 procent wszystkich zebranych w Polsce podatków.

Jeśli w Polsce, z wyłączeniem województwa śląskiego, wpływy z podatków wynosiły w 1924 roku 467 miliony złotych, to na jednego statystycznego Polaka przypadało 18,1 złotego podatku. W tym samym roku na jednego statystycznego mieszkańca województwa śląskiego przypadało niespełna 78 złotych podatku. Z tego wynika, że statystyczny mieszkaniec województwa śląskiego oddawał państwu polskiemu (a najpierw oczywiście Skarbowi Śląskiemu) ponad czterokrotnie więcej niż statystyczny mieszkaniec reszty Polski. Daje to wrażenie o sile podatkowej województwa śląskiego na tle Rzeczypospolitej!

Podobnie było w kolejnych latach. Z wyliczeń posła Sejmu Śląskiego, Stanisława Janickiego, wynika, że w 1926 roku województwo śląskie zapłaciło 1,9 procenta podatku gruntowego, 11,3 procenta podatku od kapitałów i rent, 11,5 procenta podatku przemysłowego, 19,8 procenta podatku dochodowego i aż 32 procent podatku majątkowego zebranego w całej Polsce, a województwo śląskie liczyło tylko 4 procent mieszkańców Polski. Dane te dają wrażenie o znaczeniu gospodarczym województwa śląskiego dla Polski.

Zdaniem wielu polityków i górnośląskich działaczy gospodarczych, w tym Korfatego, już w latach dwudziestych Polska przesadnie eksploatowała gospodarkę województwa śląskiego, co było szczególnie widoczne przy wprowadzeniu

przez premiera Grabskiego podatku majątkowego. Jego urzędnicy wyliczyli wtedy, że w całej Polsce w ciągu kilku lat pozostaje do ściągnięcia 509 milionów złotych, z czego na województwo śląskie przypadało aż 183, 5 miliona złotych, czyli ponad 36 procent wyliczonego podatku. Była to kalkulacja przesadzona, zarówno dla Polski, jak i dla województwa śląskiego. Dlatego nie dało się zebrać pierwotnie zakładanej kwoty podatku majątkowego.

Przez niespełna dwa lata rządów Grabskiego, Korfanty pozostawał nie raz w opozycji, protestując przeciwko nadmiernemu obciążaniu przemysłu górnośląskiego. Jak podawał potem Korfanty, stosowano wobec przemysłu górnośląskiego absurdalne wyliczenia podatkowe. Zdarzało się, że do ustalenia wysokości podatku majątkowego szacowano pokłady węglowe bez względu na to, czy mogły być eksploatowane następnego dnia, za 500 czy za 1000 lat. Zdarzyło się, że spółce Gieschego narzucono podatek przekraczający wartość jej majątku. Z reguły koncerty wygrywały potem z rządem procesy sądowe.

Nie było przesadne stwierdzenie Korfatego, że udaną reformę finansową Grabskiego sfinansowano w jednej trzeciej z podatków ściągniętych ze Śląska, liczącego przecież zaledwie 4 procent mieszkańców Rzeczypospolitej.

### 300 milionów nadpłaty

Z braku precyzyjnej regulacji wynikały nieustannie spory o tangentę. Władze skarbowe w Warszawie domagały się jej corocznie, a w Katowicach wyliczano, że została ona nadpłacona i domagano się zwrotu nadpłaty.

Z takimi postulatami występowała w Sejmie Śląskim opozycja. Z wnioskiem o zwrot wieloletniej nadwyżki wystąpili 18 marca 1931 roku posłowie chadecji i Narodowej Partii Robotniczej, domagając się przeprowadzenia negocjacji z władzami skarbowymi w Warszawie.

W lipcu 1931 roku do Warszawy pojechała liczna delegacja Sejmu Śląskiego z marszałkiem Konstantym Wolnym na czele. Z nim pojechali posłowie rządzącej sanacji i opozycji: Czesław Chmielewski (chadecja), Włodzimierz Dąbrowski (sanacja), Siegmund Glücksmann (socjalista niemiecki), Johann Schmiegel (kato-



Sejm Śląski obraduje.

licy niemieccy), Ignacy Sikora (NPR), Józef Witczak (sanacja) i Adam Kocur (sanacja). Z delegacją sejmową pojechał do Warszawy nawet wojewoda Grażyński.

W Sejmie Śląskim posłowie zwykle klócili się zawzięcie, lecz tym razem wszyscy byli jednomyślni i zgodnie twierdzili: to Warszawa jest winna nam pieniądze i powinna je oddać! Jednym głosem mówili chadecy i socjaliści, Niemcy i sanatorzy, włącznie z wojewodą Grażyńskim, który również doszedł do przekonania, że to jego kasa wojewódzka pozostaje pokrzywdzona.

Podczas rozmowy z ministrem skarbu Janem Piłsudskim i wiceministrem skarbu Stefanem Starzyńskim w dniu 21 lipca 1931 roku delegaci Śląska wyliczyli, że Warszawa winna jest Skarbowi Śląskiemu 300 milionów złotych! Była to na owe czasy suma zawrotna. Jednak wiceminister Starzyński uparcie bronił Skarbu Państwa, twierdząc, że to Skarb Śląski winien jest państwu polskiemu 200 milionów złotych. Negocjacje spęłżyły na niczym. Obie strony pozostały przy swoim stanowisku.

Podczas tej konferencji urzędnicy Ministerstwa Skarbu wciskali delegacji śląskiej najwzyczajniejszą ciemnotę, że wprowadzone przez państwo polskie opłaty monopolowe (akcyzowe) nie są wcale podatkami, a dochodami z przedsiębiorstw państwowych. Z taką interpretacją delegaci Sejmu Śląskiego nie mogli się zgodzić i powoływali się na opinie najwybitniejszych znawców skarbowości, że „opłaty te nie zmieniają swego charakteru podatku pośredniego z tego powodu, że wpływają do Skarbu z monopolów państwowych” i że stanowią one najwzyczajniejszy „podatek pośredni, różniący się od zwykłych podatków, tylko sposobem jego ściągania”.

Na tym sprawa się nie zakończyła. Na posiedzeniu Sejmu Śląskiego 18 stycznia 1932 roku poseł sprawozdawca Czesław Chmielewski po zrelacjonowaniu wizyty w Warszawie przedstawił wyliczenia komisji budżetowo-skarbowej, z których wynikało, że za okres od początku 1924 do 31 marca 1930 roku Warszawa powinna zwrócić województwu śląskiemu 304 miliony złotych. Wyliczenia sporządzono precyzyjnie, niemal co do złotówki.

Na tym posiedzeniu uchwalono powołanie specjalnej komisji sejmowej

wej „dla spraw rozrachunku pomiędzy Skarbem Rzeczypospolitej i Skarbem Śląskim”, która miała dalej monitorować sprawę. W Sejmie Śląskim powracano do tej kwestii nieustannie, szczególnie podczas debat budżetowych. Ale trzystumilionowej nadpłaty tangenty nie załatwiono do końca II Rzeczypospolitej.

### Pożyczka amerykańska

**Do** uprawnień Sejmu Śląskiego należało ponadto zaciąganie pożyczek, w tym zagranicznych, z czego skorzystano w 1928 roku, zaciągając pożyczkę w wysokości 100 milionów złotych w bankach amerykańskich. Była to pierwsza pożyczka Skarbu Śląskiego.

Z inicjatywą zaciągnięcia pożyczki na cele inwestycyjne w lutym 1928 roku wystąpiła na forum Sejmu Śląskiego Rada Wojewódzka, uzyskując pełne poparcie. Posłowie przyjęli propozycję wojewody Grażyńskiego, zgadzając się z wyłożoną przez niego później argumentacją, że „jednorazowy większy wysiłek jest konieczny, jeżeli chcemy skończyć z nieproduktywną łataniną z roku na rok, jeżeli chcemy województwo poderwać z miejsca na taki poziom w pewnych dziedzinach pracy, na którym już z normalnych dochodów budżetowych będzie można realizować racjonalny program gospodarczy”.

Negocjacje z bankierami amerykańskimi prowadzili w maju 1928 roku w Warszawie poseł Stanisław Janicki (reprezentujący Śląską Radę Wojewódzką) i naczelnik wydziału skarbowego Franciszek Bielak, przy współudziale przedstawicieli Ministerstwa Skarbu rządu polskiego. Po trzech tygodniach pertraktacji zaciągnęli pożyczkę w wysokości 11.200.000 dolarów (czyli w przeliczeniu 100 milionów złotych), którą województwo śląskie miało w półrocznych ratach spłacać przez trzydzieści lat. Do Skarbu Śląskiego pieniądze wpłynęły w czerwcu 1928 roku.

„Pożyczka ta, aczkolwiek używana nie na idealnych warunkach – napisał negocjator Stanisław Janicki – należy mimo to do najkorzystniejszych pożyczek zagranicznych, jakie od powstania nowego państwa polskiego zagranica państwu czy też innym zwią-

kom komunalnym w Polsce udzieliła”.

Podczas posiedzenia Sejmu Śląskiego w dniach 1-2 sierpnia 1928 roku opozycja, z Korfantym na czele, miała wątpliwości, czy aby na pewno warunki spłaty pożyczki są tak korzystne, jak to sugerowali poseł Janicki i wojewoda Grażyński, lecz ostatecznie zaakceptowano jego sprawozdanie.

Przyjęto wtedy również istotną rezolucję, że „pożyczka może być użyta tylko na inwestycje znajdujące się w obrębie Województwa Śląskiego, i to na inwestycje pozostające własnością Województwa lub też na pożyczki udzielane gminom wyznaniowym, komunalnym, związkom celowym, związkom komunalnym, gminom miejskim, wiejskim i Wydziałom powiatowym Województwa Śląskiego”.

Troska posłów o dobro regionu szła tak daleko, że w kolejnej rezolucji uchwalili, że przy inwestycjach z pożyczki amerykańskiej „zatrudniać wolno w zasadzie tylko robotników i personel od pół roku co najmniej zamieszkały w Województwie, tak samo rzemieślników i przedsiębiorców”.

Znaczne kwoty pożyczki amerykańskiej przeznaczono na budowę dróg (12 milionów złotych), kolei (5 milionów), Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych w Katowicach (12 milionów), gimnazjum w Lublińcu (3 miliony), ponadto na dokończenie budowy gmachu Urzędu Wojewódzkiego (4 miliony), sanatorium przeciwgruźlicze w Istebnej (półtora miliona złotych) i pomniejsze inwestycje wojewódzkie.

Na pożyczki dla gmin i powiatów przeznaczono ponad jedną trzecią całej kwoty. Z tej możliwości skorzystało wtedy 12 gmin miejskich i 41 wiejskich (a ponadto 3 powiaty). Gminy najchętniej inwestowały w budowę dróg, wodociągów i kanalizacji, elektryfikację oraz w budowę szkół i mieszkań.

Z proponowanej listy inwestycji posłowie skreślili wojewodzie Grażyńskiemu tylko budowę bursy akademickiej w Krakowie, bo uznali, że chodzi o subwencję, a tej z pożyczki amerykańskiej udzielić im nie było wolno.

*(Fragment książki „Czas Autonomii”, która ukaże się wkrótce)*

MARIAN  
KISIEL

Kochaliśmy go. Im bardziej zaciera się w naszych oczach jego postać, tym mocniej uobecnia się w naszej świadomości. Był dla nas ważny, choć nie zawsze umieliśmy to docenić. Często spieraliśmy się z nim. Denerwował nas swoją apodyktycznością, innym razem rozbrajał prostodusznością. Był wymagający w przyjaźni, ale też w niej szczery. Afirmował życie i był w nim jakoś smutny. W jednakowym stopniu radosny i depresyjny. Odszedł od nas 18 lutego 2009 roku. Wciąż słyszemy jego żywiołowy śmiech.



O STEFANIE SZYMUTCE

# Literatura: marzenie i śmierć

Był wychowankiem dobrej polonistycznej szkoły. Wyszedł spod ręki Tadeusza Bujnickiego, mówił o nim: „po prostu: Mistrz” (ZP, 231). Jego Alfą i Omegą była jednakże – i to jest niewątpliwe z wszystkich wątpliwych rzeczy świata tego – Alina Brodzka. Po prostu: Inka; „jedna z najważniejszych

kobiet w życiu Stefana Szymutki, a z pewnością najlepiej go rozumiejąca” (Z). Po śmierci Stefana napisała do mnie: „Kochany Przyjacielu, już wiem [...]. Nie ma słów. Straszno i ból”. A w kondolencjach na łamach „Gazety Wyborczej”: „bezgraniczny żal i wspólnota w bólu”.

Szymutko – jak wszyscy z naszego pokolenia – był strukturalistycznym „wyrobem” literaturoznawstwa lat 70. przeszłego stulecia. Szybko jednak zrozumiał, że piękna teoria o podmiocie jako wiązce cech, o narracji jako wyższym systemie znaczeniowym, o literackości jako rzutach z osi na oś, ergo: że ta cała matematyzacja doświadczenia literatury prowadzi do grobu. Jeżeli konsekwencją nauczania wyjątkowości stanie się literaturoznawcze samobójstwo, to czy jest sens dalej się okłamywać? „Zawsze ciekawiła mnie życiowa wartość literatury, chociaż żyłem w czasach nie sprzyjających refleksji na ten temat: najpierw w językowych odosobnieniach strukturalizmu, potem – wśród poststrukturalnej i postmodernistycznej niefrasobliwości” – napisał w ostatniej swojej książce *Przeciw marzeniu?* (PM, 7).

Szukał intensywnie własnego miejsca. Zaczynał od chęci zrozumienia roli badań historycznych, prawdziwe źródła podporządkowując prawdę interpretacji. Czym jest historia? Czym jest historyzm jako perspektywa metodologiczna? Czy istnieje taka formuła opisu świata, którą można by nazwać obiektywną? I jaka jest w tym wszystkim rola podmiotu konstruującego narrację historyczną? Jeżeli mówimy, że x cierpiał w X wieku, to skąd wiemy, że cierpiał? A jeżeli mój współczesny mówi, że cierpi, to czy jego cierpienie jest jakoś szczególnie ważne, ważniejsze od mojego cierpienia? Czy prywatyzując przeszłość, mówimy o niej w kategoriach sądu czy *quasi*-sądu? I dlaczego to nas tak zajmuje?

Szymutko nie pytał dla samego pytania. Dochodzenie do odpowiedzi ostatecznej, a ona (miejmy tę nadzieję) jednak przyszła, zajęło mu – mniej więcej – ćwierćwiecze. To czas od końca studiów do końca jego życia. Czas zmiennych wyborów tematów, gwałtownej, a czasami zachłannej miłości do czegoś, co było (tylko) podskórne. W owym ćwierćwieczu, przecież przebiegającym w swoim leniwym rytmie, ujawniły się trzy sprawy jego życia, które chciał podjąć i rozwiązać.

Nazwijmy je teraz. Pierwsza: proza Teodora Parnickiego jako zmaganie z językiem i osobą. Druga: Śląsk jako rzeczywistość domowa, i jako kosmos. Trzecia: doświadczenie egzystencji jako osvajanie codzienności i skończoności. Trzy sprawy zamknięte w jednej wspólnej: w literaturze.

Napisał: „Nie należy rozmiękczać doświadczenia literatury, godzić go wstępnie z praktyką społeczną, racjonalizować. Nie należy zapierać się pragnienia niemożliwego, tęsknoty za ocaleniem czegoś, czego ocalić nie można, nierozumnego pożądanego wieczności. Nie możemy wypierać się nasze-

go pięknego szaleństwa, jakim jest literatura” (M, 31).

**W** pierwszej swojej książce wybił rozstrzelonym drukiem: „Parnickiego-myśliciela można cenić, ale naprawdę głębokiego podziwu godzien jest dopiero Parnicki-pisarz” (ZP, 227).

Książkowa wersja doktoratu Stefana Szymutki nosiła tytuł: *Zrozumieć Parnickiego*. Pierwotnie twór ten liczył ponad sześćset stron nieznormalizowanego maszynopisu i mieścił się w dwóch grubych białych teczках. Przerazał. Dziwiłem się wówczas, że jeden tekst może być przedmiotem literaturoznawczej monografii (ponad dwadzieścia lat temu nie było to jeszcze częstą praktyką). Młody doktor jednak przekonywał: „«parnickologia» może się poszczycić licznymi i interesującymi opracowaniami, ale jej głównym mankamentem jest to, że nie radzi sobie dobrze z interpretacją pojedynczych utworów. Ponosi ona główną winę za ukształtowanie się opinii, iż powieści Parnickiego są skomplikowanymi zamkami, które otwiera się tym samym wytrychem” (ZP, 7). I dodawał bardzo kategoryczne zdanie: „Wbrew intencjom piszących powstaje obraz miernego twórcy, który nie potrafi poradzić sobie z zagadnieniami warsztatowymi” (ZP, 7). Stąd też wzięło się „nastawienie na „drobiazgową, morderczą, «mikrofizyczną» analizę powieści Teodora Parnickiego pt. *Koniec „Zgody Narodów”*” (ZP, 7). Dzisiaj czytam tę książkę z wielkim podziwem dla interpretacyjnej maestrii autora, dla jego potocznego, lecz drążącego najmniejsze szczeliny wiedzy, dyskursu historycznego. I już chyba rozumiem, co miał na myśli, pisząc, że „Za niezrozumiałość twórczości wybitnej [...] winę ponosi interpretator” (ZP, 7).

Co jest w niej ważnego? Nie interpretacja, bo – choć świetna – bywa i przesadna; nie jakaś wyjątkowo dokładna eksplikacja historycznego sensu, bo nauczyła tego wcześniej szkoła Annales; wreszcie – nie jakaś ujmująca retoryczność stylu. Raczej to, że Szymutko jest gramatologiem, badaczem znaków i śladów. Mierzy, liczy, stawia znaczki przy osobach i wątkach. Stygmatyzuje Parnickiego (i siebie), choć też przed tą stygmatyzacją stara się uciec. Zrzuca płaszcz strukturalnej analizy na powieść, sam – uwolniony – może już podążyć gdzie indziej.

Gdzie? W lekturę literatury.

Jeżeli interesuje Szymutkę Parnicki-pisarz, a nie „krzewiciel” (serc), to dlatego, że poszukuje on „zasług literata” (ZP, 227). Ufając literaturze, jeszcze wierzy w możliwości przedstawienia. W ostatnich zdaniach *Zrozumieć Parnickiego* przeczytamy: „Wielka Przy-

goda w *Końcu „Zgody Narodów”* to, oprócz doświadczenia Heliodora i Dio-nei, alegoria głównej zasady tworzenia. Wskazuje ona nie na ucieczkę przed problemem w efektowny chwyt, lecz na dążenie do zobrazowania problemu, na posłużenie się przez pisarza amplifikacją w celu przedstawienia sytuacji, która w doświadczeniu potocznym nie ma takiej wyrazistości. Główną wartością utworu jest nie samo nawiązanie przez autora do prymarnego kontaktu ze światem, gdy język ciągle zdradza, a rzeczywistość mnoży się i komplikuje; główną wartością powieści jest to, że jej autor potrafi przedstawić taką sytuację” (ZP, 227).

Niebawem tej pewności, że „autor potrafi przedstawić sytuację”, Szymutko zaprzeczy. Dlatego w książce ostatniej napisze: „Parnicki nie jest dla mnie – podkreślam, będąc świadomym dziwności sformułowania – pisarzem samym w sobie (wartością samą w sobie), lecz tym, który stawia pytania mnie samego interesujące, udziela odpowiedzi, jakich szukam, dręczą go te same wątpliwości. Uogólnię: wątpliwości epoki [...]. Parnicki powraca [...], gdyż (wcale, wcale nie ukrywam) myślę jego myśli, przejąłem je i przerobiłem na swoje albo (raczej) zgrałem ze swoimi. Również tę [...], iż nie potrafimy wyjść poza charakterystyczny dla nas krąg refleksji, zainteresowań, myśli, słów – niepokojąco bardziej jesteśmy przewidywalnym tekstem niż osobą” (PM, 9).

**A**utor [...] ufa literaturze i na zafufaniu do literatury opiera swoją metodę i wywód. [...] Autor nie ukrywa, że interesuje go przede wszystkim ta twórczość (imponuje mu ta twórczość), która czerpie siłę ze swojego zwątpienia” (RZ, 27).

To przekonanie zawarł w swoim manifestie literaturoznawczym, książce habilitacyjnej *Rzeczywistość jako zwątpienie w literaturze i literaturoznawstwie*. Jako jej bohaterów wybrał Lechonia i Broniewskiego, Blixen i Whartona, Gombrowicza, Joyce’a i Parnickiego, Sławińskiego i Marka Zaleskiego. Powiedziałyby ktoś, że jest to *cicer cum caule*, bo cóż może łączyć tak różnych pisarzy? Wszelako tak, jak wszystkie składniki w tytule są ważne: „rzeczywistość”, „zwątpienie”, „literatura”, „literaturoznawstwo” (Szymutko zdefiniował je we wstępie pt. *Niewyraźalna i niedostępna rzeczywistość*), tak ważna jest „sytuacja pisarza” w jego „współczesności”. I dlatego wobec tej „współczesności”, ostatecznie niezdefiniowanej, „ujawnianej” może in actu esse, może historycznie ograniczonej do granic dwudziestego stulecia, a może – by „domyśleć” Szymut-

kę, używając jego „derridianizmów” – będącej „prezentacją prezentacji”, czyli językowym wyrażeniem rzeczywistości dostępnej czasowi pisarza, umieszcza on tego pisarza w „sytuacji”, czyli wobec „rzeczywistości” i „języka”, którym tę rzeczywistość pisarz może / nie potrafi wyrazić.

Szymutko mówi tak (cztery cytaty, którym przydaję wartość tez):

1. „Dzięki temu, że język może wejść w jakiś związek – po lekturze Nietzschego napiszmy: zagrać – z niedostępną i niewyraźną rzeczywistością, literatura nie umiera, choć od ponad stu lat mówi się o jej kryzysie” (RZ, 24).

2. „[...] w rozwiązywaniu problemu relacji między literaturą i rzeczywistością należy [...] uczynić niewiedzę elementem wiedzy – zdać się na przygodę niejako na słowo-ozdobnik, pod którym w naszych tekstach ukrywamy interpretacyjną rutynę, lecz rzeczywiście przeżyć przygodę, doświadczyć nieprzewidywalnego, niezrozumiałego. Cóż innego można zrobić, co innego może nas spotkać w czasach, gdy rozdzielono język i rzeczywistość?” (RZ, 24).

3. „[...] we współczesności rzeczywistości nie tylko nie można przedstawić, nie tylko jest niewyraźna – rzeczywistość jest zarazem niepowątpiewalna, nieuzasadnialna, istniejąca, jedyna, wszechobecna i prawdziwa. Takiej rzeczywistości nie da się nawet pomyśleć, przećcu – coż dopiero wypowiedzieć. To, co na zewnątrz dyskursu, jest tylko innym dyskursem” (RZ, 25).

4. „Nowość sytuacji pisarza we współczesności polega na tym, że on nie ma czego przedstawiać, a zarazem, że wszystko, co przedstawi, nie jest przedstawieniem – rzeczywistość jest niedostępna i niewyraźna. Ujmując rzecz już najprościej: przystępując do pisania, piszący od razu wie: i tak nie zdołam przedstawić, wyrazić zakończony pisaniem, stwierdza: wszystko, co przedstawiłem, choć ma swoje uroki (jest piękne, mądre, dobre itp.), jest nic niewarte, bo nie przedstawia, nie wyraża, nie ujmuje. Rzeczywistość może pojawić się w literaturze – jak w *Wiedzy radosnej*... Nietzschego – jedynie w wątpleniu, tylko jako zwątpienie. Zwłaszcza u tych (a niemało ich), którzy unieważniają sens i celowość pisania z powodu wszechobecności przemijania i śmierci” (RZ, 25).

W literaturoznawczym filozofowaniu Stefanowi Szymutce chodzi o myśl prostą i może dlatego tak spiętrzoną metaforycznie, by nie okazała się banalna: literatura musi mówić o tym, co egzystencjalne, jeżeli chce być literaturą dla „kogoś”. Odwołując się do Nie-

tzscheańskiej kategorii „rzetelności”, powiada: „Literaturze trudniej być rzetelną, a zarazem – z powodu bliskości zmysłowego świata – trudniej być nierzetelną: literatura musi zagrać z rzeczywistością, zwłaszcza gdy jest niedostępna i niewyraźna, by nie zadławić się własnym słowem” (RZ, 26).

I pointa tych ustaleń: „W grze z rzeczywistością, która jest niepowątpiewalna, nieuzasadnialna, istniejąca, jedyna, wszechobecna, prawdziwa i niewyraźna, literatura nieustannie doświadcza swej słabości. Więcej: na doświadczeniu słabości, rozpaczta gra polega. Literatura odkrywa w grze z nieuzasadnialną rzeczywistością brak własnego uzasadnienia – nie pomagają rachityczne próby usprawiedliwienia swej obecności tradycją, humanistyką etc. Istniejąca rzeczywistość wymusza na literaturze, by ta uznała swoją momentalność – wszak nawet nieistnienie jest trwałe (pamiętamy tezę Husserla o pozytywności nieistnienia). W grze z rzeczywistością literatura musi się zmierzyć z egzystencjalną brzydota bytu – cierpienie, przemijanie, śmierć – o której w swym pięknie chciałaby zapomnieć: stąd już tylko krok do wyjątkowo niewygodnej problematyki sensu życia (podstawowego, przypomnijmy, zagadnienia w kwestii relacji między językiem i rzeczywistością). Nie ma w tej grze nadziei na wygraną – nieodwracalność rozdzielania słów i rzeczy – a jednak podejmując się ową grę w tym dziwnym zobowiązaniu wobec rzeczywistości, trwając w tej jednej z najmłodszych cnót: w rzetelności” (RZ, 26-27).

Literaturoznawczy manifest Stefana Szymutki należy do najbardziej radosnych potwierdzeń ważności literatury i rangi literaturoznawstwa. Wątpić (dubitare) w zmysłowo dostępną rzeczywistość, „nie tyle wyjaśnić, co ujaśnić” tę kwestię (RZ, 27), to także rozumieć, że „spotkanie z niedostępnością i niewyraźnością rzeczywistości przebiega za każdym razem inaczej – jest to przeciwieństwo spotkanie z nieprzewidywalnym, i to zarówno dla pisarza, jak i komentującego jego twórczość historyka literatury” (RZ, 27). „Skoro w literaturze rzeczywistość pojawia się jedynie w wątpleniu, jedynie jako zwątpienie, nie można przeoczyć, iż w takiej samej postaci zjawia się w literaturoznawstwie, które ową literaturę bada” (RZ, 29). Czym jest więc praca literaturoznawcy? „Spotkaniem z niedostępnością”, „spotkaniem z niewyraźnością”, „spotkaniem z nieprzewidywalnym”, „wątpleniem”. To po stronie radości ze spotkania. Jest i „zwątpieniem” w moż-

liwości pełnego wyjaśnienia kwestii, stąd „ujaśnienie”. To po stronie radości z nigdy nie kończącego się procesu interpretacji.

„Egzystencjalna brzydota bytu”, powiada Szymutko (RZ, 27), tworzy prawdziwą literaturę. Literacko i literaturoznawczo zmierzył się z tym w *Nagrobku ciotki Cili*. Książka otworzyła dyskurs o Śląsku, który – zdaniem eseisty – nie ma Logosu. „Nagrobek” stał się „kolebką” prawdziwej refleksji. Dla Stefana Szymutki pojęcie „śląskości” było genetycznie związane z osobą, rodziną, historią i legendą miejsca, językiem. Osobą przez pojedyncze biografie, rodziną przez wspólnotę, historią przez narracje codzienne, legendą przez plotkę czy stereotyp, językiem, bo to on nas uświęca i zdradza. W *Nagrobku ciotki Cili* wszystkie te elementy są jednakowo ważne: to, czego nie da się skłamać, wymienić, zyskuje swoją wiarygodność dzięki umarłym i żyjącym. By tak powiedzieć: „prezentacja zachowuje, mimo „źródłowego opóźnienia” (odwleczenia, odsunięcia...), jakąś pamięć prezencji” (RZ, 11).

Tadeusz Sławek napisał w komentarzu do *Nagrobka...*: „Był wtedy staje się szczegółem, gdy zostaje umiejscowiony. Był jest szczególnie zawsze w m i e j s c u; dopiero gdy go wypreparować z tego środowiska, może zostać uznany za «ogólny», «abstrakcyjny» czy «jakikolwiek». Lecz przeżycie miejsca, doznanie bycia „miejscowego”, stanowiące marzenie parających się piórem, miejsce przedstawione za pomocą mowy lub pisma tak, iż doświadczamy przedmiotów w nim obecnych jako spowitych delikatnym woalem *genius loci*, jest również uwieszone w pewnym paradoksie. Z jednej strony, nieuchronnie musi być mocno osadzone w tym, co „tu” i „teraz”, z drugiej – przez każdy taki węzeł teraźniejszości przebiegają nici minionego czasu. A więc doznać bytu (niezależnie od tego, czy jest nim człowiek, czy przedmiot) – to ujrzeć przebliski „byłości” w tym, co «teraz», «zobaczyć» (choć znaczenie tego czasownika możemy pojąć jedynie w dużym przybliżeniu) to, czego «nie ma», co już „nie jest”” (NC, 10-11).

Po literaturoznawczym manifestcie, manifest rodowodowy. Dwa wyznania wiary: w moc literatury, która nie ulegnie nicości; i w moc pisania, które przed nicością ochroni. *Rzeczywistość jako zwątpienie w literaturze i literaturoznawstwie* i *Nagrobek ciotki Cili* łączy ta sama nadzieja. Ostatnie zdania *Nagrobka...* brzmią tak: „Nie chcę się zaprzeczyć własnej chwilowości, użalam się nad nią (mimo że jest w tym egoistyczna, nar-

cystyczna okliwość), będę się przy niej upierał. Mam prawo odczuwać obcość wobec tego, co pozostaje, tak, jak odczuwają ją – powiedziały mi o tym oczy umierających – ci, którzy odchodzą. Czy mógłbym ja jednak odczuwać, gdyby nie istniał głęboki, najgłębszy z możliwych, związek między mną a tą rzeczywistością, wobec której bezsilne okazuje się wszelkie marzenie, złudzenie – gdybym nie był w rzeczywistości, przynajmniej tylko przez tę chwileczkę, momentik uobecnienia? Muszę dotykać ją, słyszeć, a przede wszystkim widzieć, dostrzegać, zatrzymać na niej wzrok – cielesnych lub duszy oczu, obojętne – by móc mówić czy pisać niechby tylko o mgle oddalenia; być przytomnym, świadomym, nie odwracać wzroku, nigdy. Był jest jedynym pewnym przedmiotem refleksji. Nicość we mnie, śmierć we mnie, ja-nicość nie ma racji, głównie: racji istnienia – taką rację ma tylko istnienie samo, rzeczywistość, «świat pozostający przy życiu». Zmagać się ze śmiercią, nie przestawać. Dopóki się da, wymykać się uchwytowi nicości, choćby czołgając się po macie. I żadnego – beżsiło! – rzucania rękami” (NC, 89).

„Może tak trzeba, mimo że jest się śmiertelnym?” (PM, 10).

Stefan Szymutko w ostatniej swojej książce: „piszę ciągle o tym samym, podobnie, mimo że nie tak samo. [...] Co teraz przyciąga moją uwagę? Otóż to, jak rzeczywistość przeszkadza literaturze, wyobraźni literackiej, zawadza marzeniu. Rzeczywistość spędza literaturze sen z powiek. W poprzednim zdaniu o tyle nie ma hipostazy i personifikacji, o ile umawiamy się, że literatura ma jakąś zdolność widzenia, dostrzegania świata rzeczywistego. Właśnie on budzi literaturę ze snu, przymuszając do czuwania. Z otwartymi oczami” (PM, 7).

Zdania-portret. Ten właśnie: badacza uparcie, benedyktyńsko, bezustannie czytającego. Za grubymi szklami wędrujące spojrzenie. I więcej pytań niż odpowiedzi.

„W męczącym urzeczeniu czytamy [...] tysiącstronicową powieść wciąż na nowo, wciąż nie umiejąc określić ani istoty owego urzeczenia, ani sedna wyjątkowości, niepowtarzalności tego utworu. Nieobliczalność życia, pisania, umierania? Przemieszanie marzenia i życia aż do śmierci? Potwierdzenie, że nie ma żadnego końca, który wieńczy dzieło? Tylko gotowość na twórczość, która jest gotowością zarówno na marzenie, jak i na śmierć?” (PM, 10).

**D**om Pomocy Społecznej „Przystań” to dwupiętrowy podłużny blok z około setką mieszkańców w wyłącznie w dwu-trzyosobowych pokojach, dwoma sanitariatami na każdym piętrze i wspólną jadalnią na parterze (posiłki dla leżących pacjentów są im dostarczane do pokoi). Z jednej strony ulica, z drugiej strony pięćdziesięciometrowa brukowa ścieżka wśród rosłej trawy, przeplatanej kępami krzewów, a nawet kwiatów. Czym jest właściwie ta przystań? W czym pomaga? Czy ma przynosić tylko święty spokój i farmakologiczną kontrolę choroby oraz medyczną opiekę? A może ostateczne zapomnienie? Czy ruch pań w kitlach, które przynoszą z uśmiechem leki, ścielą łóżka, pomagając w każdej chwili w najdrobniejszej błahostce pozwala zapomnieć o problemach codzienności? Tak. Tyle że w ten sposób zostaje stworzona oaza bezruchu, spokoju, bezpieczeństwa i oczekiwania na śmierć. Problem w tym, że uczestnicy rejsu nie mogą opuścić statku. Mogą tylko wykonywać polecenia Kapitana (Dyrektorki) i marynarzy (personel). Bo tak naprawdę są zniewoleni jednostajnością rytmu dnia: śniadanie – obiad – podwieczorek – kolacja. We wtorek kąpiele. Oczywiście, mają szansę czytania książek. A tzw. terapia zajęciowa to rodzaj grupowych przedszkolnych zabaw dla starych ludzi. Odbiera się im w ten sposób nie tylko radość rozwoju myślenia. Choć z drugiej strony, daje szansę kontaktu z drugim człowiekiem. Jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma... Ale ci ludzie, przewlekle chorzy, nie mają wyboru. Co pozostaje? Ano dom społecznej pomocy w oczekiwaniu na koniec. Czy da się to zmienić? Za pomocą jakich reform? I najważniejsze: jaką cenę przyjdzie za to zapłacić... To pytania, które prowokują przemyślenie sensu działania takich domów. Jak pojmować trzeba traktowanie ludzkich wartości podczas opieki nad starszymi, schorowanymi ludźmi, którzy pracowali dla kraju przez całe życie, a teraz nie mogą już nic? Czy rzeczywiście brak pieniędzy na taki cel można usprawiedliwiać wszechwładzą kryzysu? A przecież jakby powiedział Kisielewski: *Nie ma kryzysu. Jest ty!*

Czy można pokonać nieuchronność wyroku jaki niesie z sobą ludzkie życie? Orzeczoną przez specjalistów nieuleczalność? Przecież jak powiedział Lec „Życie jest bardzo niebezpieczne. Kto żyje ten umiera...” A jednak mimo wszystko: czyż nie warto próbować? Ja działałam, więc ja jestem. I taka była filozofia człowieka, który pokonał swoją siłą woli medyczne orzeczenia, dające mu znikome szanse. Był początkowo w bardzo ciężkim stanie. Jego opowieść jest prawdziwa. Ten człowiek żyje. Wygrał... I to wygrał nie tylko z medycznymi podręcznikami. Wygrał z prawem, które reprezentowane przez sędziów i biegłych I Instancji Sądu Okręgowego w Katowicach pierwotnie skazało go na dożywotnie „złote więzienie” w „dobrotliwej umieralni” Domu Pomocy Społecznej. Ale choć drogo za to zapłacił, to jednak gra była warta świeczki...

# Wyzwanie

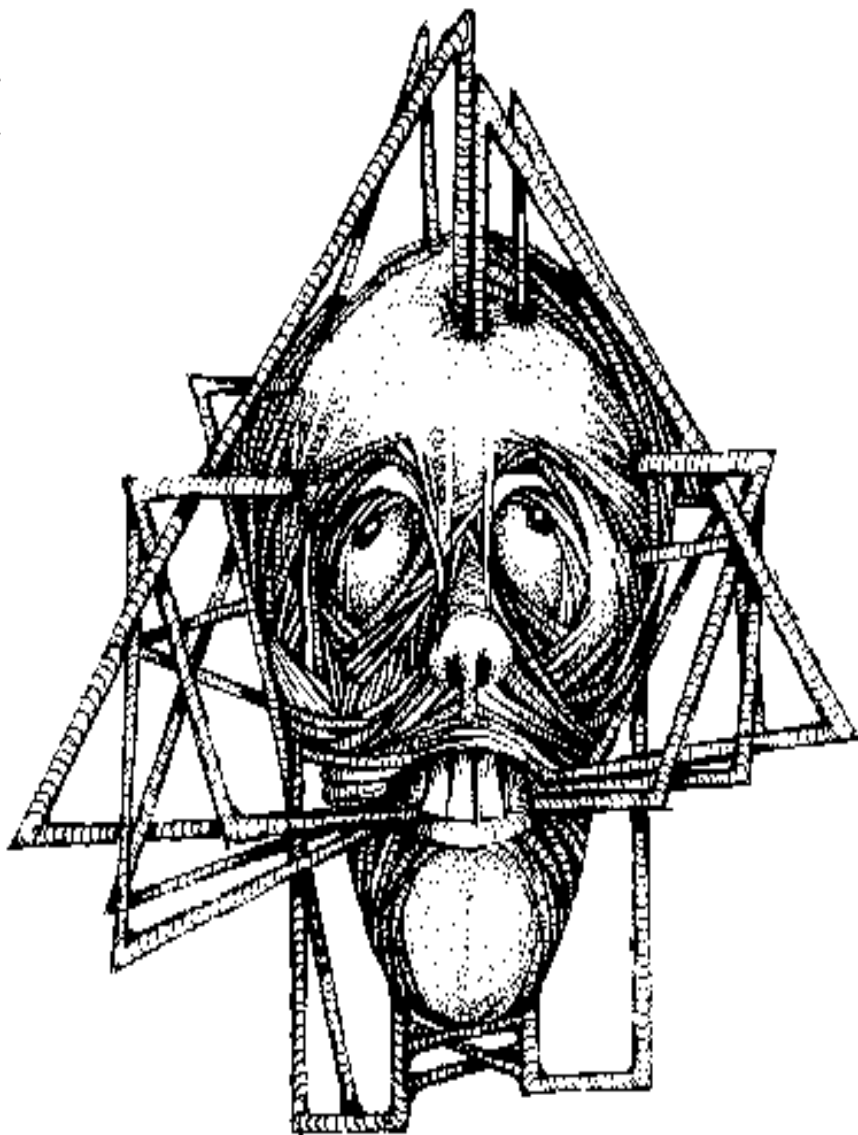
## Historia prawdziwa

*ko rezultat...* Taak, starzy ludzie powinni odejść, możliwie jak najmniejszym kosztem. Obecne ustawy regulujące ten problem wraz z finansowym zabezpieczeniem są pełne hipokryzji.

Jednak w opisywanym przez nas domu pracujący wg minimalnych stawek personel, stara się stworzyć dla tych przewlekle chorych ludzi nie nakazaną lecz naturalną, płynącą z głębi serca więź. Dlatego tak widoczna jest przede wszystkim skrupulatna dbałość o wprost bijącą w oczy czystość. Ale już na korzyść w jakichkolwiek wycieczek kulturalnych, gdzie trzeba byłoby wyłożyć pieniądze na zakup biletu wstępu (nawet najtańszego) nie ma szans. Co pozostaje? Ano, uśmiechające się panie salowe, które tworzą ciepło zaufania i bliskości w chwili prozaicznego sprzątnięcia pokoju, opiekunki, no i pielęgniarki. Ale co dzieje się potem? Wspólne przebywanie razem daje (w towarzystwie pełnych troski i dbałości pań terapeutek) możliwość tworzenia nowego świata barwy, rysunku, a dzięki internetowi we wspólnej sali można próbować znaleźć także szansę kontaktu z prawdziwym światem, w którym istnieje i tworzy się ruch i życie. A ono dla tych ludzi już ode-

szło. Internet daje złudę możliwości pokonania przestrzeni jako czegoś co prawda odległego, ale i normalnego. I to jest to „coś”, czego ci ludzie do tej pory nie znali.

Poziom różnic w stanach zdrowia wprowadza bezwzględny, choć gorzki, podział na lepszych i gorszych. Ci lepsi mogą chodzić np. do sali telewizyjnej lub do specjalnej sali, gdzie prócz internetu, telewizora, panienki tryskające młodością i uśmiechem zapędzają ich do zabaw na przedszkolnym poziomie lub bardzo lubianych przez nich rozmaitych zajęć plastycznych. „Problemy”, o których się rozmawia są najczęściej przejmowane ze standardowych przekazów tv lub sensacyjnych informacji kolorowej prasy. Ale są i chwalebne wyjątki. Do nich należy regularna wizyta studentek z PWSM w Katowicach (skrzypce, wiolonczela), które uzmysławiają tym cierpiącym ludziom piękno klasycznej muzyki. I nagle się okazało, że ci skazani na bierne oczekiwanie śmierci ludzie są Ludźmi. Czują, są bardzo wrażliwi i bardzo potrzebują sztuki i obcowania z pięknem muzyki, którego albo dotąd w ogóle nie znali albo zostali od niego przez chorobę brutalnie ode-



### Bunt na pokładzie

Któregoś dnia doszło jednak na tym statku do buntu. W 2003 r. przyjechał do tej placówki nowy pacjent w dojrzałym wieku. Z ciężkim schorzeniem neurologicznym i bardzo ciężkim stanie psychicznym. Miał wyższe polonistyczne wykształcenie. Ze względu na jego sytuację zdrowotną rodzina go przezornie ubezwłasnowolniła i oddała właśnie tu... Przyjechawszy, leżał na łóżku jak kłoda. Bez ruchu. Spowity pampersami. Aby przewrócić się z boku na bok, musiał dzwonić specjalnie po pielęgniarkę. O podnoszeniu, samodzielnym goleniu czy choćby wstawaniu na skraj łóżka nie było mowy, nie mówiąc o chodzeniu czy samodzielnym prysznicu. Był czas, gdy go regularnie karmiono. Zapamięścił pamięci, wizyty w specjali-

stycznych szpitalach. Ale... – jak mówi – było coś, co zainspirowało jego walkę z własną słabością... To uśmiech i spojrzenie troszczących się o niego pań. To one spowodowały, że pojawił się u niego męski wstyd wobec kobiety, która przychodziła go golić. Miałby być codziennie golony przez pielęgniarkę?! Hańba! Ale żeby się ogolić trzeba samemu unieść rękę, choć trochę się podnieść i namydlić twarz, powoli pojechać zyletką... Ba.. Trzeba pokonać słabość ręki, potem opanować i uspokoić drżenie dłoni. Efekt? Zmiana pościeli. Była cała we krwi, a on sam był porznięty jak szynka na Wielkanoc. No, ale trudno. Albo, albo... I tak się zaczęło. Ruch za ruchem. Palce, dłonie, cała ręka... Nie wie ile było prób, ale widok oszołomionej pielęgniarki, która zobaczyła jego pięknie ogoloną twarz bez jej udziału wart był wszystkich pieniędzy..

Potem, w ciągu kolejnych dni, tygodni, miesięcy nie tylko nauczył się swobodnie chodzić, ale i dzięki inspiracji Pani Małgosi-rehabilitantki, rozpoczął intensywne ćwiczenia gimnastyczne (rzecz jasna, w miarę możliwości). Powoli zaczął wracać do naprawdę dobrej formy. Ale jego umysł nie miał celu. I wtedy wpadł na szaleńczy pomysł. Gdyby tak napisać doktorat z Dymszy. Dlaczego z Dymszy?! Bo od dzieciństwa Dodek był jego ulubionym komikiem. Gdyby zrealizował swój zamysł, byłby on jedyny w Polsce... Doktorat w wieku 57 lat, na 9 m<sup>2</sup> powierzchni w Domu Pomocy Społecznej...?! Byłoby to nie tylko osiągnięcie, ale i pyszny żart. Tym razem z życia...

Nie ma na co czekać! Otworzyć przewód? No tak, tylko trzeba go opłacić. Wtedy ok. 10 000 PLN. A jego renta: 686 zł brutto, w tym 70% opłaty dla DPS-u... Co robić? Wystosował piękne pismo do JM Rektora UŚ z prośbą o umorzenie kosztów przewodu motywując to zaawansowaną pracą o Dymszy, wysokością renty. Stopniowo udało mu się kupować w Filmotece Narodowej cały szereg filmów Dodka na video i wykorzystując fakt posiadania starego odtwarzacza, rozpoczął pracę. Ale miał tylko głośno stukającą maszynę do pisania i gdy pisał w nocy przychodziły pielęgniarki z nakazem natychmiastowego przerwania, bo obowiązywała cisza nocna. Ale Niebo czuwało nad nim, jako że kiedy ówczesna dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Marszałkowskiego w Katowicach, Łucja Ginko dowiedziała się o jego sytuacji i problemach, zareagowała w sposób niezwykle: – Pan nie może pisać na czymś takim! Zorganizuję Panu laptopa! I rzeczywiście. Za dwa tygodnie pani dyrektor przyjechała do DPS-u z komputerem. Dla dyrekcji była to niebywała niespodzianka. Żeby do mieszkańca Domu Pomocy Społecznej przyjeżdżała dyrektor wydziału kultury?! W dodatku z komputerem, który otrzymał od niej w prezencie?! Nikt nie mógł pojąć jak to się mogło stać. Ale największa niespodzianka miała dopiero nadejść. Otóż, nieoczekiwanie przyszedł do bohatera naszej historii list polecony od JM Rektora UŚ Władysława Banysia. Wzbudziło to niezwykle zainteresowanie



w sekretariacie ds. socjalnych, w którym usiłowano się dowiedzieć, co było treścią tej korespondencji.

### Błysk nadziei

**J**ak się okazało nie bez przyczyny. W krótkich słowach Pan Rektor informował go o umorzeniu kosztów otwarcia przewodu doktorskiego. Tak, to był prawdziwy błysk nadziei. Teraz już wszystko zależało od niego. Czuł, że może się wyrwać się z tego wygodnego miejsca, w którym można tylko czekać i być samotnym. Zaczął pracować w szalonym tempie. Od 6.00 rano do 24-1.00 w nocy (z przerwami na posiłki i wyjazdy do BŚ.).”

A teraz ciekawostka o wielkim znaczeniu. Z pomocą w tej sytuacji przyszła bohaterowi pani Beatka. Niezwykle inteligentna, błyskotliwa, zawsze uśmiechnięta. No i co było istnym zrzędzeniem losu, zakochana w starym polskim kinie, ale co najważniejsze, świetnie znająca nie tylko elementarz, ale i komputerowe pułapki laptopa. Jej pomoc sprawiła, że ta nieoczekiwana praca naszego bohatera nabrała sensu. A co za tym idzie życie również. We trójkę (z kierowcą) zorganizowali transport do BŚI, bo przecież jemu nie wolno było wychodzić. No, ale kto nie ryzykuje... Przemyslenia krytyka filmowego z Domu Pomocy Społecznej odkrywały nowe horyzonty interpretacji filmowej sztuki aktorskiej, zupełnie nieznanym innym profesjonalistom. Ale nasz pacjent był nie tylko nieuleczalnie chory, ale, o czym nie wolno zapominać, całkowicie przez sąd z inicjatywy rodziny ubezwłasnowolniony. Oznaczało to, że nie tylko był pozbawiony wszelkich praw obywatelskich, ale także nie mógł nigdzie wychodzić bez zgody swojego opiekuna prawnego, nie mógł nawet przejść sam na pasach przez przylegającą ulicę do sklepu po bułkę, bo przecież był pod opieką DPS-u i gdyby mu się coś stało, to nie on, a DPS musiałby się przed sądem tłumaczyć, a nawet o zgrozo! – płacić odszkodowanie! Oczywiście, o żadnym podpisywaniu jakichkolwiek umów nie było mowy. Stał się więc żywym, leczonym przedmiotem.

A promotor, gdy usłyszał o jego statusie prawnym tylko się uśmiechnął. W końcu żywy przykład absurdu z prawdziwego życia zawsze jest ciekawy...

Studia doktoranckie trwają zazwyczaj 4 lata. Tu obrona, przewód doktorski trwały 14 miesięcy (!) w warunkach Domu Pomocy Społecznej – absolutne curiosum.

### Walka trwa

**P**ełny happy end? No, niezupełnie. Nasz bohater postanowił uzyskać sądowe uchylenie decyzji o ubezwłasnowolnieniu, ponieważ właściwa diagnoza medyczna i stopniowa rehabilitacja powodowały stopniowy powrót do zdrowia. Choroba, mimo nieodwracalnego charakteru, stała się możliwa do opanowania i kontroli farmakologicznej. Nasz świeżo upieczony doktor postanowił wrócić do normalnego życia i do swojej pasji jaką było polskie kino przedwojenne i sztuka interpretacji gry aktorskiej. Aby to jednak zrealizować musiał wnieść pozew do sądu o uchylenie ubezwłasnowolnienia. I tu zaczyna się thriller. Jego opiekunka prawna (nb. członek rodziny) nie zgodziła się na to. A tylko opiekun prawny mógł w jego imieniu podejmować jakiegokolwiek kroki. Radca prawny DPS-u stwierdził, że w tej sytuacji mieszkaniec nie może nawet pisma do sądu wystosować ponieważ „zostanie ono i tak wrzucone w sądzie do szuflady spraw niezłatwionych”. Sytuacja patowa?! Niekoniecznie. Bohater naszej historii nie przyjął tego stwierdzenia pana mecenasa do wiadomości i postanowił walczyć o swoje prawo do wolności. Przede wszystkim w „cichociemny sposób” (tj. poza wiedzą dyrekcji i swego opiekuna prawnego) poinformował policję o swojej sytuacji. Zaś jej przedstawiciel przyrzekł mu interwencję w sądzie. Po dwóch tygodniach przyszła oficjalna odpowiedź z sądu. Każdy obywatel bez względu na swój status prawny ma prawo złożyć wniosek do sądu o rozpatrzenie jego próby o uchylenie ubezwłasnowolnienia. Podbudowany taką sytuacją, czując się pewnie jako człowiek z wyższym wykształceniem, spo-

rządził samodzielny wniosek o uchylenie ubezwłasnowolnienia i wysłał go do sądu.

### Trafiła kosa...

**S**ąd, nie wyznaczając mu jakiegokolwiek obrońcy z urzędu, co jak się okazało, było jego obowiązkiem, powołał na rozprawę biegłych, którzy po zadaniu serii rutynowych pytań, przyjęli na siebie formalne zobowiązanie orzeczenia stanu zdrowia pacjenta. Po trzech (!) miesiącach wyczekiwania przesłali swoją opinię, po zapoznaniu z którą mieszkaniec jako człowiek znający podstawowe zasady logicznego myślenia i metodologii wywodu naukowego sporządził natychmiast bardzo konkretne, uzasadnione faktami zastrzeżenia. Mimo tego, orzeczenie sądu było jednoznaczne. Wniosek o uchylenie ubezwłasnowolnienia został odrzucony. Na szczęście sąd przyznał bohaterowi prawo do złożenia apelacji.

Z pomocą przyszło Stowarzyszenie na Rzecz Niepełnosprawnych SPES z jego prawnym zapleczem. I wtedy okazało się, że trafiła kosa na kamień. Sporządzono mistrzowską apelację i Sąd Apelacyjny wobec jej argumentów i faktograficznych i prawnych bez żadnych wątpliwości skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia ze zmienionym składem sędziowskim i zmienionymi biegłymi. Powtórna rozprawa sądowa uchyliła kuriozalny wyrok poprzedniej instancji, za który wnioskodawca mógł zapłacić resztą swojego życia. Ale oto stał się wreszcie wolnym człowiekiem! Tyłem tylko, że na pojedynkę z ułomną interpretacją prawnych przepisów i ludzką obojętnością stracił trzy lata w prawie samotnej walce... I nikt mu tych trzech lat nie zwróci. Choć jego doktorat także jest coś wart. Coś, czego nikt mu nie odbierze.

Tak kończy się nasza historia, ale nie kończy się historia człowieka przywróconego społeczeństwu. Żyje wśród nas. Myśli, pisze, planuje swoje życie, wyznacza sobie jakieś cele. Dlaczego? Bo wreszcie może decydować o sobie i to jest bezcenne. Kto nie wierzy, niech spróbuje... A może lepiej nie.

# GRAŻYNA JANOTA

## MATKA TERESA

stukają kośćmi do drzwi, ciągną  
po asfalcie dziurawe skarpety.  
kiedy dzwonią furtyki nigdy  
nie zamykam przedtem. mleko, chleb,  
kanapki, wózek dla dziecka  
niepełnosprawnego potrzeba  
wspomóc bo drogi. też kiedyś mogę  
choć nie chcę wyciągać rękę.  
ulica nie wybiera. ciągną przy płotach  
cienie wydartych waciaków. znaczą  
powietrze, unosi się odór  
biedy. tak pachnie nędza.  
chcę ich zabrać do siebie, dać pić  
jeść, umyć im twarze przed nocą, może  
trafią wtedy do domu.  
szósta rano dzwonek. znów zabrakło  
jednej nocy na dłuższy sen.  
piję księżyc z kubka, dogryzam  
leżącym od wczoraj  
na blacie herbatnikiem BeBe.  
za oknem ciągną konduktu szarych  
cieni ku moim drzwiom.  
przetrzęsam szafki, strzepuję resztki snu  
z koca pod stół, bieżnik znów  
świeży kładę, będę mieć gości

## AUDYCJA PANA M.

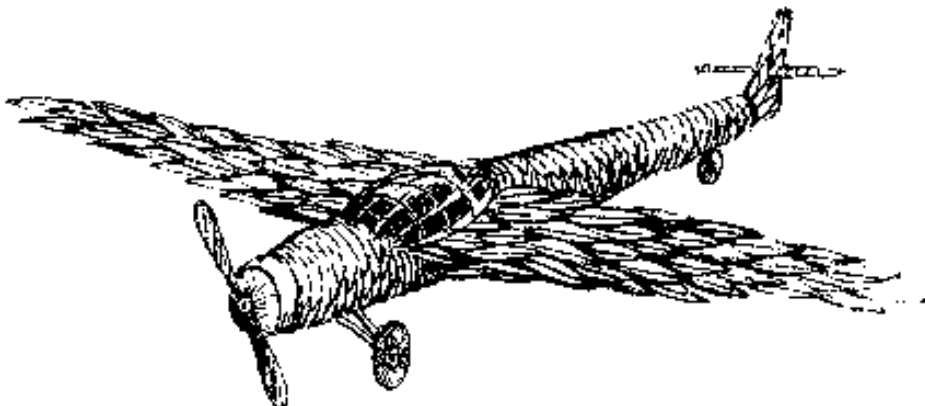
co niedziela 14.45 wchodzę  
cudze myśli obrazy nie moje maluję swoim pędzlem  
czasami na odwrót.  
co niedziela zasiadam na stolku przed sztalugą  
biała kartka nie drażni długo. szybko wpadam w trans.  
widzę tą posianą za oknem kromkę chleba i chmury  
nie moje tym razem. też wstawiam kocioł.  
palenisko o zmierzchu wygląda bardzo  
niedorzecznie poczerwieniało w rogach chatki.  
pusty gar zaskwierczał  
obraz na sztaludze nie bardzo.  
znów ktoś za mnie odwalił dobrą robotę.

## PUSTE GNIAZDO?

czuję jak powoli tracę dotyk  
małych dłoni co wyrosły z jednego palca rękawicy. czuję  
że tracę wzrok poniżej metra dziesięć  
wyżej nad to zbyt realne jak na prawdę. słuch  
głoski twarde infantylnie traktował teraz  
nie pamięta. tracę węch różowej oliwkowej skóry  
małego pleda w kratkę. tracę siebie podaję  
jak przekąskę na tacy czasami gdy  
widzę że mało mają. tracę zasięg choć myślałam  
że wybrałam najlepszy. patrzę choć zamykam oczy. teraz.  
niedługo wszystko odzyskam i pomnożę  
razy dwa lub trzy... usta trawią w sobie słowa choć  
to mnie żre odmawiam. dożuję by ich nie zepsuć.  
gwarancja dawno się skończyła. czekać zostaje w bramie  
uchylonej na rozmiar dojrzałych skrzydeł. czasami  
odwiedzają gniazda.

## SEN DEJA VU. LĘKI 2011

boję się że kiedy będą gwiazdy spadać  
nie będę gotowa je złapać.  
co noc wypatruję  
samoloty tak samo lecą wysoko.  
nade mną korytarz powietrzny  
pyrzowice czy balice – pytam?  
śni mi się najgorszy sen.  
obok skrzydłem wadzą  
upadając przeciętnie raz na miesiąc.  
fobia czy podświadomość robi jaja  
dla mnie nad wyraz realne  
bo zmęczona wstaje o świcie.  
kiedyś wojna. stała na łące  
naprzeciw potężna rakietka.  
bałam się zasnąć jak dziecko  
gonione przez monstrum.  
nostradamusa oglądałam w 95'  
nic o mnie nie było pocieszam  
powieki gładzę różowym  
25 wat nocnej lampki  
jak zawsze





Zdjęcia: Regionalna Izba Gospodarcza w Katowicach

Gala wręczenia Laurów Umiejętności i Kompetencji. W gronie laureatów Tadeusz Kijonka (drugi z prawej) – poeta, publicysta, założyciel i wieloletni redaktor naczelny miesięcznika „Śląsk” oraz prezes Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach.

# Laury Umiejętności i Kompetencji 2014

18 stycznia już po raz dwudziesty drugi Regionalna Izba Gospodarcza przyznała swoje zaszczytne wyróżnienie, Laur Umiejętności i Kompetencji w dziedzinie sztuki, nauki, biznesu, samorządności i mediów. Uroczystość, z udziałem m. in. Marszałka Województwa Śląskiego odbyła się w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze. Laureatem Diamentowego Lauru został Krzysztof Penderecki, światowej sławy kompozytor i dyrygent. Natomiast Kryształowy Laur z Diamentem odebrał znakomity prozaik Józef Hen. Z radością i satysfakcją informujemy, iż Laur Platynowy przypadł w udziale Honorowemu Prezesowi Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, założycielowi i wieloletniemu redaktorowi naczelnemu miesięcznika „Śląsk”, Tadeuszowi Kijonke.

A oto krótka rozmowa, jaką udało nam się przeprowadzić z Józefem Henem.

**– Czym dla pana jest to dzisiejsze wyróżnienie?**

– Ja nie jestem, wbrew temu, co się myśli, rozpieszczany nagrodami. Laur jest dla mnie przede wszystkim niespodzianką, a poza tym jest dla mnie wielkim zaszczytem to, że ta nagroda pochodzi ze Śląska. Może powiem, że byłem jednym z pierwszych żołnierzy 10. Dywizji wkraczających na Śląsk. Na początku lutego 1945 roku miałem występ, jako aktor, razem z moim teatrykiem, w kinie „Delta” w Chorzowie.

**– Uprzedził pan nieco nasze kolejne pytanie, pytanie o pana związki ze Śląskiem.**

– Moje związki ze Śląskiem datują się jeszcze sprzed wojny. Polegały one na tym, że interesowałem się Ruchem Chorzów, chociaż byłem kibicem warszawskiej Polonii. Pamiętam Jemiołowskiego, Włodarza, Peterka. Ich występy były imponujące. Poza tym poznawałem Śląsk z lektur szkolnych, Takich jak „Wyrąbany chodnik” Morcinka, którego poznałem osobiście już po wojnie.

**– Bohaterami wielu pana powieści są postaci historyczne. Czy wybiera Pan sobie bohatera, któremu pan chce dać drugie życie, czy też jest odwrotnie: to te postacie „upominają się”, żeby o nich napisać?**

– Ja piszę wtedy, kiedy mnie postać zmusza, wprost męczy mnie. To jest inspiracja, która uruchamia proces twórczy. Teraz martwię się trochę, bo ostatnio nikt mnie nie męczy.

**– Dziękuję bardzo za rozmowę.**

Dodajmy jeszcze, że przyznano w tym roku 28 laurów we wszystkich kategoriach, w tym także osobom o nieprzeciętnych umiejętnościach i kompetencjach z Republiki Czeskiej oraz z województw Małopolskiego i Opolskiego.

Uroczystość uświetnił znakomity występ Zespołu Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia” (laureata „Platynowego Lauru”) pod batutą Anny Szostak.

WITOLD TURANT



Krzysztof Penderecki – laureat Diamentowego Lauru, gość gali prof. Jerzy Buzek i pisarz Józef Hen - laureat Kryształowego Lauru z Diamentem.



Związki Józefa Hena ze Śląskiem sięgają jeszcze lat przedwojennych.

Zenon Dytko jest kontynuatorem poezji Jacques'a Préverta. Nie w formie oczywiście. Zmieniły się czasy, zapisy, zmienił się świat. Jest kontynuatorem tego nurtu, w którym poeta używa słów, jak narzędzi chirurgicznych do inwazyjnego badania siebie i jak narzędzi ślusarskich, do zewnętrznego badania materii.

# Barbarzyńca w Chorzowie

W zeszłym miesiącu ukazał się kolejny tomik wierszy chorzowskiego poety, Zenona Dytki pt. „Zmiany klimatyczne”. Tomik jest kontynuacją jego wędrówki nie tylko po terytorium Chorzowa, Śląska ale przede wszystkim wędrówki w głąb siebie, zwyczajnego, żyjącego Tu i Teraz człowieka. Człowiek ten podróżuje. Nie korzysta z samochodu. Przemieszcza się z miejsca w miejsce środkami komunikacji publicznej, spotykając ze zwyczajnymi jak on ludźmi. Nie jest to jednak ludzka magma. Podobnie jak Henri Michaux w „Barbarzyńcy w Azji”, Zenon Dytko przygląda się uważnie sobie i drugiemu człowiekowi, pojedynczemu, niepowtarzalnemu. Obserwuje detale jego twarzy, grymasy, gesty, budowę ciała, mowę. Docieka myśli, zamiarów, stanu psychicznego i materialnego.

Co charakterystyczne z równą uwagą przygląda się pozostałym przedstawicielom fauny, do której przecież homo sapiens bez wątplenia należy. Spotkania te, opisane w wierszach szczegółowo, poddaje analizie, dokonując przy tym wiwosekcji własnego umysłu i duszy. Rzeczywistą wędrówkę po chorzowskich, śląskich ulicach, rzeczywiste spotkania w tramwaju, sklepie, fabrycznej hali pozwalają mu na penetrację własnego umysłu, własnych motywacji, własnych lęków.

Zenon Dytko jest kontynuatorem poezji Jacques'a Préverta. Nie w for-

mie oczywiście. Zmieniły się czasy, zapisy, zmienił się świat. Jest kontynuatorem tego nurtu, w którym poeta używa słów, jak narzędzi chirurgicznych do inwazyjnego badania siebie i jak narzędzi ślusarskich, do zewnętrznego badania materii. Czasem pisząc próbuje naprawiać siebie, świat, czasem apeluje a nawet zdecydowanie oświadcza. Częściej jednak pochyla się nad sobą/światem jak pielęgniarz nad chorym w stanie terminalnym. Tak u Dytki jak u Jacques'a Préverta, często w wierszu pojawia się kobieta. Temperatura tych spotkań jest różna, od zimowego chłodu, kiedy płatek śniegu rozpuszcza się w ustach, do letniego skwaru, kiedy najbardziej dojmujący jest brak kobiety. W X części „Stolicy cierpienia” Prévert pisał: *Nieznana, moja upodobana, która zdejmowała ze mnie kłopot bycia mężczyzną (...)*. Zenon Dytko często pisze o tym doznawanym dotkliwie kłopotcie. W swoich wierszach próbuje go diagnozować, naprawiać, nawet operować. Podobnie jak inny francuski poeta tego nurtu Robert Desnos, który pisał w „Tyle śniłem o tobie”: *Tyle śniłem o Tobie, że ręce obejmują twój cień i wzywają one do krzyżowania się na piersiach nie potrafiłyby już może nagiąć się do konturów twojego ciała*. Chorzowski poeta ma też wątpliwości, czy będąc obserwatorem życia mógłby jeszcze w pełni, jak miliony innych ludzi, zwyczajnie żyć. Pisze przecież o sobie w wierszu

*Pokój z tomiku „Ty i ja” „świecki zakonnik”. Przyznaje, że całe dni spędza we własnym pokoju. Zakonnik czyli osoba poświęcona Bogu – konTEMPLująca lub poświęcająca się, rezygnująca ze świata dla dobra innych. Na szczęście jego cela pełna jest płyt, książek, czasopism.*

Jest nawet telewizor i video. *W tym „prywatnym zakonie” nie ma surowej, klasztornej klauzury. Poeta może nie tylko celę opuszczać, rozmawiać z ludźmi, obserwować przyrodę, poeta może pisać, dzielić się swoimi rozterkami, spostrzeżeniami, wnioskami. Pomaga przy tym nam, czytelnikom, zobaczyć duszę własną, zrozumieć siebie, wyraźnie widzieć, co pozornie bliskie i co pozornie dalekie. Jest czułym barbarzyńcą i brutalistą, którego „poezja nie śpiewa” jak u Prewerta, ale daje nam kanciaste oparcie w trudnej sztuce doskonalenia siebie.*

Mówi się i słusznie „podróż kształcą”. Zenon Dytko z tomiku na tomik, staje się coraz wnikliwszym obserwatorem, zaś jego wnioski, zawarte w paradoksalnych często zakończeniach, są coraz trafniejsze. Przecież oczywiste staje się, że M., O., czy Z., silniej lub słabiej, ale jednak tkwi w każdym z nas. Chorzów, Katowice czy Dąbrowa Górnicza to nie konkretne miasto ale skonkretyzowany fragment świata. W niekończących się wędrówkach poeta dotyka *zastanego świata* wszystkimi zmysłami, smakuje go i wchłania. Z tych niezliczonych spotkań, doznań tworzy wiersze.

Poezja Dytki jest jak wieloskładnikowy posiłek. Żeby poznać smak trzeba próbować, powoli przeżuwać, polykać kęs po kęsie, czytać wiersz po wierszu. Nie można oceniać po jednym utworze, ulegać pierwszemu wrażeniu, że to nie poezja, a nawet wiersz. Ze zwykłych, powszednich sytuacji, przeżytych chwil, jakich w życiu każdego człowieka wiele, poeta przyrządza potrawy proste. Jednak każda z nich ma inny smak, trafia na inne kubki smakowe, porusza inne struny wrażliwości. Zaspokajają inne głody. Czytając niespiesznie wiersz za wierszem nasycamy się tymi smakami, ulotnymi zapachami, obrazami malowanymi szarą farbą. Coraz dłużej przyglądamy się światu widzianemu i opisanemu przez poetę, coraz bardziej poruszeni. To przecież nasz, mój świat!

W jego wierszach widzimy postacie z naszego życia: O. z tomiku „Ty i ja” to może być spotkany niedawno w tramwaju mężczyzna, S. P. z tomiku „Prysznic” to być może ktoś z dalekiej rodziny, a Z., X. czy Y. Z z wiersz

szy z tomiku „Grymas O” czy to nie koleddy z pracy? Ostatni tomik, zatytułowany „Zmiany klimatyczne”, jest kontynuacją rozważań o najważniejszych problemach dręczących współczesnego człowieka. Autor odważnie staje przed nami obnażając własne słabości, ułomności, lęki, pragnienia. Czerpiąc natchnienie z codzienności nawet formuluje w kategoriach tonie *oświadczenie*, o braku akceptacji świata, „który dzieli na tych którym wolno i na tych którym nie wolno”. Jasno definiuje siebie jako poetę w wierszu pod tym samym tytułem z tomiku „Zmiany klimatyczne”: *nie udało mi się z kobietami, nie udało zostać naukowcem / jedyne co mi się udało to być poetą (...)* i kończy śmiertelnie poważnie przymrużywszy jednak oko: *lepiej jest być poetą niż nie (poetą) to pewne*.

Dla nas lub za nas obnaża swój stosunek do kobiet, mężczyzn, zwierząt, etyki, kolorów, dzieł sztuki. Dzieli się wątpliwościami.

Zenon Dytko, jak sam zresztą pisze w wierszu „Inne zainteresowania”: *osiem godzin dziennie spędza na czytaniu, słuchaniu płyt, radia i oglądaniu telewizji*. Interesuje go wszyst-

ko – świat w mikro i makro skali, człowiek jako istota społeczna, ale i jako indywidualne dzieło Boskie. Interesuje go świat zwierząt i roślin, który w jego wierszach zderza się, a raczej współlistnieje z teoriami filozoficznymi, nurtami psychologicznymi, prawami fizyki czy chemii. Dzięki takiemu współlistnieniu, kiedy dostrzegamy łapki muchy przyklepionej do kropli słodkiej kawy na ceratowym obrusie, rozważamy kwestię empatii, wolności i zniewolenia.

Poeta słucha setek utworów muzycznych, pochłania zawartość dziesiątek książek i czasopism popularnonaukowych, zapamiętuje i przykłada do sytuacji codziennych. Robi to w sposób zaskakujący, brawurowy. Czytając jego wiersze (koniecznie w liczbie mnogiej) zawsze czuję się jak na roller coaster – zawrót głowy, radość, smutek, a czasem mdłości. W utworze „Ogólnie o kobietach” zaczyna od konstatacji, że „*m. mówi że zawracam / jej głowę jednak chce / by tylko jej słuchać*” a kończy: *Cz. Miłosz powiedział że / w pisaniu trzeba być okrutnym / i bezwzględny T. Różewicz / również gdy pisał o umarłych / odtrącam ich ręce rok za rokiem*. Podobny zawrót

głowy czeka podczas czytania wiersza „Ciało migdałowate w mózgu człowieka czyli zgodnie z Zasadami”, „Neurony lustrzane”, „Teraz czytam Masłowa”, czy w utworze „Kierunek” rozpoczynającym się słowami „*gdy byłem studentem pożyczyłem (...) książkę Kierkegarda pt. „Bojaźń i drżenie*”.

Siłą tej poezji jest podążanie poety za człowiekiem krok w krok, bezinteresowna a czasem brutalna prawda o jego kondycji. Ta prawda jest najlepszą przyprawą do potraw, które dla nas i siebie przygotowuje Zenon Dytko.

Tak jak o smaku pomidorowej zupy decyduje kilka kryształków cukru, a o gęstości bitej śmietany szczypta soli, tak tutaj kluczowe znaczenie ma paradoks, przymrużenie oka, fundamentalne pytania zadawane mimochodem, jak w wierszu M. B.-Fitzgerald czy.....

Tak, Zenon Dytko jest kucharzem wyborym. Z pozostałości po urodzinyowym przyjęciu wyczaruje pożywny, poetycki posiłek, przywracający siły i ostrość widzenia. A że apetyt wzrasta w miarę jedzenia, z niecierpliwością czekam na jego następne wiersze.



# Odegrać życie

## I. Rozmyślania

Mam na imię Max. Czasami wydaje mi się, że jestem pisarzem.

Codziennie od rana przeziaduję w kawiarni literackiej, mieszczącej się przy teatrze. Miejsce, w którym mieszkam pozwala mi na to, żebym mógł się realizować w rozmyślaniu nad istotą życia. Nasze miasto, no cóż, prowincjonalna miejscina, która niektórym jawi się jako wielkie skupisko przemysłu i kultury wszelakiej.

A ja? – Człowiek, który od dzieciństwa rozwija myślenie o bycie w niebycie, czyż mogę zrobić coś dla ludzkości, która goni nie wiadomo za czym i nie wiadomo dokąd? – Staram się to ogarnąć i przelać na papier.

Ludzie mówią mi, po co to robisz? – Nie zastanawiam się po co, tylko dlaczego? Dlaczego tu jestem i myślę, co mam do zrobienia dla siebie i innych? – Może to niedojrzałe, mało odkrywcze, ale męczy mnie codziennie. – Uwolnić się od tego i zostać człowiekiem mniej skupionym wewnątrznie? – Nie wiem, ale chyba to nie dla mnie. Urodziłem się po to, żeby myśleć i działać, i tak już pozostanie do końca moich dni.

Rozmyślam nad tym, że świat nie zbawię moimi słowami, ale może kiedyś ktoś przeczyta to, co napisałem i zatrzyma się na moment, żeby pomyśleć bardziej, głębiej i na temat.

Szybki ruch dookoła, a ja w tej kawiarni. – Tu spokój,

cisza i wszyscy jakby bardziej skupieni. No, może właśnie o to chodzi – siadać częściej i skupić się na życiu, jego wielkim darze, którym jest samo w sobie i dla nas samych. Gdyby nie ten dar, to co by było? – Nas by nie było i nic by nie było.

I tak sobie tu siedzę, i od czasu do czasu ktoś wpada. Opowie swoją historię i leci dalej do życia, swojego życia. Bo każdy ma swoje, lepsze, gorsze, ale swoje. To nie podlega dyskusji.

Moje życie na ten przykład jest zbiorem przygód o bliżej nieokreślonej sensowności. Wybrałem drogę obserwatora-cynika, któremu czasami wydaje się, że już cokolwiek zrozumiał. A tu bez przerwy wpadki i zadziwienia. Chodzę sobie po tym świecie i rozglądam się wokół. Każdy człowiek to skomplikowany twór. Jedni prości, drudzy poskręcani i skomplikowani. No i jak tu dotrzeć do prawdy, skoro nie wiadomo, czym ona jest, a może kim?

Lubię życie, jest takie barwne i nieoczywiste. Można chodzić, można siedzieć, można skakać, można tańczyć, można pływać, można latać. Tyle rzeczy można, a człowiek wiecznie niezadowolony.

Ja nie marudzę, ja się przyglądam. – Być może ja jestem szczęśliwy? Być może.

Jak tak patrzę na ludzi, to myślę sobie, że narzuciliśmy sobie zbyt wiele ograniczeń, no i jeszcze robimy to sami sobie. A jakby tak wyzwolić swoje największe możliwości, pójść za głosem serca, to co by nas spotkało? Może wolność, może radość, może ukojenie. Czasami wydaje mi się, że to nierozsądne myślenie, ale przecież moje myśli płyną i nie mogę ich blokować, bo blokowałbym samego siebie. Nie mogę wzbraniać się przed samym sobą. Byłoby to takie głupie.

Nad wyobraźnią to czasami muszę panować, bo jak mówią, mam ją zbyt wybujałą. Tak, więc siadam i ogarniam myśli, żeby nie wymykały mi się spod kontroli. – Jestem już bliski ideału. Rzeczywistość coraz rzadziej miesza mi się z marzeniami.

Chociaż muszę podkreślić, że wyobraźnia jest największym skarbem, który otrzymałem od życia. Ogół mojej osobowości jest całkiem w porządku i podobno jestem wyjątkowo inteligentny. Ja sam bym tego tak nie ujął, ale trzeba czasami zgodzić się z większością, jeżeli nas to tylko nie rani.

Podchodzę do życia z wielką atencją. – Dobrze, że tu jestem, bo gdyby mnie tu nie było, to gdzie bym był? – To pytanie wiecznie mnie nurtuje.

Czyż każde moje słowo jest kontynuacją tego, co myśle? Czy przypadkiem po drodze nie ulega jakiemuś zafałszowaniu, przekształceniu?

Czasami chciałbym znać odpowiedzi na wszystkie pytania, tylko że każde pytanie rodzi nowe i w tych odpowiedziach mógłbym się zagubić.



Dobrze, że myślę, bo to znaczy, że żyję. Mój oddech daje mi to samo poczucie. Może życie jest oddechem i myślą? Może.

\* \* \*

Dzisiaj znowu jest ten dzień, kiedy najbliżsi starają się podciąć mi skrzydła. Jak zwykle usłyszałem. – Zastanów się, co robisz? – No i wtedy ten wszechogarniający lęk dopada całe moje ciało i wszystkie moje myśli. Czuję w głowie zamęt. Wtedy siadam, i myślę, że być może życie właśnie teraz wzywa mnie do podjęcia decyzji, że to ja jestem najlepszym swoim przyjacielem, bratem, matką, ojcem, każdym, który powinien wspierać moje działania i dążenie do samorealizacji. To ja tu decyduję, a nie żaden dupek, który przez całe swoje życie jest zachowawczy i nigdy nie przekroczy granic swojej małości.

Szanuję siebie przede wszystkim, no jestem boski i odwaga moja nie ma granic. Zrobię to, co jest dla mnie słuszne i wypływa z głębi mojego serca. Oczyszczam się ze wszystkich bzdur i słucham siebie. Moje życie, to moja podróż, a nie podróż jakiegoś obcego, nieznanego mi odmienca.

Tak, więc usuwam chwasty ze swojego ogrodu. To ja jestem postacią pierwszoplanową w moim życiu. Gram tu główną rolę.

No, więc pielęgnując dalej swój ogród życia, zauważyłem, że jestem bardzo samotny na tej drodze do prawdy istnienia. Często odbijam się od dna, żyjąc w świecie swoich ideałów. Kiedy życie mnie pognębia staram się szukać w sobie jeszcze więcej energii, która prowadzi mnie przez ten gąszcz obojętności ludzkiej na los drugiego człowieka.

Ileż to razy byłem na dnie, ale zawsze wtedy uświadamiałem sobie, że los ludzki, to nie tylko wieczne sukcesy. – To również droga, która jest odnajdywaniem szczegółów tego istnienia w każdej minucie bycia. A każdy szczegół jest jak diament odnaleziony w momencie wielkiej pustki. – To dziwne, że żeby odnaleźć siebie musi boleć. Ale jak boli, to znaczy, że żyję. – Więc szukam nadal i obserwuję. Może coś zauważyć? Może.

Wibracje mojego mózgu mówią mi, że wszystko ze światem jest w porządku. A może to my tworzymy sobie swoje więzienie umysłowe, żeby móc dręczyć innych?

\* \* \*

Lubię spacerować, to nadaje rytm moim emocjom, wszystko się wycisza i uspokaja. Słyszę wtedy głos mojej duszy. Ona jest taka wrażliwa. Myślę czasami, że może to mało męskie, ale przecież nikt o tym nie wie, że ona jest taka mocna w swojej wrażliwości. – To jest moja mała tajemnica. Mam takie miejsca w moim sercu, gdzie przechowuję swoje tajemnice. To takie fascynujące, mieć tylko coś swojego, tego nam nikt nie zabierze. A cała reszta, to tylko złudzenie, sen, ułuda.

Każdego dnia, zaraz po przebudzeniu czuję czystość w sobie, a potem oblepiają mnie te wszystkie śmieci. – Cały dzień z nimi walczę, żeby nie panoszyły się w mojej głowie. – Ja lubię spokój.

Chciałbym czasami wstawić mój umysł poza rzeczywistość, w której istnieję. Wtedy dopiero ujrzałbym całą prawdę o sobie. Tylko czy ona na pewno byłaby mi bliska. Może właśnie dlatego tu jestem, żebym to wszystko przeżył i odczuł. Nawet te śmieci, które mnie oblepiają.

Oczywiście radzę sobie z rzeczywistością, raz lepiej, raz gorzej, ale to przecież moje cenne życie i nie oddałbym go nikomu, i za nic.

\* \* \*

Kolejny nowy dzień przynosi mi rozważania na temat moich przekonań. – Właściwie, jakie one są? – Dochodzę do wniosku, że wielce pozytywne. Kocham życie, kocham siebie, kocham ludzi, kocham czytać, kocham pisać, kocham muzykę, kocham filmy, no i mógłbym tak mnożyć w nieskończoność. – Czyli jest dobrze, nawet bardzo dobrze.

Oczywiście nie mogę się odżegnywać od rzeczywistości, w której się urodziłem i wyrosłem, aż do chwili obecnej, kiedy jestem dorosłym mężczyzną. Kultura i epoka, w której przyszło mi żyć, ma ogromny wpływ na moje przekonania, ale staram się bez przerwy uruchamiać swój niezależny umysł, żeby mnie to nie pochłonęło bez reszty. Ja to ja, a nie epoka i kultura.

Czasami bywam bardzo krytyczny wobec siebie, ale wtedy moja dusza przychodzi mi z pomocą i pokazuje mi, jaki jestem wspaniały i nietuzinkowy. – Kochać siebie, to żyć według swojej wibracji. No, więc wtedy myślę, że obojętna jest tu epoka i kultura, ja mogę być wszędzie, i o każdej porze we właściwym dla mnie czasie. Każdy z nas zasługuje na bycie sobą w najlepszym rozumieniu tego słowa. Autentyczność daje nam wolność bycia tym, kim mieliśmy być w swojej istocie.

Moje rozważania leżą obecnie tak blisko szczęścia, które wypełnia każdą sferę mojego życia.

\* \* \*

Kiedy się dzisiaj obudziłem, poczułem, że mnie wszystko boli, każda komórka mojego ciała mówiła do mnie, że jestem. Tak też pomyślałem sobie, że gdzie ja jestem, kiedy śpię, gdzie jest wtedy moje życie, czy w łóżku, w którym leży moje ciało, czy w tych wszystkich miejscach, o których śnię? – Gdzie jestem wtedy ja? – Być może tu i tam. Bardzo to intrygujące.

Wydaje mi się, że żeby żyć swoim prawdziwym życiem, trzeba odnaleźć swoją pasję. Tylko ona może nam odpowiedzieć na odwieczne pytanie, po co tutaj jestem? – Zanurzyć się w swojej najgłębszej tęsknocie, odzyskać dotarcie do swojej samowiedzy. – Tam poszukuj, a znajdziesz odpowiedź. Żaden człowiek nie może się obejść bez swojej mocy tworzenia w czasie, który jest mu dany na tej ziemi.

Poczucie mojej własnej mocy, w chwilach zwątpienia, nadaje sens każdej chwili. Rozglądam się dookoła, i widzę, że wszechświat jest na swoim miejscu, to tylko ja panikuję i wyolbrzymiam problem. Wtedy poszukuję mojego własnego wyciszenia, żeby ponownie odnaleźć siebie i zrozumieć, kim naprawdę jestem. Czy tylko kłębkami leków, czy może silną jednostką, która zawsze i wszędzie radzi sobie doskonale? – Panika to zły doradca. Spokój to wspaniały przyjaciel.

Pisanie książek to sztuka chwilowa. Tworzę, skupiam się, na białe przestrzenie nanoszę moje słowa, które są moimi myślami. I koniec. Już nie mam żadnej władzy nad moim wewnętrznym przekazem, który dotrze lub nie do drugiego człowieka. – To wszystko jest takie ulotne.

\* \* \*

- Co robisz?
- Nic, piszę.
- Kiedy przyjdiesz do łóżka? Pusto tu bez ciebie.
- Zaraz skończę.

Widujemy się codziennie, a ona potrzebuje mojej obecności bezustannie. Czasami jestem tym zmęczony, pomimo tego, że jestem z nią już od dwóch lat, a może wła-

śnie dlatego!? – Czym jest miłość, a czym nie jest? – Czy zawsze musi nas osaczać? Czy współistnienie polega na pełnej symbiozie? Dla mnie miłość to wolność, to szczęście, to poczucie spełnienia. Lubię być w życiu niezależny. A może ona również? Zastanawiam się czy jestem z nią szczęśliwy? – Może to już jest brak niezależności? Może.

\* \* \*

Nocą w łóżku studiowałem myśli Pascala. Zatrzymałem się na jego myśli: „Ja ma dwie właściwości: jest niesprawiedliwe w sobie w tym, że się czyni ośrodkiem wszystkiego; jest niewygodne drugim w tym, że ich chce ujarzmić: każde, bowiem Ja jest wrogiem i chciałoby być tyranem wszystkich innych.”\* – No i tu, muszę przyznać mu pełną rację. – Czasami wydaje mi się, że jestem tyranem wszystkich innych i zatracam się w byciu ośrodkiem wszystkiego. – Oczywiście staram się nad tym panować w miarę mych ograniczonych możliwości widzenia siebie z zewnątrz. Myśli moje bywają ośrodkiem od wewnętrznym i tylko lustro daje mi poczucie bycia z sobą wewnątrz i na zewnątrz. – Są to jednak bardzo krótkie chwile w ciągu dnia, kiedy spotykam się z sobą w całości.

Dzisiaj moje myśli biegają wokół rozbawienia wszechświata. Jak by to było, gdyby cały świat, w jednym momencie zaczął się śmiać? – Czy wszystko by się rozpadło od siły i wibracji?

Jesteśmy bez przerwy tacy poważni. Stałem dzisiaj na przystanku autobusowym, bo zepsuł mi się samochód. – Rozglądam się dookoła, a tu smutek. Wszędzie pełno smutku. Jak to przeanalizowałem, to doszedłem do wniosku, że rzadziej się śmiejemy niż osiadamy w swoich smutkach. – Właściwie, dlaczego? – Przecież śmiech jest taki uwalniający. Wszystkie blokady znikają, kiedy jesteśmy nim wypełnieni, daje tyle dobrej energii. A my w tych smutkach. – Co za paranoja wszechobecna? Może smutek to nasz sposób na ukrycie siebie? Być może.

\* \* \*

Mam w dniu dzisiejszym dziesięć złotych w portfelu – to cały majątek, który posiadam.

Niektórzy pomyśleliby, – oszalał, jak on chce przeżyć? – Ale, ja myślę tak – jeżeli kiedyś zdobyłem te dziesięć złotych, to dlaczego teraz nie mam zdobyć miliona złotych? Każdy dzień ma swoje ukryte tajemnice – idę i obserwuję. Może zaufanie do samego siebie to klucz do sukcesu?

Dobrze się dzisiaj czuję w swoim towarzystwie. – Jak pytam, odpowiedzi zawsze się zgadzają.

Czy kocham samego siebie? – Ot, takie pytanie przyszło mi dzisiaj do głowy.

Zaakceptowałem już dużo swoich cech. Osobowość mam niełatwą do ogarnięcia. Ta moja nadwrażliwość. Ujawnia się zazwyczaj wtedy, kiedy mam problemy. – I w takiej sytuacji, nie dość, że muszę stawić czoła problemowi, to jeszcze muszę sobie radzić z nadwrażliwością – bywa to męczące. Czuję się wtedy kompletnie wyczerpany. Lubię siebie, ale lubić to nie znaczy kochać. Istnieje duża przepaść pomiędzy tymi dwoma emocjami. Właściwie, jaka? – Lubić to trochę bardziej zimne od kochać. Kochać to bardziej gorące od lubić. Jak o tym myślę, to sam staję się rozległy jak moja przestrzeń pomiędzy tymi dwoma uczuciami. – No, więc? – Tak, tak lubię siebie.

A nad miłością, to jeszcze popracuję.

\* \* \*

Śnił mi się dzisiaj Koń Trojański. Jakież to był wysublimowany trik. – Niektórzy twierdzą, że to złośliwy podstęp, a ja twierdzę, że to inteligentny fortel. I kto ma rację? Być może ja, a być może oni. To mój świat i mam prawo sądzić, co chcę. Klótlivy nie jestem.

Każde nasze doświadczenie jest dobre. Jeżeli się głębiej nad tym zastanowić, to wszystkie nasze spotkania, sytuacje, odczucia stanowiły kolejny krok do przodu na naszej drodze. Uczę się na nowo dawać szansę życiu, aby się działo. Żebym mógł więcej dostrzec, żeby moja perspektywa była szersza. Od czasu do czasu świadomie ją zawężam, tylko to prowadzi do odrzucenia i bólu. – No, więc, po co to robię? Muszę uwolnić się od tego nawyku, który destruktywnie wpływa na moje życie i pozbawia mnie szans zdrowego rozróżniania.

Akceptować, to przecież nie znaczy poddać się jak radosny kretyn wszystkiemu, co się dzieje wokół.

Wchodzę dzisiaj na zdrowe częstotliwości w moim wnętrzu. Staram się oczyszczać ze wszystkich zlogów, które osadziły się we mnie przez lata. Jeżeli dotrę do głębokich pokładów samego siebie, to ujrzę tylko dobro i miłość. I tego właśnie pragnę doświadczać każdego dnia.

Moja samoświadomość wzrasta z każdym dniem. Odczuwam coraz pełniejszy spokój, harmonię wewnętrzną i zewnętrzną mojej osobowości. Krocząc tą ścieżką uzdrawiania samego siebie, odzyskuję nieustanną ulgę w życiu zgodnym z moimi wartościami. Nie mogę oczywiście zapominać o relacjach z innymi ludźmi, tam też jeszcze mam dużo do zrobienia.

Kim ja jestem? – pisarzem, człowiekiem, synem, kierowcą, sąsiadem, klientem w supermarkecie. Można by tak mnożyć. Ale, kim ja tak naprawdę jestem poza zewnętrzną powłoką? – Może tam głęboko wewnątrz mnie, tkwi odpowiedź. Może jestem kimś więcej niż jestem sobie w stanie wyobrazić. Szukam siebie bez końca i może kiedyś odnajdę. Wybornie jest tak poszukiwać, w pełnym zaufaniu do samego siebie.

Mam takie sekretne miejsca w mej duszy, gdzie kocham, gdzie marzę, gdzie wszystko jest możliwe. Nikogo tam nie wpuszczam, żeby wszystko było czyste i zupełnie moje.

Zatracam się w swojej niemej ciszy, idę w głąb siebie, na spotkanie mego głosu, mego słowa, mojej myśli. Kocham wtedy miłością absolutną, jedyną prawdziwą z możliwych. – Miłością do samego siebie. Tam wewnątrz mnie wszystko ogarnięte jest ukojeniem i spokojem. Tam czuję się swój i tak bardzo na swoim miejscu. To wszystko, co wiem o miłości pochodzi właśnie stamtąd. Z miejsc, do których chodzę tylko sam.

\* \* \*

Są dni, kiedy czuję przyływ ogromnej inspiracji. Wtedy czuję, że całe moje wnętrze wypełnione jest przez grawitację szczęścia, które przychodzi z otchłani, żeby zafundować mną w całości i dać światu ze mnie, to wszystko, co najlepsze. Każdy taki przyływ, jest jak fala, która daje przyływ i odpływ. – Jak rytm całego życia, jak skoncentrowana energia w jednym ułamku sekundy. – Mówi mi, idź i zrób to. – I wtedy siadam i piszę. Doznaję poczucia szczęścia i spokoju. Uwalniam się. Jakby pozbawiono mnie wszystkich blokad, jakby następowała fantastyczna chwila wielkiej prawdy. Moja percepcja całego świata jest wtedy twórcza.

Nachodzi mnie czasami poczucie oddzielenia, wtedy bardziej analizuję swoje przemyślenia. – Czy wydaje mi się, że moja inność to dar, czy tylko moje głupawe poczu-



cie wyższości? Staram się być pokorny we wszystkich swoich relacjach ze światem i z sobą samym. Jeżeli bym tego nie robił, to na pewno bym zwariował. – A przecież tak bardzo lubię być normalny.

Dobro ludzkie. Czym ono jest? – Dzisiaj dokładnie zrozumiałem, czym ono jest. Wszyscy moi najbliżsi, którzy są ze mną na tych samych wibracjach, wiedząc, że mam dziesięć złotych w portfelu, postanowili się składać na moje życie, żebym nie umarł z głodu.

Więc idę i obserwuję. – Zawsze jak dajesz dobro, to ono do ciebie wróci, w przeróżny sposób i rozlicznymi kanałami. Dać siebie i żyć z wdzięcznością za każdy dzień, który jest nam dany, to słuszną drogą. Zawsze w poczuciu zaufania i szczęścia, że jest się bezpiecznym – Świat jest pełen dobrych doświadczeń, nawet wtedy, kiedy boli i myślisz, że już dalej iść nie możesz. A teraz otwieram się na te magiczne dary życia.

No i odkąd wprowadziłem się w pełne zaufanie do życia, dzieją się same dobre rzeczy.

Spotkałem właśnie znajomego, który niedawno jeszcze był w tak zwanej przysłowiowej ciemnej dupie, a teraz załapał fantastyczne kontakty i kupuje własny sklep. Tak trzymać, łapać się z życiem za bary i walić do przodu jak Koń Trojański, który bywa dobrym trikiem na bezradność.

\* \* \*

Nasza rzeczywistość jest tak bardzo wielowymiarowa, że nie sposób jej określić jednym słowem, uczuciem, myślą. Biega we wszystkie strony i pozwala na to, żeby zawsze osiągnąć pełne skupienie na oczywistym stanie szczęścia. Trochę wysiłku i już staje przed nami oczekiwane od dawna spełnienie i uzewnętrznienie wszystkich naszych potrzeb i marzeń.

Pełna satysfakcja w życiu zależy przede wszystkim od nas samych. Dasz, to otrzymasz. – Więc się Max bardziej staraj!

Chodzę, znów się przyglądam i zewsząd słyszę: „Ja w Boga nie wierzę” – A cóż to znaczy?

Bóg, to przecież mój umysł, moja dusza, moje serce. – Jak więc mam nie wierzyć w samego siebie?

Wszystkie ludzkie związki i wzajemne relacje odzwierciedlają nasze indywidualne potrzeby. – Patrząc pod tym kątem rozmyślam, jakie związki tworzyłem do tej pory. No cóż, były one raczej toksyczne. – Tutaj muszę się zatrzymać i szczerze ze sobą pogadać. Właściwie, o co mi

chodzi? Czy jak tkwię w jakiejś toksykologii, która mnie wyczerpuje i nie daje satysfakcji? Tkwię w niej, bo jedynie to znam. – Moi rodzice wiecznie się kłócili, nie było dnia, żeby w domu panował spokój. Każde z nich miało dość silną, apodyktyczną osobowość. Natomiast ja, co ja? – Ja nie jestem apodyktyczny, natomiast osobowość mam silną. – Jeżeli tak, to genialnie poradzę sobie z moimi kretyńskimi zachowaniami trzymania się tych starych schematów i zachowań, które wyniosłem z domu rodzinnego. Może wtedy moje związki będą pełne dobrej energii, oczyszczonej ze wszystkich debilnych zlogów przeszłości. – Chyba zacznę przyglądać się ludziom na nowo, rzucę świeżą perspektywę na moje podejście do życia i wszystkich relacji, które tworzę. Przecież to ja decyduję, co robię i moje wszystkie wybory zależą tylko ode mnie. Tak, więc zaczynam pracę nad oczyszczaniem terenu.

\* \* \*

– Cześć, co porabiasz?  
– Piszę.  
– Co piszesz?  
– Moją nową książkę.  
– A co z poprzednią?  
– Niebawem będzie na rynku.  
– Wiesz, milczysz, to postanowiłem zadzwonić.  
– Jak piszę, to nie gadam, te dwie czynności wykluczają się wzajemnie.

– Wpadnij do Centrum Sztuki w piątek. Jest spotkanie z tym aktorem, który gra w filmikach dla mas. Wiesz, będzie okazja, żeby później gdzieś wyskoczyć i mądrze pogadać.

– Czy mądrze, to się dopiero okaże. Ale będę, bo dawno was wszystkich nie widziałem.

Czasami mam wrażenie, jakby mój umysł działał z drugiego planu. – Cały świat sobie, a ja sobie.

Może warto się czasami zintegrować i wyjść do ludzi. Być może warto, to się dopiero okaże? Dajmy temu szansę.

\* \* \*

Cisza, która mnie otacza, jest jak zbawcza łaska. Kiedy w nią wchodzę, mam poczucie jedności z moim życiem w pełni. A czym jest moja pełnia? Właśnie tym, że sam so-



bie stwarzam poczucie równowagi w tym świecie. Bo jeżeli sam tego nie zrobię, to mój umysł ulegnie degradacji. Rozsypie się na zbyt wiele cząsteczek, które później bardzo trudno będzie mi pozbierać. Staram się żyć w harmonii z każdą chwilą, z każdym ułamkiem sekundy mojego myślenia. Drganie mojego jestestwa jest coraz bardziej zgodne z biciem mojego serca.

Podczas mojej wędrówki nie ustaję w poszukiwaniu własnej energii. Kiedy myślę o sobie samym poznaję każdą cząstkę mojej świadomości powoli, idąc w głąb siebie. Wszystko dzieje się we mnie poza słowami. Każde moje doświadczenie w swojej istocie jest bardzo osobiste. Nie mogę nikomu przekazać moich uczuć w sposób, który dzieje się we mnie. Mogę porozumiewać się na poziomie werbalnym, ale czy to oddaje moje wewnętrzne przeżycia? Być może każda chwila, to doszukiwanie się sensu bytu w swojej czystej formie. A ja jestem tylko przekątnikiem głębszego zrozumienia prawd oczywistych. Każdy z nas jest odmiennym stanem postrzegania rzeczywistości. Jesteśmy tak bardzo determinowani przez nasze własne przeżycia, że często gubimy poczucie więzi z drugim człowiekiem. Moje doświadczenia nie zawsze współgrają z doświadczeniem drugiej istoty. Głęboka komunikacja na poziomie duchowym jest bardzo trudna. Każde nasze doświadczenie ma głęboką osobistą naturę i przeżywamy je w zupełnym odosobnieniu. Czy to jest cierpienie, czy poczucie pełnego szczęścia jest dane nam w wewnętrznym stanie odśrodkowym naszego wewnętrznego skupienia? – Staram się jednak odnajdywać ścieżki do drugiego człowieka i poszukiwać wzajemnego porozumienia. – Lubię ludzi, lubię słuchać, co przeżywają w danej chwili. – Czuję wtedy, że żyjemy w jednym czasie, w jednej przestrzeni, w momencie wzajemnych opowieści. – To nas jednoczy, a nasza energia wzrasta.

\* \* \*

Nadchodzi dzień, kiedy będę musiał zmierzyć się z opinią tłumu. – Już za kilka dni moja pierwsza książka ukaze się na rynku. – Zastanawiam się w mojej samotności na ile zdanie drugiego człowieka jest dla mnie ważne w obliczu tego, co napisałem w zgodzie z własną duszą i uczuciami? Wiem, że żadna opinia nie zmieni tego, co chciałem napisać i wyrazić słowami, żeby drugi człowiek zrozumiał moje myśli i emocje. Napisałem całą prawdę, która dotyczyła danej opowieści. To była esencja tego, co odczuwałem tworząc każdą postać i zdarzenie. Mam nadzieję, że byłem w danym momencie zupełnie skupiony na prawdzie tej historii. Oddałem ludziom, to, co było we mnie najbardziej oczywistym wyrażeniem mojej harmonii twórczej. Każde słowo było drganiem mojej duszy. – Więc jeśli znajdzie się jedna tylko osoba, która to wyczuje i znajdzie w mojej opowieści coś dla siebie, to znaczy, że osiągnąłem sukces. Sukces w rozumieniu pomocy drugiej jednostce w drodze do odnalezienia samego siebie. – Ja sam w każdej chwili jestem w poczuciu poszukiwania siebie. – Znaczenie tego jest dla mnie odzwierciedleniem mojej głębokiej wiary, w to, że esencja mojej osoby jest tu dokładnie po coś i dla czegoś.

Więc dalej idę i obserwuję.

\* \* \*

Codziennie czuję, że jestem w drodze do. – Prowadzą mnie moje pragnienia. Czym one są? Być może głosem mojego serca, który wskazuje codzienne wsparcie. W zagubieniu i niepewności wszystkich moich wyborów tkwi

trzon tego, czym ja jestem. W zakamarkach mojej duszy codziennie odkrywam nowe świadomości. Czy będąc tu, w tej chwili obecnej, mogę być głosem swojego wnętrza? – Lubię swoją samotność, odkrywam w niej troskę o samego siebie. Pielęgnuję swoją odrębność. Bo przecież jestem jeden jedyny. Nikt poza mną, nie zrozumie odgłosów mojego echa. Tam, wewnątrz mnie odgrywa się przedstawienie, w którym ja gram główną rolę.

Zima przykrywa mnie całogo. – Nigdy już nikomu nie oddam władzy nad sobą. Lubię swoją wolność w decyzjach, w odczuwaniu, w pojmowaniu życia na swój własny sposób. Ślady pozostały, ale ja się nie mylę. Byłem już zabłąkany, byłem już obłąkany, byłem uległy, byłem nijaki. Teraz te wszystkie obrazy mojej duszy odczuwają swoją siłę. Stają się jednością.

Ja staję się jednością.

Objmując moją wnikliwą uwagą wszystkie moje dotychczasowe doświadczenia, ulegam złudzeniu, że wszystko, co wydarzyło się w mojej przeszłości, uzewnętrznia się w tej chwili w postaci mojego wewnętrznego dobrobytu. Rozwijam w sobie proste i jasne zrozumienie mojej siły wewnętrznej, która podczas mojego głębokiego skupienia przynosi mi fantastyczne dary, każdego dnia i w różnej postaci. Zrozumiałem, że nie jestem tu tylko po to, żeby zaspokajać swoje zewnętrzne pragnienia. Tak, więc porzucam swoje głupawe przywiązanie do ograniczeń zmysłowych i wyruszam w podróż wyzwolonego bytu głębszego zrozumienia.

\* \* \*

Jestem w stanie upojenia. – Poznałem kobietę, która olśniła mnie swoją urodą, lekkością, rozumnym spokojem, ciszą wewnętrzną. Jestem w niej cudownie zakochany. Lecz, co teraz? Teraz poddam się temu z pełnym zaufaniem. Jej blask odjął mi rozum, wewnątrz czuję rozległe rozjaśnienie. Nigdy wcześniej z żadną kobietą nie miałem poczucia zjednoczenia. Ona ma w sobie wszystko, czego poszukiwałem.

Dobrze, że wcześniej rozstałem się z kobietą, która potrzebowała mojej ciągłej obecności. – Nie mogłem już tego znieść. Przecież potrzebuję swojej samotności i wyciszenia. Mój umysł musi być użyteczny w każdej chwili, kiedy go potrzebuję, nie mogę oddać siebie, bo tworzę, więc w każdej sekundzie, kiedy potrzebuję siebie, muszę siebie mieć.

Anna, tak właśnie ma na imię moja nowa dziewczyna, jest reżyserem filmowym. Dobrze, że ma swoje pasje, bo bym się dusił, tak jak w poprzednim związku. Każdy człowiek, który żyje swoim echem, jest fantastycznym partnerem.

Kiedy jesteśmy razem, odczuwam spokój duszy. Wszystko, czego doświadczamy razem wyrasta z chwili obecnej. Kiedy jesteśmy osobno, wszystko wyrasta z nas samych. Kiedy to się łączy w jedną całość, daje nam poczucie wyższej wartości naszych bytów.

Anna jest istotą, której już tak dawno poszukiwałem, płacząc się w beznadziejne związki, o wątpliwym poczuciu bezpieczeństwa i zapełnianiu pustki w mej samotności. Każda kobieta wnosi do życia mężczyzny tyle odmienności i różnorodności, że każda chwila spędzona w towarzystwie tej rozumnej istoty daje mi olbrzymią radość ogólnego rozwoju moich myśli i uczuć.

Być może właśnie teraz nadszedł czas, żebym dał sobie szansę na szczęście, którego mogę doświadczyć, będąc i nie będąc z drugim człowiekiem. – Być może.

## • Migracje – archeologia wiedzy

Ludzie od zawsze migrowali, chociaż motywy tych przemieszczeń były zróżnicowane. Najczęściej ludzkimi wędrówkami kierowała potrzeba zaspokajania potrzeb, w znacznej mierze egzystencjalnych. Nierzadko migrujący zmieniali miejsce pobytu także ze względu na szerzące się wojny i konflikty. Jednak najpoważniejszy rozkwit migracji nastąpił wraz z rozwojem kapitalizmu, czyli w osiemnastym stuleciu. Wtedy właśnie odnotowano wielkie fale migracyjne z biednych i przeludnionych terenów przede wszystkim wiejskich do nowo budujących się fabryk i ekspansywnych miast. Kierunek podróży był jeden: tania siła robocza przemieszczała się tam, gdzie zagościł wielki kapitał. Ten ruch migracyjny rozpoczął się wraz z rewolucją przemysłową zapoczątkowaną w Anglii. Zasadniczym bodźcem rozwoju kapitalizmu było zastosowanie na skalę industrialną wynalazku Jamesa Watta, czyli maszyny parowej, albo ogniowej, jak ją ongiś nazywano. Równocześnie następowała powolna likwidacja archaicznych manufaktur. Najważniejsza rola przypadła wówczas robotnikom, a zwłaszcza burżuazji, która skupiała w swoich rękach środki produkcji. Ale z upływem czasu robotnicy jęli uświadamiać sobie własne upośledzenie i upokarzające warunki życia. Rewolucja była tylko kwestią czasu. Jedną z tragicznych jej zapowiedzi stał się luddyzm, który rozwinął się w Anglii. Był to program sabotażu i niszczenia maszyn, które zabierały pracę ludziom. Nazwa ruchu wywodziła się od twórcy Neda Ludda, wielkiego przeciwnika industrialnego pochodu.

## • Ludzie zbędni, ludzie luźni

Proces industrializacji podzielił świat na szybko rozwijający się i potrzebujący siły roboczej oraz zapóźniony w rozwoju, który dostarczał tanich robotników. W gronie tych drugich znalazła się Polska, chociaż, będąc pod zaborami, sama charakteryzowała się zróżnicowanym poziomem uprzemysłowienia. Najkorzystniej wyglądały ziemie pod zaborem pruskim. Najgorzej Galicja. I to właśnie na ziemiach zaboru austriackiego odnotowano najliczniejsze fale polskich emigrantów, którzy przede wszystkim udawali się do krajów Europy zachodniej i krajów zaoceanicznych. Wieś traciła samowystarczalność, a chłopci coraz częściej byli beznadziejnie zadłużeni. Raptownie powiększała się



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik  
spóźnionego przybysza

# Dlaczego Polacy zaczęli migrować? (I)

kategoria ludności bezrolnej, chłopów biednych, ludzi luźnych i ludzi zbędnych. Z drugiej strony pojawili się chłopcy z dużym areałem, którzy opierali swoje gospodarstwa na sile najemnej. Robotnicy zamieszkiwali przede wszystkim miasta, znajdując zatrudnienie w powstających fabrykach. Takiej pracy szukali również chłopcy, którzy rozpoczęli wędrówkę ze wsi do miast. Wypychała ich wiejska bieda a przyciągała perspektywa pracy w industii. Ponadto, wśród polskich emigrantów z zaboru pruskiego występował motyw narodowy. Polacy bowiem opuszczali te ziemie, aby nie pracować w fabrykach, których właścicielami byli Niemcy.

## • Chłopi, robotnicy – słowem polscy wychodźcy

Emigracja Polaków drugiej połowy XIX wieku i pierwszej wie-

ku XX opierała się na rzeczywistości rodzącego się kapitalizmu. Była to przede wszystkim emigracja polskich chłopów i niewykwalifikowanych robotników. Ten przesiedleńczy ruch wynikał nade wszystko z niedostatku uprawnej ziemi, bezrobocia i bardzo niskich zarobków, jak również z pogłębiającej się biedy na polskiej wsi i w nielicznych miastach. Stąd ruchy migracyjne miały głęboki wpływ zarówno na postawę migranta, jak i kraje emigracji i imigracji. Ta pierwsza rewolucja migracyjna Polaków miała dwie zasadnicze przyczyny: po pierwsze działalność werbunkowa, której celem było sprowadzenie taniej siły roboczej. Po drugie, pewien zwyczaj wyjeżdżania na emigrację, który szczególnie mocno zagościł w Galicji, i który jest wyraźnie aktualny. Dzisiaj jednak w świadomości Polaków regionem najbardziej związanym z ruchami migracyjnymi jest Górny Śląsk. Niemniej, decyzja o emigracji dobrowolnie bądź pod pewnym przymusem podejmowana przez jednostkę niosła i niesie dla niej poważne skutki przede wszystkim w zakresie zmiany statusu ekonomicznego i kulturowego.

## • Emigracyjny bilans

Emigrujący chłop stawał się robotnikiem najemnym, podobnie jak emigrujący rzemieślnik, który wchodził w stosunek pracy o charakterze najemnym. W ten sposób zmieniała się pozycja społeczno-klasowa tych ludzi. Zmieniały się warunki materialne i poziom potrzeb życiowych. Styczność z miejscową ludnością wymuszała również modyfikację zachowań, stylu życia czy systemu aksjologicznego i normatywnego. Tak więc Polacy ulegali stopniowej asymilacji, która była procesem długotrwałym. Jej widoczne skutki dotyczą przede wszystkim kolejnych pokoleń Polaków już urodzonych w kraju osiedlenia. Izolacja od świata zewnętrznego pokolenia imigrantów przeobrażała się w kolejnych pokoleniach w jednostki charakteryzujące się różnym poziomem asymilacji. Równocześnie emigrujący Polacy pozbawiali swój kraj siły roboczej, a także ze względu na status, wypychali z rynku pracy droższą siłę roboczą w kraju przybycia. To najbardziej ważne skutki zjawiska migracji zarówno w czasach minionych, jak i współcześnie.

*Felieton powstał we współpracy z dr hab. Anną Śliz, profesorem Uniwersytetu Opolskiego*

Kiedy znakomity tłumacz i popularyzator literatury polskiej w Niemczech Karl Dedecius przekazywał w 2001 r. Bibliotece Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie nad Odrą swój bogaty zbiór biblioteczny, obejmujący obok książek, obszerną korespondencję, rękopisy, zdjęcia i inne dokumenty, zapewne przeczuwał, iż jego uporządkowanie i skatalogowanie przyczyni się do zainicjowania ciekawych naukowych projektów i rozpoznania nie opisanych obszarów literatury polskiej i jej recepcji w kraju naszych sąsiadów.

# O sztuce pielęgnowania niemiecko- polskiego dialogu

## Archiwum Literackie Karla Dedeciusa

Uroczyste otwarcie Literackiego Archiwum Karla Dedeciusa – całość zdeponowano w budynku Collegium Polonicum w Ślubicach – w październiku 2002 r. oznaczało udostępnienie badaczom cennych materiałów źródłowych i korzystanie z nich także w formie elektronicznej. Od tej chwili minęło już ponad dziesięć lat, które pozwalają spojrzeć na translatorskie dzieło K. Dedeciusa i jego znaczenie dla polsko-niemieckiego transferu kulturalnego z perspektywy dzisiejszej. Archiwum wciąż się rozrasta, posiada bowiem dzięki wsparciu finansowemu Deutsche Forschungsgemeinschaft i twórczemu wysiłkowi kierownika placówki Błaże-

ja Kaźmierczaka spuściznę po innym wybitnym tłumaczu prozy i poezji polskiej, Henryku Beresce, a także po prof. Erichu Dauzenrothcie z Giessen, tłumaczu utworów Jana Korczaka. Wzrasta poza tym ilość opracowań, przyczynków, artykułów i studiów o samym Dedeciusie, jego biografii, długolenej praktyce przekładoznawczej i wielu działaniach służących zbliżeniu między Niemcami i Polakami.

„Wymiana kulturalna – pisał w 1993 r. Dedecius – jest regulatywem stosunków zagranicznych [...]. Nasza polityka zagraniczna jest częścią naszej kultury. Częścią i wyrazem [...]. Kultura i wymiana potrzebują języka. Kultura jest językiem i nasz język jest kulturą” („Rocznik Karla De-

deciusa”, Tom VI, Łódź 2013, s. 11, 12). Słowa te wypowiedziane w latach najbardziej dynamicznego rozwoju założonego przez Dedeciusa w grudniu 1979 i kierowanego przez niego do 1998 r. Deutsches Polen-Institut (Instytut Kultury Polskiej) w Darmstadt, dotyczą nie tylko kulturowej roli tego centrum w zakresie promowania polskiej literatury w Niemczech ale i możliwości rozwijania niemiecko-polskich kontaktów kulturalnych, upowszechniania polskiego filmu, muzyki, plastyki i malarstwa ponad politycznymi podziałami.

Zarówno redagowany przez łódzkiego niemcoznawcę prof. Krzysztofa A. Kuczyńskiego od maja 2008 r. „Rocznik Karla Dedeciusa” – K.A. Kuczyński jest autorem wielu książek, monografii, tomów zbiorowych, i studiów o Dedeciusie – jak i publikacje Archiwum Karla Dedeciusa w serii „OderÜbersetzen” zaznajamiają ze stacjami długiego i pracowitego życia tłumacza i z „tajemnicami” jego sztuki translatorskiej, przybliżają także znaczące inicjatywy wydawnicze, np. antologię polskiej poezji, krótkiej prozy czy eseistyki ukazujące się w założonej przez niego w 1982 r. serii „Polnische Bibliothek”, i wprowadzają za kulisy artystycznego warsztatu polskich i niemieckich tłumaczy literatury pięknej.

Dziewięćdziesiąta rocznica urodzin Dedeciusa obchodzona uroczystie na uniwersytecie Viadrina w maju 2011 była kolejną okazją do przypomnienia jego kontaktów z polskimi ludźmi kultury, sztuki i nauki, z polskimi instytucjami i organizacjami, a także z rodzinnym miastem Łodzi, gdzie w Muzeum Miasta mieści się stała ekspozycja poświęcona „czarodziejowi z Darmstadt” (to tytuł książki K.A. Kuczyńskiego o K. Dedeciusie), gdzie gimnazjum nosi jego imię, a uniwersytet organizuje dedykowane jego dziełu spotkania i sympozja.

28 listopada 2013 r. odbyła się na Europejskim Uniwersytecie Viadrina niezwykle ważna dla dalszych losów powstałego w 2001 r. archiwum uroczystość. W obecności Dedeciusa i wielu znakomych gości, w tym grupy byłych i obecnych pracowników Deutsches Polen-Institut i dyrektora Collegium Polonicum dr. Krzysztofa Wojciechowskiego, powołana została Fundacja „Archiwum Literackie Karla Dedeciusa”, którą JM Rektor uniwersytetu dr Gunter Pleuger nazwał ważnym, „zmuszającym do odpowiedzialnego działania krokiem w kierunku rozwijania studiów interdyscyplinarnych i kontynuowania niemiecko-polskiego dialogu”. Natomiast dyrektor Fundacji im. Roberta Boscha wspierającej finansowo od początku projekty translatorskie Dedeciusa, prof. dr hab. Joachim Rogall, zaznaczył w swojej laudacji, iż dzięki „wrażliwości niemieckiego tłumacza na walory artystyczne polskiej literatury wypełniona została luka w wykształceniu niemieckich czytelników”. Przypominając najważniejsze fakty z życia Dedeciusa, atmosferę domu rodzinnego, gdzie mówiono po polsku i niemiecku, lata na-

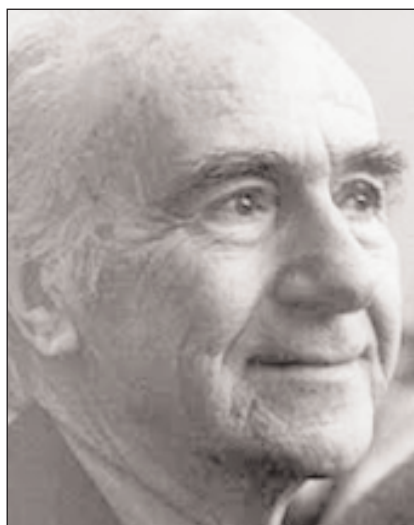
uki w polskim gimnazjum w Łodzi, odyseję wojenną wypełnioną traumatycznymi przeżyciami frontowymi i ciężką chorobą, pobyt w rosyjskim obozie jeńnickim, gdzie uczył się rosyjskiego i czytał młodzieńcze wiersze Lermontowa w oryginale, okres powojenny i kolejne stacje życiowej wędrówki, Weimar i Bonn, gdzie rozpoczął karierę urzędniczą pracując w towarzystwie ubezpieczeniowym Allianz, wreszcie Frankfurt nad Menem, podkreślił, iż akt powołania fundacji jest zadaniem zobowiązującym uczelnię do dalszej pracy. „Pańska praca, panie Dedecius, nie poszła na marne; zasiane ziarno wydaje owoce, a Viadrina jest częścią tego sukcesu. Uważam, że w dialogu między Niemcami i Polakami powinno się postawić na siłę kultury, ponieważ kultura jest kluczem do zrozumienia innych narodów, a książki mogą tego dokonać”.

Punktem kulminacyjnym uroczystości było wystąpienie Karla Dedeciusa, w którym zaprezentował się jako mistrz słowa, zwięzłości i pięknej dykcji. Wspominając kilka mniej znanych zdarzeń ze swojej biografii, między innymi pierwszą po wojnie podróż do Polski w 1959 r., i spotkanie ze Stanisławem Lecem w Warszawie, zacytował dwa aforyzmy polskiego autora, które go wówczas, debiutującego tłumacza, „niemal poraziły”.

„Te krótkie, oszczędne w wyrazie, a przecież wciąż używane słowa, te logiczne i dowcipne zbiory słów, np. *Ex oriente lux, ex occidente luxus, czy Żegar tyka. Wszystkich*, są inne, krótsze i bardziej oryginalne od aforyzmów niemieckich” – podsumował.

Nawiązując z kolei do przełomu październikowego w polskiej poezji, do różnic pokoleniowych i sporów między „starymi i współczesnymi poetami”, przypomniał liryki pisarza przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, Adama Asnyka. „Zafascynował mnie sposobem przedstawiania w poezji różnych wymiarów czasu, refleksją nad tym, co przeszłe i tym, co teraźniejsze To, co stare było dla niego końcowym produktem tego, co nowe, przemijalność była równocześnie przyszłością” – wyjaśnił, recytując z pamięci dwa wiersze poety *Do starych* i *Do młodości* we własnym przekładzie na język niemiecki.

Dziękując władzom rektorskim Uniwersytetu Europejskiego Viadrina za wsparcie inicjatywy powołania Fundacji „Archiwum Literackie Karla Dedeciusa”, a Fundacji im. R. Boscha za finansową i duchową pomoc okazywaną jego niemiecko-polskim projektem, podkreślił, że Viadrinę i Collegium Polonicum w Słubicach łączy most, scalający oba brzegi, „rozśadek i solidarność”. „Oddaję z ufnością w Państwa niezawodną rękę mój literacki dobytek – powiedział wzruszony – aby chroniono go i korzystano z wciąż jeszcze ważnych praw do moich książek i polonistycznych półfabrykatów spoczywają-



Karl Dedecius

cych w skrzyniach i kartonach. Przekazując także osobiste, namalowane dla mnie obrazy”.

Wśród zaproszonych gości głos zabrała prof. dr hab. Bożena Chołuj z Collegium Polonicum, porównując pracę tłumaczeniową Dedeciusa i jego działalność w Deutsches Polen-Institut do szkoły uprawy roślin, „wciąż powiększającej się o nowe rośliny, o naukowców i artystów, studentów niemiecko-polskiego programu studiów i przynoszącej dzisiaj plony”.

Dodatkowym akcentem, podkreślającym wyjątkowy i podniosły charakter uroczystości, była jej oprawa muzyczna – dwoje młodych artystów, pianista i skrzypaczka wykonywali utwory Chopina i Wieniawskiego – oraz krótkie przemówienie prof. Krzysztofa A. Kuczyńskiego, adresowane w imieniu wszystkich łodzian do Dedeciusa i połączone z promocją wydanej przez Muzeum Miasta Łodzi dwujęzycznie, zbioru wierszy J. Tuwima w jego przekładzie pt. *Nasz 20. wiek. Unser 20. Jahrhundert*. Bibliofilską publikacją, w której zamieszczono ilustracje dokumentujące życie miasta w okresie międzywojennym, zawiera osiemnaście utworów poetyckich Tuwima, powstałych w latach 1918–1953, w tym także fragmenty *Kwiatów polskich* i *Jambów politycznych* oraz znany polskim czytelnikom wiersz z 1930 r. pt. *Mieszkańcy*.

Wyjaśniając w krótkim wprowadzeniu do tomu powody decyzji translatorskiej i fascynacji poezją Tuwima, Dedecius nie omieszka przypomnieć, iż obaj urodzili się w tym samym mieście, że „musieli odrychać tym samym ciężkim powietrzem”, jednak przyczyną zainteresowania się jego poezją, był jej niezwykle język, „muzykalne kaskady zdań”, które „niepokoiły jego wyobraźnię już w latach szkolnych”, prowokując go do ich przetłumaczenia. „Tuwim był wiernym synem swojego i mojego miasta urodzenia, synem szybko rozwijającej się wielonarodowościowej społeczności. Żył następstwami gwałtownych przemian et-

nicznych, kulturowych i politycznych w Europie [...]. Jako jeden z pierwszych rozmyślał o globalizmie XXI wieku już w wieku XX. Jego dzieło ma głębsze, wizjonerskie znaczenie. Pozwala nam odczuwać jego wewnętrzne przemiany, w całej ich wyrazistości i gwałtowności [...]. Jego język demaskuje wyniosłość *Mieszkańców* i *Fryzjerów*, gniew, frustracje, rozgoryczenie („Et arceo”) wobec – nie myślących, których panicznie unika („Odi profanum”), by potem uznać konieczność zajęcia jednoznacznego stanowiska poetów w sprawach polityki („Jamby polityczne”). W gruncie rzeczy Tuwim okazuje się we wszystkich formach i tematach obywatelem świata kultury globalnej”.

Słowa te, podobnie jak i słowa jego wystąpienia na Uniwersytecie Europejskim pokazują, iż Dedecius, przekładając polską poezję na język niemiecki, swobodnie panuje nie tylko nad jej polami semantycznymi i składniowymi, nad chwytami stylistycznymi i bogactwem form artystycznych, lecz że ważna jest dla niego treść utworu i przesłanie poety. Przekładając, np. cytowane aforyzmy Leca, wiersze Asnyka i Tuwima, odczytuje ich ukryte sensy i pointę, starając się zachować w języku niemieckim nastrój i „ducha” oryginału.

Fundacja „Literackie Archiwum Karla Dedeciusa” zapewnia dostęp do archiwalnych dokumentów związanych z pracą translatorską, działalnością popularyzatorską i wydawniczą K. Dedeciusa – Dedecius, o czym należy pamiętać, jest także autorem kilku książek m.in. przełożonego na język polski *Notatnika tłumacza*, studiów kulturoznawczych, *Polacy i Niemcy. Posłannictwo książek czy O Polsce, Europie, literaturze* i autobiografii *Europejczyk z Łodzi Wspomnienia* – dostarczając także materiałów źródłowych do poznania historii niemiecko-polskich spotkań literackich począwszy od lat pięćdziesiątych i kończąc na nowym tysiącleciu, rozumianych jako wymianę myśli między polskimi pisarzami i ich niemieckim tłumaczem i jako inspirujący dla obu stron transfer idei ponad granicami państwowymi, cenzurą i różnicami światopoglądowymi.

„Przekłady Dedeciusa – zauważa Błażej Kaźmierczak – to dana Niemcom możliwość zrozumienia słowa, kultury bliskiego sąsiada. Dla polskiego odbiorcy rodzimej poezji oddanej w języku Schillera i Goethego, to piękna przygoda, podróż przez polskość po niemiecku, jakże odkrywczą [...] „Poezja Dedeciusa”, daje nam wiarę w to, że są w Europie Zachodniej obszary, gdzie polskość ma szansę być zrozumiała”.

Oba aforyzmy Leca ze zbioru *Myśli nieuczesane*, Dedecius zamieścił po raz pierwszy w opublikowanej w 1962 r. w wydawnictwie Hanser Verlag antologii pt. *Polnische Pointen. Satiren und kleine Prosa*.

**Dyrektorka ośrodka kultury się niecierpliwi. To już trzeci gong, „teater” czeka, a kolejka chętnych po autografy wcale nie maleje. Kurtyna się co chwila uchyla, by sprawdzić czy autor skończył już podpisywać książki.**

# A po co ci to, Alojz...

Autor, czyli 82-letni Alojzy Kuś, wydał właśnie swoją trzecią książkę o historii rodzinnej miejscowości, Suszca koło Pszczyny. I na jej uroczystą promocję podczas listopadowych Dni Suszca przyszły tłumy, a kolejka chętnych po autografy spowodowała niewielki poślizg w przedstawieniu. Dziś suszeczcy aktorzy grają „Flirt”, mieszcząską komedię Michała Bałuckiego, o „miłosnym podrywie”. Akcja rozgrywa się u schyłku XIX wieku. Wykwintne stroje, secesja, wytworna polszczyzna – aktorzy umiejętnie tworzą klimat, widownia chwytą ironię i bawi się tą odwieczną „grą płci”. Ale najbardziej suszczanie się cieszą, widownia wprost tarza się ze śmiechu, gdy dwie śląskie babce, takie swojskie klachule, wychodzą w przerwie, przy zmianie dekoracji i komentują spektakl. A robią to po śląsku i z typowym konkretnym, śląskim, prostolinijnym podejściem, kpiąc z tych „wielkopańskich” zachowań dawnych mieszczuchów.

– Podoba się panu? – zagaduje autor. Przytakuję.

– Też byłem aktorem – słyszę. – Zresztą gdzie mnie nie było? Wszędzie mnie niosło. Pamiętam, jak do Jankowic żeśmy jechali zimą koniami ze spółdzielni, by dać dwa przedstawienia. W nocy żeśmy przyjechali, zmarznięci... Tyn teater prowadził taki nauczyciel Wojtek, który też był organistą w Suszcu, za co później go zdegradowali... Były to lata 50., jo już był żonaty, a żona, jak to kobieta, się sprzeciwiła temu mojemu granuu. Wiadomo, byłem młody, tam grały piykne dziolchy... A jo wracół w nocy z tych przedstawień, niy? Do dzisiaj pamiytom, jak tyn rehtar Wojtek prosił moją ślubną: „pani Kusio-wa, niech go pani jeszcz na tyn sezon jesienno-zimowy puści”... I uprosił – dodaje ze śmiechem... – I bez chwaleńia mogę się przyznać, że wszędzie mnie było pełno, i wszędzie mnie chcieli. Moja ślubno była raczej domatorem, a jo mu-

sioł być wśród ludzi. To był zawsze mój żywioł – przyznaje.

## Przeszłość to moja pasja

– „A dziadek tam ciągle opowiada i opowiada, a my nic nie wiemy, a jakbyście coś spisali?” – usłyszałem od moich bliskich – zwierza się suszecki dziejopis. – Więc napisałem kronikę, 80 stron o dziejach własnej rodziny, bez zagładania w jakiegokolwiek dokumenty, archiwalia. Wyłącznie z własnej pamięci, z głowy. Bo historia zwłaszcza ta własna, tutejsza zawsze mnie interesowała. I tak jakoś wyszło, że dużo rzeczy po prostu wiedziałem.

Pierwszą książkę o suszeckich kapliczkach i krzyżach, grotach i pomnikach (pt. „Świadectwa wiary i pamięci”) Alojzy Kuś wydał z pomocą władz tutejszej gminy w 2007 roku.

– Moja żona Aniela jakoś sceptycznie do tego podchodziła – wspomina. – Pytała: a po co ci to, Alojz? Wiedziała jednak, że zawsze wszędzie mnie było pełno. Te kapliczki nie dawały mi spokoju. Objęzdziłem je wszystkie, pospisywałem. I jeździłem po chałpach, sie o nie pytać. Łukasz Majorowski, pracujący na gminie, młody pasjonat historii, pomógł mi porobić zdjęcia. Padom mu, Łukasz tyś je młodszy, dom ci te adresy... I w końcu poszedłem do naszego wójta i jakoś znalazły się pieniądze na wydanie tej książki. Żona, niestety tego już nie dożyła, tego finału...

„NIE WIEMY, W JAKICH OKOLICZNOŚCIACH GINĘLI BOHATEROWIE TEJ KSIĄŻKI. NIE MAMY WIEDZY O ICH RELIGII, CHOĆ Z PEWNOŚCIĄ WIERZYLI W BOGA. W WIĘKSZOŚCI WYPADKÓW NIE POSIADALI DOKUMENTÓW, STĄD NIE MOŻEMY STWIERDZIĆ, W JAKIM WIEKU ZGINĘLI. WRESZCIE, POZOSTAJĄ PYTANIA CZYSTO LUDZKIE. CZY BYLI SAMOTNI? KOGO OPUŚCILI – RODZICÓW,

RODZĘSTWO, WŁASNĄ RODZINĘ, NIELETNIE DZIECI, MAŁŻONKĘ?”

(A. Kuś, „Znani – nieznan – bezimienni”, Suszec 2010)

Kolejną publikacją, albumową, wydaną w czerni, w dużym formacie była książka o suszczanach poległych na frontach drugiej wojny, wcielanych przymusowo do niemieckiego wojska, Wehrmachtu, a także o zachowanych niemieckich mogiłach żołnierskich z tego czasu. Nosila tytuł „Znani – nieznan – bezimienni”. – Tutaj już musiałem prosić o pomoc zaprzyjaźnionych sołtysów z całej gminy, bo nie dałbym rady objechać wszystkich – przyznaje. – Wypisałem więc, o co mi chodzi, a oni obeszli swoje miejscowości z odpowiednimi ankietami, pozbiali zdjęcia, rodzinne pamiątki, listy. W albumie znaleźli się ci, co chcieli.

„W ZASADZIE KAŻDA SUSZECKA RODZINA ZOSTAŁA DOTKNIĘTA ŚMIERCIĄ SWOICH BLISKICH – OJCA, SYNA, WUJKA ITP. TA BESTIALSKA WOJNA POCHŁONĘŁA W SUSZCU 76 OSÓB (...) MOŻNA PRZYJAĆ, ŻE NA PEWNO NIE JEST TO OSTATECZNA LICZBA POLEGŁYCH. W OSTATNIM ROKU WOJNY (1944), KIEDY JUŻ WSZYSTKIE MOŻLIWOŚCI WCIELANIA DO WOJSKA ZOSTAŁY WYCZERPANE, NIEMCY W AKCIE DESPERACKIM WCIELALI DO WOJSKA DZIECI MAJĄCE 16-17 LAT.”

(A. Kuś, „Znani – nieznan – bezimienni”, Suszec 2010)

Dwieście nazwisk, przeważnie młodych chłopców, których pożarła wojna. Spoglądają na czytelników – jakby żywi. Niektórzy świeżo po ślubach, z rodzinami. Nie wiedzieli, że zginą.

– To byli moi starsi koledzy – podkreśla autor. – Miałem w czasie wojny kilkanaście lat, jestem 1931 rocznik, mało brakowało, a by i mnie wzięli. I też mógłbym skończyć, jak oni. niewiele młodszy byłem...

„ROK 1939 – SIERPIEŃ, TO OKRES W KTÓRYM NIE SCHODZIŁY Z UST MIESZKAŃCÓW WIĘŚCI O ZBLIŻAJĄCEJ SIĘ WOJNIE. POTWIERDZENIEM TYCH PRZYPUSZCZEŃ BYŁA WIELKA MOBILIZACJA TYCH SPOŚRÓD MĘŻCZYŹN, KTÓRZY W OSTATNIEJ DEKADZIE SIERPNIA OTRZYMALI KARTY MOBILIZACYJNE DO WOJSKA. JEDNĄ Z NICH OTRZYMAŁ MÓJ OJCIEC – ANTONI KUŚ.”

(A. Kuś, „Suszec przez wieki 1326-2013”, Suszec 2013)

Ojciec pana Alojzego, 36-letni starszy strzelec Antoni Kuś, zginął w czasie wojny. Na jego grób rodzina trafiła dopiero wiosną 2012 roku, w trakcie powstawania ostatniej książki.

– 25 marca 1940 roku zmarł w Warszawie w szpitalu wojskowy pochowany został na Powązkach, w wojskowej części założonej jeszcze w 1916 roku. Taką wiadomość podpisaną przez dyrektora szpitala i kapelana szpitalnego dostaliśmy jeszcze w czasie wojny. Nie pojechaliśmy tam, to była już Generalne Gubernia,

za granicą. Była wojna, okupacja. Kto by się tam z nami wyprawił? Matka sama się bała. Poza tym nie mieliśmy pieniędzy. Na pogrzeb ojca więc nie pojechaliśmy. Po wojnie, już z małżonką, byłem kilkakrotnie na Powązkach, ale tej części „cywilnej”. Nie mieliśmy dokładnej informacji, gdzie jest grób ojca. Byliśmy pewni, że pochowano go raczej w jakieś zbiorowej mogile. Jakoś nigdy nie dawało mi to spokoju. Mówię kiedyś synowi, „jakbyś w internecie poszukał, być może, że tyn cmentarz i te mogiły będą dokładniej opisane”. Ewidencja powinna być jakaś. I miałem rację. Ani pół godziny nie trwało, dostałem mapkę, wszystko. Pomylili tylko numery mogił. Pojechałem tam w sierpniu 2012 roku z najstarszym i najmłodszym synem – wspomina pan Alojzy, choć nie wszystko w tej historii jest do końca jasne. – Z tego co wiem, ojciec był w niewoli rosyjskiej. Ale nie wiem, co się tam dokładnie wydarzyło. Przetrasportowali go do Polski z innymi jeńcami, dostał się w Warszawie do szpitala. Przypuszczam, że zachorował, mógł mieć zapalenie płuc. To nie jest powiedziane do końca w dokumentach, do których dotarłem. W każdym razie – ojciec napisał list, że się czuje dość dobrze i wnet do nas wróci. Lecz nie wrócił.

„7 LUTEGO 1945 ROKU NIEMIECKIE POCISKI WZNIECIŁY POŻAR, W NASTĘPSTWIE KTÓREGO SPALIŁA SIĘ WIEŻA SUSZECKIEGO KOŚCIOŁA I BĘDĄCY W NIEJ MAŁY DZWON ORAZ CAŁE URZĄDZENIE ZEGAROWE. PONIEWAŻ BYŁA TO LINIA FRONTU, NIKT POŻARU NIE GASIŁ, A MIMO TO RESZTA KOŚCIOŁA NIE ULEGŁA SPALENIU. CHYBA TRZEBA PRZYJĄC, ŻE BYŁ TO CUD...”

(A. Kuś. „Suszec przez wieki 1326-2013”, Suszec 2013)

A. Kuś: – Niemcy ostrzelali kościół, bo Rosjanie urządzili sobie punkt obserwacyjny na kościelnej wieży. Zajęli północną część wsi. Niemcy zaś okopali się w lesie, tam gdzie teraz jest ośrodek „Gwarus”. I było takie przemieszczanie. Raz Rosjanie zajmowali dworzec kolejowy, to znów odbijali go Niemcy. W Suszcu front przemieszczał się przez sześć tygodni. Dopiero w marcu 1945 roku ruszyła ofensywa.

### Wszędzie mnie było pełno

— **S**połecznikiem byłem od początku – wyznaje Kuś. – I wszędzie, cudem, jakoś mi się udawało, miałem sukcesy. Ludzie to doceniali. Ale Kuś zawsze musiał się odezwać... Inni siedzieli cicho, ja nie. Zawsze miałem jakieś pytania i wszyscy mnie znali – w gminie, i powiecie, i województwie. W różnego rodzaju radach zakładowych, komisjach, przeważnie finansowych, gminnych, czy radach, egzekutywach byłem na okrągło. Przez kilkanaście lat przewodniczyłem komitetowi rodzicielskiemu, póki do szkoły chodzili moi synowie – za ten czas ufun-



Alojzy Kuś w... kuchni (tu się najlepiej gawędzi o starych czasach), ze swoją najnowszą publikacją.

dowano szkole sztandar i tablicę z imieniem patrona, Janusza Korczaka. Wybrali mnie nawet radnym w Mizerowie, gdy powstawały gromadzkie rady narodowe...

Dwie dekady Kuś softysował w Suszcu.

– Już na emeryturze, w 1982 roku poszedłem na zebranie wiejskie i mnie wybrali. Konkurent dosłał dwa, trzy głosy, a ja resztę... – wspomina.

Dał się poznać, jako konkretny człowiek. – Panie, u mnie nie było, że nie idzie – podkreśla. – Jak trzeba było, to się siedziało wieczorami. Jak powiedziałem, że coś będzie, to było, na konkretny termin. No, chyba że były jakieś wyższe okoliczności. Ale nigdy nie lubiłem przeciągać terminów. Miało coś być, to było. Trzeba było drogi utwardzić, to utwardziliśmy. Obiecałem sobie i mieszkańcom, że zbudujemy dom kultury z kilkusetosobową salą i sceną, to tego dopilnowałem. Choć pytano się mnie, czy damy radę, i choć uznano mnie za wariata. Oddaliśmy ośrodek kultury końcem listopada 1991 roku. Byłem w komitecie budowy. Pracowałem z ludźmi społecznie, i w ciągu dnia, i wieczorami. Jak trzeba było, to huknąć potrafiłem, jak na kopalni... – uśmiecha się.

W tej sali właśnie, do której powstania przyczynił się Kuś-softys, Kuś-historyk amator podpisywał swoje kolejne książki.

### Z piłką i śpiewem przez życie

**A**le softysowanie to nie wszystko. Okazuje się, że autor był także sportowcem i – jest nadal – chórzystą. Choć może w pierwszym wypadku lepiej powiedzieć, że był działaczem sportowym, bo grał, przyznaje to, niezbyt często („nie byłem urodzonym piłkarzem, ale jak było trzeba – grałem”).

– Tutejszy Ludowy Zespół Sportowy założył pan Paweł Dawid, który pochodził z Rudy Śląskiej. To był już wtedy żonaty, starszy pan. Wzenił się do Suszca, a sportowo angażował się najpierw w rodzinnych stronach, a później u nas. Mogę powiedzieć, że pod koniec lat 40. współtworzyłem ten suszecki LZS. Pełniłem chyba wszystkie funkcje, jakie były – od skarbnika, przez sekretarza, aż do prezesa. Mam jeszcze do dzisiaj szklanki i dzbanek, który otrzymałem w 1955 roku w prezencie ślubnym od naszego klubu sportowego. Prowadziliśmy bufety, z pierwszego bufetu odpustowego kupiliśmy stroje, które jako żywo przypominały te, które miała „Cracovia”, były takie „pasiate”. Jeszcze wtedy byłem kawalerem.

– Chodźcie na próby zespołu... – dobiekam.

– Chór „Pogodna Jesień”, już 17 lat z rzędu – uzupełnia pan Alojzy. – Przedtem cały czas śpiewałem, w różnych amatorskich zespołach. Wszędzie byłem, gdzie śpiewano, bo lubię śpiewać... Mój wujek był kapelmistrzem orkiestry i on nas ćwiczył, w swoim domu. Już nikt z tego kwartetu nie żyje, poza mną... Gdzie śpiewaliśmy? Szkołę oddawali w 50. latach, tośmy w kwartecie śpiewali na akademii... Pasję żeśmy śpiewali w chórach kościelnych. Chór zresztą był tworzony dwukrotnie...

Idziemy głębiej w życiorys suszeckiego dziejopisa. Skąd tak dobrze zna się na funkcjonowaniu samorządu?

– Miałem na to ogląd, można tak powiedzieć, z różnych stron – mówi. – Bo byłem nie tylko softysem, a więc najbliższej tej prawdziwej, oddolnej samorządności, ale i urzędnikiem powiatowym, co prawda jeszcze na przełomie lat 40. i 50. (wtedy jeszcze czuło się oddech tej przedwojennej registratury). Przeszedłem wszystkie niemal szczeble urzędnicze – od praktykanta, który musi się nauczyć kleić znaczki, przez referenta, po kierownika administracyjno-gospodarczego wydziału finansowe-

go, któremu podlegało kilkadziesiąt osób i to z terenu całego, dawnego powiatu pszczyńskiego, wtedy jeszcze z Mikołowem, Bieruniem i Tychami. Pod wydział powiatowy podlegała m.in. opieka społeczna, gospodarka komunalna i mieszkaniowa, komunikacja.

Nic dziwnego, że przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej w Pszczynie, Niemcewicz, nie chciał takiego specja wypuścić. Życiorys zawodowy mojego rozmówcy jest przebogaty, pracował m.in. przez rok przy budowie gozałkowskiej zapory w 1955 roku (głównie rozliczanie faktur), potem miał kilkuletni epizod w pszczyńskim LOK-u, gdzie stworzył „park maszynowy”, który umożliwił chętnym zdawanie na prawo jazdy. Wreszcie, w 1963 roku, trafił na kopalnię „Jastrzębie”, świeżo po jej uruchomieniu, gdzie pracował jako m.in. dysponent w przewozie [„musiolech rozdysponować wszystkie wozy do przodków, na ściany, materiały i potem spisać urobek jaki idzie pod szyb na koniec szychty, o tem musieli mi meldować maszynioki, wiewa tego wiewoz?”] Był też w latach 60. szefem kopalnianego radiowężła [przeszedł m.in. szkolenie prowadzone m.in. przez katowicką rozgłośnię], a także przewodniczył tamtejszym związkom zawodowym. Z kopalni odszedł w 1981 roku.

## Wsparcie pokoleń

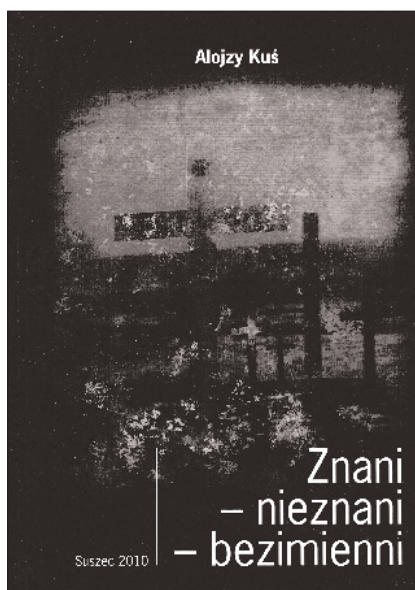
**Na** promocji najnowszej książki pierwsze miejsce zajęli najbliżsi pana Alojzego – dzieci i wnuki, które przyszły – widać było, że z dumą – kibicować. Rodzina aktywnie współuczestniczy w jego odkrywaniu przeszłości. Najmłodszy syn Mirosław, rocznik 1965, geodeta z profesji (pozostali trzej synowie i córka są związani z branżą górniczą), cierpliwie przepisuje ojcowe teksty.

– A czasem wspiera mnie w tym też synowa Gabriela. „Łona robi przy tych komputerach, to poradzi”, bo jo wszystko pisza ręcznie – dodaje pan Alojzy. I pokazuje zeszyt z zapiskami z ostatniej publikacji.

Rodzina – to czterech synowie: najstarszy Grzegorz (rocznik 1956), Wojciech (rocznik 1958), Jan (rocznik 1963) i najmłodszy syn, wspomniany już Mirosław (rocznik 1965) i jedyna córka, Małgorzata (rocznik 1959). Pan Alojzy doczekał się dwunastu wnucząt. W roku wydania swojej najnowszej książki urodziła się mu prawnuczka Lena. – Moja rodzina to typowi „techniczni”, a nie humaniści – mówi i pokazuje mi zaproszenie na obronę doktorską. W grudniu jego wnuczka, Agata Małysiak, suszczanka, obroniła na Politechnice Śląskiej doktorat. Temat dosyć specjalistyczny – i trudny do zrozumienia: „Wybrane zagadnienia przenoszenia skali w krystalizatorach z wewnętrzną cyrkulacją zawiesiny”.

## Wiąż, suszecki świadek

**Na** okładce książki „Suszec przez wieki” jest wiąź, najstarszy świ-



„Znani – nieznan – bezimienni” to druga książka Alojzego Kusia.

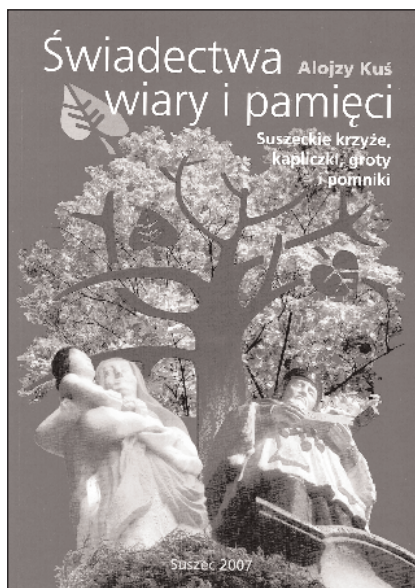
dek historii miejscowości. Ma już 350 lat, wiele widział, słyszał i przeżył – choć mówić nie umie – a szkoda. – Dobrze się stało, że znalazł się na okładce – cieszy się autor. – Marnieje, choć zawsze o niego dbamy. Za mojego sołtysowania też były przeprowadzane zabiegi konserwatorskie i pielęgnacyjne, ale na niewiele się to zdało. Boję się, że przyjdzie silniejsza wichura...

Były sołtys nie kończy.

– Chciałem, by w mojej książce było to, co najważniejsze. Miałem różne kroniki, i ze spółdzielni, i z parafii, i z kopalni „Krupiński”. Korzystałem z różnych książek. Dopytywałem ludzi...

– Ale nad taką jedną kroniką, to można by i cały tydzień siedzieć, i siedzieć – zauważam.

Pan Alojzy się śmieje. – Ale ja działałem według ustalonego szymła, wzorca, który miałem w głowie. Wiedziałem, czego chcę i to konsekwentnie realizowałem – przyznaje.



„Świadectwa wiary i pamięci” zostały wydane jako pierwsze w 2007 roku.

Widzę u mojego bohatera urzędnicze doświadczenie. Konsekwencja w narracji jest rzeczą podstawową, chociaż trudno w niej wytrwać. Człowieka, przynajmniej często ponosi pióro i brnie w różne dygresje, których nadmiar rozbijają główny tok wywodu.

Tymczasem u Kusia wszystko jest przedstawione prosto, jasno i logicznie.

– Najważniejsze są daty i ludzie. Daty i nazwiska, jeśli tego brakuje w historycznej książce, to jest ona bezwartościowa. Darremna – podkreśla autor, u którego na 240. stronach tych postaci jest prawie sześćset. Tyle nazwisk przewinęło się przez suszeckie dzieje, od czasów średniowiecza. Kuś pamięta część z nich, przecież tak jak ten wiąź, był świadkiem miejscowej historii. Nawet więcej – on ją tworzył. Przecież nawet ten ośrodek kultury, jakby nie dopilnował, to by go nie było. I nie byłoby gdzie zrobić tej promocji, wystawić teatrów, odbyć prób chóru. I dyrektorka też nie miała by się gdzie podziać...

„ŚWIĘTOSŁAW MILCZĄCY PORÓWNYWANY JEST DO TAKICH ŚWIĘTYCH JAK: STANISŁAW KOSTKA CZY SZYMON Z LIPNICY. URODZIŁ SIĘ W I POŁOWIE XV WIEKU. W PUBLIKACJACH PODAWANE SĄ RÓŻNE MIEJSCA JEGO URODZENIA, NP. SŁAWKÓW. OJCIEC ROMUALD GUSTAW W SWEJ PUBLIKACJI „HAGIOGRAFIA POLSKA” PRZYPUSZCZA, ŻE TO MIEJSCOWOŚĆ SUSZEC KOŁO PSZCZYNY. BYŁ DUSZPASTERZEM PRZY KOŚCIELE MARIACKIM W KRAKOWIE. KAPŁAN ODZNACZAJĄCY SIĘ GŁĘBOKĄ POBOŻNOŚCIĄ I WYKSZTAŁCENIEM ŻYWIŁ SZCZEGÓLNE NABOŻENSTWO DO CHRYSZTUSA UKRZYŻOWANEGO I MATKI BOŻEJ. WSZYSTKO CO POSIADAŁ, ROZDAŁ INNYM. PRAKTYKOWAŁ W SWOIM ŻYCIU CNOTĘ MILCZENIA – WYPOWIADAŁ TYLKO SŁOWA KONIECZNE I POTRZEBNE”.

(A. Kuś. „Suszec przez wieki 1326-2013”, Suszec 2013)

Od kiedy były suszecki wikary, a obecnie misjonarz w Zambii, ksiądz Michał Matysik odkrył, że z Suszcza pszczyńskiego właśnie pochodzi – na co wiele wskazuje – Świętosław Milczący, średniowieczny misjonarz, i miłośnik ksiąg wszelakich, który rezydował przy Bazylice Mariackiej w Krakowie – Alojzy Kuś spać nie może. Chciałby dożyć dnia, w którym reaktywowana komisja w krakowskiej kurii uzna wreszcie Świętosława za błogosławionego. Na razie można o nim tylko powiedzieć – sługa boży, choć to nie wyklucza modlitwy. Modlą się do Świętosława w Suszczu, modlą się i w Sławkowie (twierdząc że to ich kraj, że błogosławiony, co nieprawdą jest). Modlą się wreszcie i w Krakowie. Bo portret Świętosława milczącego spogląda na modlących się wierznych w kaplicy Jasnogórskiej, która mieści się zaraz za wejściem do bazyliki. Alojzy Kuś nagabywał w sprawie Świętosława proboszcza, który już dozwonił do krakowskiej kurii. Jak będzie coś nowego w sprawie, da znać.

Alojzego Kusia z Suszcza wszędzie pełno...



„Jednym z wielkich ludzi pióra naszej małej ojczyzny, który rozstawił ziemię koszęcińską na całą Europę, był kuźnik – poeta Walenty Rożdzieński. Jego rodowód wywodził się z miejscowości Brusiek. W roku 1612 wydano w drukarni u Kempiniego w Krakowie jedyne dzieło tego autora pt. *Officina ferraria abo huta y warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego*” – informuje Jan Myrcik w słowie wstępnym do reprintowego, jubileuszowego wydania utworu. Obdarował nim Urząd Gminy Koszęcin, prosząc zarazem, bym w „Śląsku” dokonał nazewniczego przeglądu form z tym samym zakończeniem naszego regionu związanych.

Dopowiedzmy jeszcze, że autor *Officyny* pochodził z rodziny o wielopokoleniowej tradycji hutniczej. Był synem Jakuba Bruska (albo Bruśka), ale ostatecznie przybrał nazwisko od nazwy miejscowości Rożdzień (koło Szopienic; dziś to część Katowic), w którym odziedziczył kuźnicę. Swoją poemat napisał podczas pobytu na dworze koszęcińskiego pana Andrzeja Kochcickiego, skąd zarządzał jego hutami.

Ow *Brusiek* – „własność Bruśka (Bruśka)” – jest oczywistym nazewniczym nawiązaniem do wyrazu pospolitego *brus*, *brusek* – „kamień do ostrzenia noży i narzędzi, ośelka” („Kowal lemiesz ostrzy na brusie” – czytamy w „Słowniku języka polskiego” wydanym w Wilnie w r. 1861 nakładem Maurycyego Orgelbranda, „Za starego piyrwy szlajfiryrze łazili po placach z bruskiym” – w „Małym słowniku gwary Górnej Śląska” z r. 2000 Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec).

*Koszęcin* to typowa nazwa dzierzawcza, oznaczająca „własność Koszęty”, imię zaś *Koszęta* urobiono od podstawy *Kosz* za pomocą przyrostka *-ęta* (w swym „Słowniku etymologicznym miast i gmin” z r. 1984 prof. Stanisław Rospond uznaje tę formę za należącą do prastarego modelu słowotwórczego, porównując ją z XII-wiecznymi postaciami *Cierpięta*, *Radzięta*). Ponieważ wcześniejszą od *Koszęcina* formą był *Konstancin* (1416: *Constantin*), należy domniemywać, że podstawa słowotwórcza *Kosz* jest typowym skróceniem, zdrobnieniem *Konstantyna* (*Konstantyn* – *Kosz* jak *Bronisław* – *Brosz*, *Broch*, *Stanisław* – *Stach*, *Stasz*, *Tymoteusz* – *Tych*, *Wacław* – *Wach*, *Wasz*, *Paweł* – *Pach*, *Pasz*, *Pieter* – *Piech*, *Piesz* itp.).

Z pobliskiego *Kuczowa* – „osady Kucza albo Kuczy” (od czasownika *kucać*), dziś należącego do Ka-

## Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

## W Koszęcinie i w jego okolicach

let – wywodzi się historia hutnictwa i górnictwa na Górnym Śląsku. Żelazo wytapiano tutaj w kuźnicach, a używano do tego węgla drzewnego, którym rozpalano ogniska w tzw. dymarkach. Właściciel jednej z fabryk – Czech Jan Koulhaass – w roku 1799 zakupił od kapitana Bernharda von Mletzki wieś Katowice i postanowił wydobywać tu węgiel kamienny. Stał się też właścicielem nieczynnej wówczas kuźnicy w Bogucicach, którą uruchomił i unowocześnił, dając podstawy produkcji nowoczesnej stali na terenie Katowic. Sam ów *Kuczów* został „przytłumiony” przez *Kalety*, będące jeszcze w XIX wieku *kolonią Kality/Kaly-*

*ty*. To twór odnazwiskowy – od bardzo popularnej w całej Polsce formy *Kalety*, odpowiadającej wyrazowi pospolitemu *kaleta* „sakwa, sakiewka, torba” (stąd *kaletnik* – „wyrabiający torby, torebki, teczki, walizki, portfele”).

Jedna z kuźnic nad Małą Pądwią (od *pędu*, *pędzenia*) – późniejszą Panwią – nazywała się tak jak rzeka. Z roku 1784 pochodzi notatka: „*Malapane*, poln. *Ozimek*”. *Ozimek* było to nazwisko właściciela młyna i z czasem, zapomniawszy o pierwotnej nazwie *Małpadew*, potem *Mała Panew*, tak nazywano to osiedle przemysłowe. Nazwisko *Ozimek* nawiązuje do nie rejestrowanego przez współczesne leksykony wyrazu pospolitego *ozimek/ozimek*, który wspomniany wyżej „Słownik języka polskiego” z roku 1861 definiuje jako „zagon”, Kazimierz Rymut natomiast w swych „Nazwiskach Polaków” z roku 1991 – jako „młode zwierzę urodzone przed zimą”.

Kiedy od Ozimka jedzie się w stronę Tarnowskich Gór, mija się po drodze serię nazw miejscowych strukturalnie identycznych, też urobionych od nazwisk. Oto hrabia Filip Colonna, właściciel majątku strzeleckiego, zlecał budowy hut i domów dla robotników. Tak w XVIII wieku powstaje osada *Kolonowska* (od wyrażenia *huta Kolonowska*). Ostatecznie utrwała się postać *Kolonowskie* – od przymiotnika *kolonowski* w rodzaju gramatycznym nijakim.

Budowy jednej z *Collonowskich* hut podjął się w roku 1790 inż. Arnold Heinrich Voss (1753-1838). Jego nazwisko dało początek osadzie *Vossowska*, dziś znanej jako *Fosowskie*.

Wreszcie *Zawadzkie*, które jest też nazwą pamiątkową, odnazwiskową, powstała jako huta, którą w roku 1845 założył Franciszek Zawadzki, pochodzący z Zawady koło Raciborza (*zawada* w znaczeniu topograficznym oznaczała jakąś naturalną przeszkodę, zapórę itp.).

Nad Małą Panwią położony jest również *Krupski Młyn*. W roku 1870 był tu młyn, którego właścicielem był niejaki *Krupa*. Na cele wojenne zbudowano tutaj fabrykę chemiczną, przy której powstała osada nazwę swą zawdzięczająca temuż młynarzowi *Krupie*.

Kolejna miejscowość nad tą rzeką położona – znana jako ośrodek hutnictwa żelaza – to *Turawa*. Tak zapisana w roku 1708, jest typową nazwą topograficzną od wyrazu *tur*, urobioną przyrostkiem *-awa* (jak np. *Kozielawa* czy *Wroniawy*).

Zmiana wpisana jest w ludzką kondycję oraz tworzoną przez człowieka historię. Nawet dzieje natury to epopeja permanentnej przemiany, wypierania jednych gatunków przez inne, cyklicznych przekształceń w ciągu doby, miesiąca, roku. Wszystko, co istnieje na Ziemi i we Wszechświecie, nieustannie podlega fluktuacji, metamorfozie, degradacji i odrodzeniu. Myśl ta jest prosta i oczywista, równocześnie jednak fundamentalna dla wszelkiej dyskusji filozoficznej, historycznej i kulturowej. Świadomość Heraklitowego *panta rei* powinna leżeć u podłoża refleksji każdego, kto bada historię jakiegokolwiek wycinka rzeczywistości, publicyści obserwującego falowanie zjawisk gospodarczych, ekonomicznych czy społecznych, wreszcie pisarza próbującego uchwycić *genius loci* jakiegoś regionu z jego tu i teraz.

Świat jest w ciągłym ruchu, a próba zanegowania tej prawidłowości lub wstrzymania transformacji przypomina opowiedzianą przez św. Augustyna historię chłopca, który chciał przelać ocean do małego dołka w piasku. Zadanie równie niewykonalne, co irracjonalne. Dobrze zatem byłoby dla obserwatora współczesności, by pogodził się z faktem, że znane mu „dzisiaj” to nowa wersja „wczoraj”, ale również, że owo oswojone „dziś” już w tej chwili staje się nieprzewidywalnym „jutrem”. W tę dynamikę i ontologiczną konieczność wpisane są także wytwory kultury, nauki i techniki, w tym różnego rodzaju organizmy miejskie.

lizacja, która rozpoczęła się pod koniec XVIII wieku?! W przestrzeni dotąd zdominowanej przez kulturę agrarną nagle pojawiła się pierwsza huta i zaczęto otwierać coraz więcej kopalni. Zapewne ogromne musiało być zdziwienie chłopów z dziada pradiada, gdy nagle pan posyłał ich do zupełnie innego rodzaju pracy. Z pewnością nie potrafili imaginować sobie oswojonych przez wieki krajobrazów bez łąk i pól. Ich wyobraźnia nie była w stanie zabudować horyzontu kominami i kamienicami, które za sto lat miały zdominować śląski pejzaż. Oto do tej pory wszystko toczyło się rytmem przyrody, teraz rozpoczynała się era, w której wymyślona przez człowieka technika stopniowo miała przejąć kontrolę nad naturą i ludźmi.

Dla przyszłego Chorzowa industrializacja, zapoczątkowana symbolicznie budową huty żelaza „Königshütte”, zadecydowała o istnieniu najpierw kolonii pod tą samą nazwą, a w ostateczności aglomeracji w obecnym jej kształcie. Dzisiejszy Chorzów, chociaż wyrósł z rolniczego pnia, jednak prawa miejskie nabył niejako w efekcie przemysłowej rewolucji. I to właśnie przemysł – hutnictwo, górnictwo i tzw. wielka chemia – przez cały XIX i XX wiek kształtowały tutejszy krajobraz urbanistyczny oraz życie mieszkańców. Być może z tego właśnie powodu – dwustuletniego dziedzictwa – tak trudna była kolejna gospodarcza metamorfoza, tym razem towarzysząca ustrojowej transformacji.



Pocztówka z Königshütte, ze zbiorów Muzeum Historii Katowic

# Wokół przemian w Chorzowie

Niewolny od łańcucha modyfikacji jest również Chorzów. Oczywiście różnie można oceniać skutki i kierunek tych przekształceń. Przede wszystkim trzeba jednak pogodzić się z ich obecnością w publicznej przestrzeni, zaakceptować pewien determinizm w ponad 750-letniej już historii. Na początku rozważań należy także uświadomić sobie, że nie my

pierwsi i nie jedyni boimy się przyszłości i nie potrafimy jej skonkretyzować. Nie jedyni mylimy się w prognozach.

## Zamiast rolnictwa przemysł

Jakim lękiem i poczuciem niepewności jutra musiała napędzać mieszkańców obecnego Chorzowa **industria-**

## Gospodarcza metamorfoza po 1989

Po 1989 roku przemysł ciężki stopniowo zaczął ustępować miejsca małej i średniej przedsiębiorczości. Ostatni wózek węgla wyjechał z lokalnej kopalni w 1995 roku. Chorzów otwarł się również na szkolnictwo wyższe. Pojawiły się nawet ambicje przekształcenia go w miasteczko uniwersyteckie. Podjęto się rewitalizacji terenów i obiektów poprzemysłowych, by wspomnieć chociażby odnowę, jaką przeszedł pokopalniany akwen „Amelung” i jego najbliższe otoczenie. Niewątpliwie korzystne było także odświeżenie Parku Róż oraz rekultywacja znajdujących się na jego terenie stawów. Remont hal sportowych oraz budowę tartanowych boisk na osiedlach czy kompleksu „Hajduki” z drugim w mieście basenem należy zapisać po stronie pozytywnych przemian, jakie Chorzów przechodzi w ostatnim dwudziestolecu. Nie wymieniałam jeszcze Drogowej Trasy Średnicowej, która odciążyła centrum od nadmiernego ruchu samochodowego, obniżenia poziomu emisji pyłów, unowocześnienia elektrowni oraz oczyszczalni ścieków czy przykrycia Rawy



Królewska Huta, fragment stalowni, pocztówka ze zbiorów Muzeum Historii Katowic

i utworzenia w ten sposób alei spacerowych. Można by wskazać jeszcze szereg podobnych inwestycji, które z całą pewnością **upiększyły, oczyścili i zmodernizowały** Chorzów, w tym również znajdujące się na jego terenie kościoły.

#### Ubożenie niektórych fragmentów miasta

Z drugiej strony trzeba niestety podkreślić, że tempo owych dodatnich przekształceń znacznie zwolniło około roku 2010. Brak nowych inwestycji silnie obnażył słabe punkty miasta, miejsca wciąż zaniedbane, by nie powiedzieć wprost: zapuszczone. Ujawniło się też w ostatnim czasie **ubożenie centralnej dzielnicy**, w której stan takich ulic, jak: Mielęckiego, Hajducka czy Cmentarna, daleki jest od atrakcyjności. Pogłębiła się także **degradacja Chorzowa II**, którego wieloraka bieda i rozmaite problemy widoczne są i dla przypadkowego przechodnia, i dla pracujących w tym rejonie, zwłaszcza nauczycieli. Szczególnie tragicznie prezentują się ulice: Ligonja, Słowackiego, Pudlarska, Świdra, Barska, Stalmacha, 23 Czerwca, Wileńska, Kalidego, św. Piotra, 11 Listopada, 3 Maja oraz Katowicka. Tego negatywnego wizerunku „Cwajki” nie są w stanie poprawić wyrastające na jej obszarze jak grzyby po deszczu kolejne dyskonty. W zastraszającym tempie rośnie liczba osób korzystających z różnego rodzaju form pomocy społecznej. **Coraz więcej dzieci jedyny posiłek spożywa w szkolnej sto-**

**łówce**, a i o ten trzeba toczyć czasami nierówną walkę z Opieką Społeczną.

#### Prywatne gruzowiska

Zadziwiająca jest również bezsilność władz w zakresie likwidacji gruzowisk i grożących katastrofą budowlaną ruin, które straszą swoją powolną, naturalną śmiercią chociażby na tyłach ul. Styczyńskiego, w niedalekim sąsiedztwie ul. Truchana. Włodarze zasłaniają się zapewne przepisami, tytułami własności, nade wszystko brakiem funduszy. Na prowizorycznym ogrodzeniu, które *de facto* pozostaje otwarte dla licznie odwiedzającej ten obiekt młodzieży, zawisła po latach tabliczka z informacją: „teren prywatny”. I ten napis ma chyba tłumaczyć i usprawiedliwiać wszystko. Właściciel planował adaptację budynków na potrzeby Chorzowskiego Parku Technologii Informatycznych i Komunikacyjnych, jednak po unieważnieniu przetargu w maju 2012 roku nastąpiła głucho cisza, a wszyscy czekamy, aż czas sam rozprawi się z tą szpetotą. I oby ktoś nie stracił życia lub zdrowia, nim zniknie ten powidok przeszłości. Na razie bowiem obraz goniących się nastolatków po piętach bez okien, a nawet ścian, jeży włos na głowie.

Powyższa ilustracja to nieodosobniony przypadek. Podobną tabliczkę znalazłam ostatnio na dworcu-widmie, która straszy na stacji Chorzów-Miasto i rodzi wciąż aktualne pytanie: czy może spokojnie spać ten, który nakazał wyburzenie pięknego budynku i postawienie zamiast niego tej „puszki Pandory” otoczonej blachą falistą i wypełnionej

w środku odorem moczu? Wreszcie kolejne prywatne gruzowisko znaleźć możemy na terenie dawnej Rzeźni Miejskiej. Nie dość, że miejsce to ocieka krwią setek tysięcy zwierząt, to jeszcze budzi wstręt rozkładającą się tkanką budowlaną. Biorąc pod uwagę słuszne argumenty, że trudno byłoby w nim urządzać zabawy, mieszkać czy uczyć się, skoro jucha spływała tu posadzkami, należałoby jednak skontastować niedopuszczalność dalszego istnienia obecnego pobojuwiska. I to w bliskości plantów z jednej strony, osiedla z drugiej i tranzytowej trasy z trzeciej. Stanowi to zarówno nie najlepszą wizytówkę miasta, jak i zupełnie nieatrakcyjny krajobraz dla mieszkańców i odpoczywających w okolicy Floriańskiej, Filarowej i Krakusa.

Rozumiem, że za bezradnością władz stoi prawo każdego właściciela do zrobienia ze swoją własnością, co mu się żywnie podoba. Jednak granicą tej zasady powinno być nie tylko zagrożenie życia i zdrowia ogółu, ale także szpecenie pejzażu miejskiego, narażanie ludności na permanentny kontakt z gruzowiskiem w środku aglomeracji oraz ubożenie dzielnicy. Włodarzom powinno zależać na pozytywnej recepcji Chorzowa, a jej osiągnięcie wymaga podjęcia czasami bardzo trudnych rozmów.

#### Spuścizna socjalistycznej myśli budowlanej

Marzą mi się czasy, w których stanowiące przez Sejm prawa będą wreszcie chroniły obywateli przed **brzydota miast**, a co za tym idzie, nie będą



Imponujący budynek Poczty Polskiej jest bezdyskusyjną wizytówką miasta

zezwały na **głupotę urbanistyczną i kompletny brak wyobraźni** niektórych planistów i konserwatorów zabytków. Efektem takich nieprzemyślanych lub źle zaplanowanych działań w minionej epoce są straszące do dzisiaj wielkie budowle i przebudowy w stylu „Posti”, wspomnianego dworca centralnego czy sławnej Estakady. Tej ostatniej – zamiast wyrwać ją wreszcie z miejsca, w którym nigdy nie powinna była się znaleźć – władze postanowiły zafundować *lifting*. W ten sposób relikwiny socjalistycznej myśli budowlanej przetrwa kolejne 38 lat, a może i więcej, bo któż odważy się zburzyć coś, co takim kosztem odnowiono. W kategorii cudu należy rozpatrywać fakt ocalenia bezdyskusyjnej wizytówki Chorzowa, którą jest zabytkowy budynek Poczty. Doprawdy chyba ustanowiony później (w 1993 roku) patron miasta – św. Florian – polał w odpowiednim momencie rozpaloną wyobraźnię peerelowskiego urbanisty. Dzięki temu mamy co umieszczać na pocztówkach – obok Planetarium, Stadionu Ruchu, ulicy Wolności czy Żabich Dołów, które wciąż pozytywnie kojarzą się z Chorzowem.

#### Wyludnienie

**S**mutnym i niebezpiecznym zjawiskiem ostatnich lat jest przyspieszające wyludnienie, a także starzenie się populacji. Spadek liczby chorzowian odnotowuje się już od 1977 roku. Do 1990 roku ubyło blisko 34 000 osób. Przez kolejne 15 lat następnych 17 000. W la-

tach 2005-2010 można było zaobserwować pewne wyhamowanie tego procesu, albowiem w tym czasie z demograficznej mapy miasta zniknęło tylko 2000 ludzi. Co jednak wydarzyło się pomiędzy 2010 a 2012 rokiem? Przez dwa lata, mówiąc kolokwialnie, „wyparowało” blisko 6000 mieszkańców! Czy należy to zrzucić na karb niżu demograficznego? A może to efekt masowej emigracji zarobkowej? Jeśli bliżej prawdy jest druga możliwość, oznacza to nie tylko potwierdzenie ekonomicznego kryzysu, ale coś o wiele bardziej bolesnego dla władz Chorzowa. Oznacza to, że przestał on być „małą ojczyzną”, miejscem, w którym obywatel dobrze się czuje i którego nie chce opuszczać. Oznacza, że rządzący gminą nie zrobili wszystkiego, aby tym ludziom chciało się pozostać, by nie musieli emigrować. W tym miejscu trzeba stwierdzić, że los, gdy się z nim igrza, bywa przewrotny. Peerelowskie plany przeprowadzenia czynnej deglomeracji nie powiodły się, zmniejszenia zagęszczenia ludności dokonał więc drogą biernej deglomeracji wolny rynek.

#### Eurosieroty – przyszli dorośli obywatele Chorzowa

**P**otwierdzenia powyższych statystyk dostarcza przede wszystkim ulica, na której naprawdę jest wyczuwalnie mniejszy gwar i tłum. Podczas codziennej wędrówki na szlaku Centrum-Chorzów II rzucają mi się w oczy albo też uszy wyludnione place i skwery. Jest nas

już tylko niespełna 107 000 (w 1976 roku było ponad 160 000!), a w 2020 ma być poniżej 100 000! Niestety potwierdzeniem migracji zarobkowej jako przyczyny spadku liczby chorzowian są coraz liczniejsze tzw. **eurosieroty**. Normą staje się sytuacja, że jeden z rodziców pracuje za granicą, a nie brakuje i takich dzieci, które zostały w mieście same, z dziadkami lub ciociami. Czy rządzący zdają sobie sprawę z tego, jakie to zjawisko będzie generowało problemy w przyszłości? To są przyszli dorośli obywatele Chorzowa, którym brak bezpieczeństwa socjalnego odebrał matkę i ojca, dzieciństwo, miłość, czułość oraz opiekę najbliższych i skazał na przymusowy, wielogodzinny pobyt w szkolnych lub środowiskowych świetlicach, spełniających coraz częściej funkcję zastępczego domu dla setek uczniów. Czy chorzowskie władze widzą już ten problem, czy czekają na odgórną mobilizację i odgwiżdżanie przez Warszawę kolejnej kampanii społecznej, która poza atrakcyjnymi spotami i biurokracją nie wykaże się niczym więcej?

#### Nie ma miasta bez ludzi i bez serca

**T**ak trudno zrozumieć, że **bez ludzi nie będzie miasta**?! Pięknie podkreślił to Stanisław Lem w filmie-wywiadzie, nakręconym 10 lat przed jego śmiercią. Stwierdził, że chociaż bardzo tęskni za Lwowem, to jednak nie chce go nawet odwiedzić, gdyż nie ma w nim już ludzi, a same kamienie, które pozostały, nie tworzą miasta. W tym miejscu



Ruiny dawnej huty „Kościszko”

trzeba by dodać, że bez serca także go nie będzie, a takim **pulsującym centrum** każdego, nawet najmniejszego miasteczka jest rynek. Ten przeważnie ma charakter wypoczynkowy, deptakowy, często historyczny. Około 100 lat temu Max Steckel utrwalił na fotografiach chorzowski rynek pełen życia, ludzi, zieleni. Nad miejscem z takim trudem wygospodarowanym (o wyborze tej właśnie działki zadecydowała jej nieatrakcyjność dla górnictwa) w 1976 roku postanowiono rozciąć nitkę asfaltu, wyburzając przy okazji piękne kamienice i zamieniając teren przed magistratem na trzy lata w plac budowy, a na kolejne dziesięciolecia w straszący hałasem, smogiem i smrodem pomnik braku dobrego smaku i elementarnej chociażby wyobraźni. Kraków ma swoje podcienia w Sukiennicach, my **cień rzucany przez betonową bryłę**. Kraków ma swoje arkady, my **wyglądzone i odmalowane żelbetonowe „kilbloki”**, pomiędzy którymi przejeżdżają samochody, przechodzą ludzie, jeżdżą tramwaje, próbuje toczyć się normalne życie miasta. Może zatem dlatego Chorzów wymiera, bo brakuje mu najwyczejajnie w świecie prawdziwego serca, zamiast tego **monstrualnego bajpasu!**

### Kryzys się zużył, czas pomyśleć, czym go zastąpić

**P**owracając do kwestii wyludnienia, należy stwierdzić, że oczywiście do powrotów nie da się nikogo zmusić, ale ucieczkę można próbować uprzędzić, by

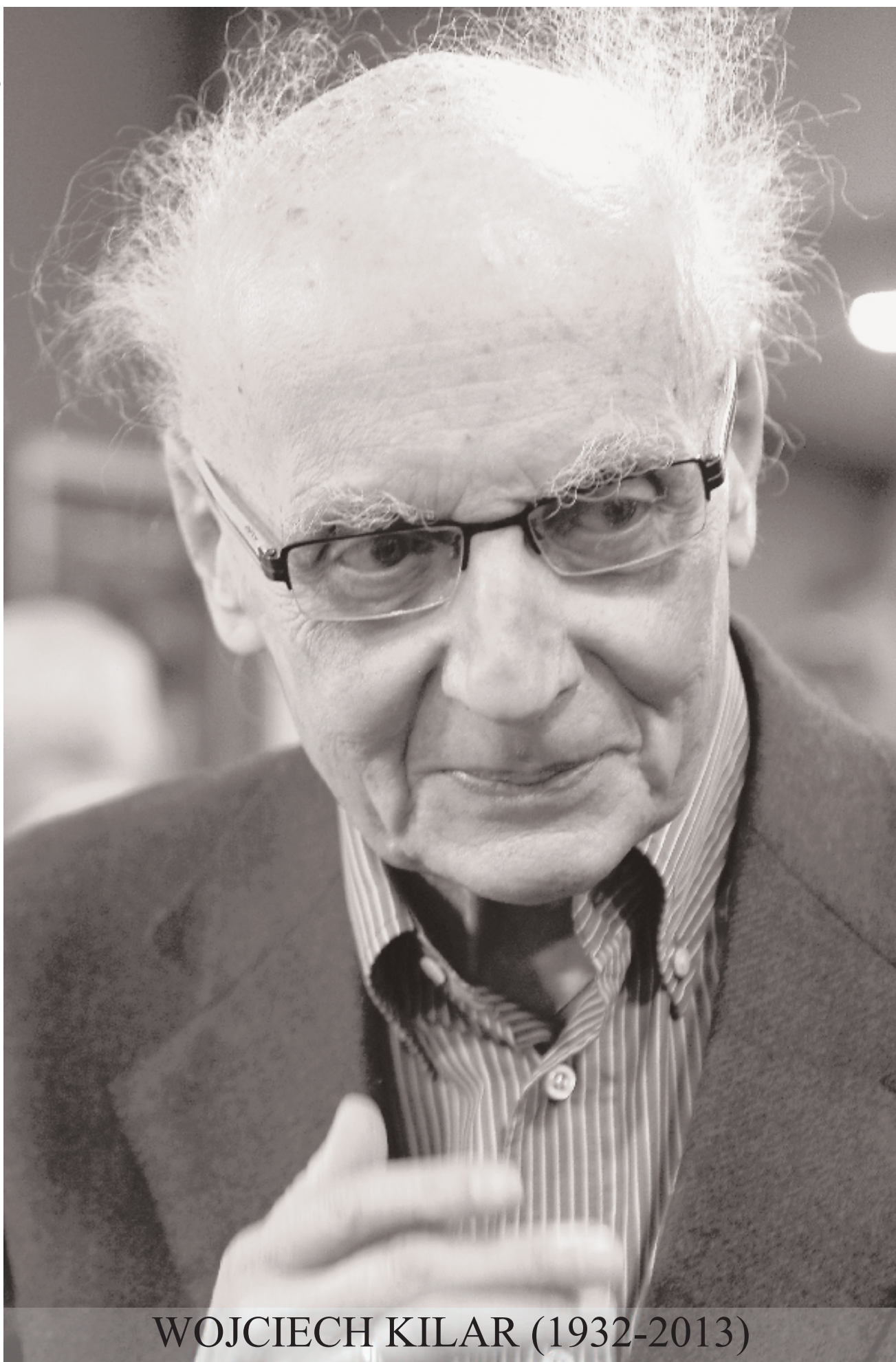
do niej nie doszło. Naprawdę nie za wszystko jest odpowiedzialny kryzys! Zresztą ten ostatni jako nagminnie wykorzystywany w publicznej dyskusji mocno się zużył i przestał komukolwiek cokolwiek tłumaczyć. **Czas pomyśleć, czym go zastąpić!** W co się zaangażować, by nie powtarzać jedynie na każdym kroku, jak źle nam z jego powodu.

**A jest co robić w Chorzowie!** Są miejsca, osoby i wydarzenia historyczne, które czekają na swoje dowartościowanie i twórcze wykorzystanie. Szczególnie ważne wydaje się przywrócenie znaczenia i atrakcyjności dzielnicy, od której wszystko się rozpoczęło i od której obecna aglomeracja przejęła swą nazwę. Oczywiście nie można nie zauważyć, że **wiele się dzieje** – zawiesza się tablice pamiątkowe, organizuje Biesiady Rocznicowe, publikuje liczne wydawnictwa dotyczące historii oraz dorobku kulturowego, industrialnego i naukowego miasta, rozwija się doskonała inicjatywa reaktywowania Chorzowskiego Bractwa Rycerskiego Bożogrobców, urządza się dzielnicowy festyn w parafii św. Józefa oraz Parafialne Święto Rodziny w św. Jądwidzie, działa Stowarzyszenie Miłośników Chorzowa, corocznie ulicą Wolności przechodzi Metropolitalna Parada Historyczna, a w Skansenie rozgrywane są turnieje rycerskie. Można by zrobić jednak o wiele więcej! Należy też pamiętać, że mamy nietuzinkowych patronów, którzy niegdyś należeli do chorzowskiej społeczności, by wymienić chociażby wybitnego fotografa Karla-Ludwiga Maxa Steckla, noblistę Kurta Aldera, dwóch błogosławionych – ks. Józefa Czempieła

oraz o. Ludwika Mzyka, historyka piśmiennictwa Jadwigę Kuciankę, rzeźbiarza Teodora Kalidego, pisarza i wydawcę Karola Miarę, działacza społecznego Juliusza Ligonia, a także ks. prof. Jerzego Szymika, który był wikarym w hajduckiej parafii Wniebowzięcia NMP.

Ich zapal i zaangażowanie w przemianę i ulepszenie Chorzowa w równie nietatwych czasach powinien być dla nas **podporą i mobilizacją**. Fundamentem sukcesu jest niewątpliwie zerwanie z myśleniem, że tak źle jak teraz, to nie było nigdy. Naprawdę bowiem nie my pierwsi stajemy przed wielką niewiadomą przyszłości, nie pierwsi dźwigamy ciężar przeszłości, nie pierwsi dokonujemy zmian. Oby nie okazało się, że pierwsi nie robimy nic, a promowane przez magistrat hasło: *Chorzów wprawia w ruch* jest tylko pobożnym życzeniem, jedynym zaś „ruchem” jest Klub przy ul. Cichej, czterdnastokrotny Mistrz Polski!

Pragnę zakończyć niniejszy felieton autorskim wyjaśnieniem, że wszystkie przedstawione w nim refleksje zrodziły się z codziennego bardzo osobistego obcowania z tkanką Chorzowa, z ogromnego przywiązania do tego miejsca, troski o jego przyszłość i pragnienia, aby było ono coraz bardziej atrakcyjne, a każdy czuł się tutaj jak w domu. Sama nie wyobrażam sobie życia w innym mieście jak tylko w moim rodzinnym Chorzowie (choć kocham też Kraków, Wrocław czy Sejny), stąd powyższe pochwały, ale i krytyka. Prawdziwa miłość bowiem nie jest, a przynajmniej nie powinna być bezkrytyczna!



WOJCIECH KILAR (1932-2013)

# Śladami fenomenowi twórczości Wojciecha Kilara

LEON  
MARKIEWICZ

**W grudniu ubiegłego roku odszedł od nas Wojciech Kilar. Przed trzema laty – Henryk Mikołaj Górecki. Zrządzeniem losu polska kultura muzyczna została w tak krótkim czasie pozbawiona dwóch najwybitniejszych przedstawicieli tzw. śląskiej szkoły kompozytorskiej.**

Obaj byli uczniami jej twórców – „Bolesławów Wielkich” – Szabelskiego i Woytowicza. Ich talenty, których erupcja nastąpiła w drugiej połowie lat pięćdziesiątych podczas pierwszych „Warszawskich Jesieni” zapewniły im natychmiastowe wejście na areopag światowej muzyki. Ich nowe dzieła, choć różniły się estetyką dźwięku i emocji, od początku były oczekiwane i przyjmowane przez krytyków i publiczność z najwyższym zainteresowaniem. Górecki pozostawił po sobie m.in. swego rodzaju muzyczne „ikony polskie”, Kilar – własne inspiracje dźwiękowe dzieł z tworzoną obficie muzyką filmową, podnosząc jej użytkowe cele do wyżyn sztuki. Działając jako na dwóch krańcach dwa przeciwne bogi obaj zaczęli wprawdzie po swojemu od burzenia tradycji w imię ideologii ówczesnej awangardy, spotkali się jednak w sferze głęboko uduchowionych swych dzieł religijnych. I w ukończonej przez obu ziemi śląskiej... na tej samej alei cmentarza katowickiego...

\* \* \*

*Non omnis moriar...* Obecnie nie dane nam jest oczekiwać od Wojciecha Kilara nowych dzieł; przypada teraz ob-

cować już tylko przez percepcję jego muzyki wykonywanej na estradach koncertowych, odtwarzanej z nagrań dźwiękowych lub komentowanej w relacjach kronikarskich, publikacjach muzykologicznych czy w osobistych wspomnieniach osób, które się z nim stykały od wczesnej młodości i w całej działalności artystycznej. Do nich należy i autor tego artykułu, żywiący od czasu wspólnych studiów w katowickiej PWSM szczerą podziw dla sfery emocjonalnej i warsztatowej dzieł Kilara a zarazem świadek i komentator prasowy coraz

**„Żadna technika czy styl nie posiadają dla mnie jakiejś absolutnej, samodzielnej wartości ani znaczenia; problem wyboru środków istnieje u mnie zawsze tylko w odniesieniu do jednego konkretnego utworu, nie zaś do całej mojej, ogólnie pojętej muzyki.”**

bardziej rosnącej ich akceptacji wśród znawców i popularności w szerokich warstwach publiczności. Pozostaje mi teraz retrospektywne spojrzenie na jego drogę twórczą i próba dotarcia do istoty jej fenomenu.

Jako student Kilar nie był jeszcze introwertykiem jaki utrwalił się w świadomości i pamięci wielu jego późniejszych wielbicieli: skłonny do nastrojów transcendentnych i pograżony w nieustannej pracy twórczej. Przeciwnie – wtedy wyróżniał się spośród nas, jego kolegów, otwartą postawą i skłonnością do niefrasobliwego życia towarzyskiego, ciętym i nierzadko

kpiarskim dowcipem, błyskotliwą inteligencją, ujmującym sposobem bycia, dbałością o swój schludny, elegancki wygląd zewnętrzny (co w okresie przaśnego socjalizmu mogło być naganne...) Przede wszystkim jednak imponował nam znakomitą orientacją w stylach muzyki współczesnej oraz łatwością komponowania. Już wtedy w jego utworach młodzieńczych i studyjnych można było łatwo zauważyć tej miary bodźce inspiracyjne co fascynacja wielką pianistyką Rachmaninowa – ale i sarkazmem Prokofiewa i orgiastyczną rytmiką Strawińskiego..., lapidarnością neoklasycyzmu – ale i długofalowym rozwojem muzyki Szostakowicza..., ekspansywnym dynamizmem Bartóka – ale i sentymentalną melodią filmową..., webernowskim punktualizmem – ale i jazzem... Tę swoistą swobodę w szacunku do tradycji i stosowaniu jej środków stylistyczno-technicznych zachował także już jako kompozytor dojrzały, mimo że od połowy lat pięćdziesiątych wszystkie te tradycyjne bodźce zaczęły tracić na swej atrakcyjności ulegając ożywczemu prądowi tzw. „nowej muzyki” fascynującym nieznanymi dotąd wzorami techniki i estetyki.

\* \* \*

Oficjalny debiut 23-letniego kompozytora – autora ponad wymaganą programem studiów ilości utworów solowych, kameralnych i orkiestrowych – w tym dyplomowej *Małej uwertury*, doskonałego przykładu polskiego neoklasycyzmu – nastąpił w roku 1955. Wtedy to Rada Wydziału Kompozycji Teorii i Dyrygentury ówczesnej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach przyznała mu jako studentowi kompozycji dyplom z najwyższym odznaczeniem – pierwszy w historii uczelni. Dyplom ten stał się niekwestionowanym argumentem do udzielenia wybitnemu absolwentowi stypendium na dalsze stu-

dia w Paryżu u Nadii Boulanger – sławnej koryfeuszki najwybitniejszych kompozytorów współczesnych. Pod jej to wpływem dokonała się u Kilara krystalizacja jego własnej postawy twórczej, estetycznej i etycznej, oraz świadomości istotnych impulsów komponowania.

*Przekonałem się ostatecznie* – wyznał mi w przeprowadzonym z nim wywiadzie w „Ruchu Muzycznym”, – *że rodzaj używanych środków jest sprawą osobistego wyboru kompozytora, jego psychiki, temperamentu, filozofii. Stąd staram się używać zawsze takich środków, jakie są mi w danej chwili potrzebne dla aktualnie komponowanej partytury. Żadna techni-*

ka czy styl nie posiadają dla mnie jakiejś absolutnej, samodzielnej wartości ani znaczenia; problem wyboru środków istnieje u mnie zawsze tylko w odniesieniu do jednego konkretnego utworu, nie zaś do całej mojej, ogólnie pojętej muzyki. W ocenie prawdziwości tego wyboru ufam całkowicie mojemu aktualnemu stanowi psychofizycznemu.

Zrozumienie tych pozornie prostych prawd uważam za jedno z największych korzyści mojego obcowania z niepowtarzalną osobowością artystyczną Nadii Boulanger. Ona nauczyła mnie wielkiego spokoju w traktowaniu zjawisk muzycznych oraz dużej tolerancyjności w stosunku do awangardowych czy wstecznych poczynań kompozytorów.

Wprawdzie postawa ta została określona na początku twórczej drogi Wojciecha Kilara – jeszcze młodzieńca – to jednak z perspektywy dzisiejszej można potwierdzić, że pozostał jej wierny do końca swego twórczego życia. Jest ona dla nas ciągle aktualnym kluczem do percepcji jego muzyki: jednoczy bowiem w sobie szacunek dla norm stylistycznych, technicznych i wyrazowych minionych epok ze swobodą i pełną dowolnością w ich wyborze i wykorzystywaniu na równych prawach z nowatorstwem barw dźwiękowych i rozwiązań formalnych.

\* \* \*

Po powrocie z Paryża Kilar włączył się w nurt niezwykle ożywienia polskiej twórczości muzycznej, które – jak wiadomo – nastąpiło na forum odbywającego się od roku 1956 Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień”. Oczywiście na tym „targowisku nowej muzyki” wystartował wkrótce i on. Jego nowy utwór orkiestrowy *Rif 62* utrzymany w modnej wówczas koncepcji estetycznej zaskakiwał bogatym bagażem nowych środków technicznych i wyrazowych, emanował gwałtownymi wyładowaniami jaskrawo brzmiących bloków brzmieniowych, agresywnymi akcjami perkusji, kontrastami stanów emocjonalnych, amelodycznością, katalogowością formy i wręcz oszałamiającą wirtuozerią brzmieniową. Entuzjastyczne przyjęcie tego utworu przez zachwyconych nowościami krytyków i zdumioną nimi publiczność spowodowało natychmiastowe wejście tego dzieła do programów światowych radiofonii i repertuaru renomowanych sal koncertowych. Odtąd kolejne prawykonania jego następnych utworów o tej samej „warszawsko-jesiennej” konwencji (zwłaszcza *Generique*, a także *Diphthongos*, *Springfield Sonnet*, *Training 68*) były wyczekiwane z wzrastającym zaciekawieniem i niezmiennie spontanicznie przyjmowane przez międzynarodowe audytoria. W rezultacie Wojciech Kilar triumfalnie wszedł do areopagu polskiej awangardy muzycznej jako jeden z trzech głównych jej przedstawicieli – na równi z debiutującymi już wcze-



Wojciech Kilar, 1959 r.

śniej Henrykiem Mikołajem Góreckim i Krzysztofem Pendereckim.

W tym okresie kompozytor jednakże nie zadowolął się li tylko ekspansywnością w swej muzyce, co wykazała ujmująca prostota formy i redukcja użytych środków w takich „wyciszonych” utworach jak *Solenne* (1967), *Upstairs-Downstairs* (1971), *Przygrywka i kolęda* (1972).

Fot. z prywatnych zbiorów L. Markiewicz

wypał, epatowanie starzyzną, nawrót do socrealizmu), ale też pochwalne i wręcz prorocze (*apologia góralszczyzny, przy której blednie słynny balet Karola Szymanowskiego, manifestacja wolności, powiew świeżego powietrza, utwór ważny, ma wszelkie dane by stać się przebojem*).

Najbliższa przyszłość potwierdziła racje kompozytora. *Kzesany* – który również dobrze mógłby nazywać się poematem choreograficznym – istotnie stał się przebojem, najbardziej znanym dziełem Kilara ulubionym przez publiczność i najczęściej wykonywanym na całym świecie. W jego postawie twórczej bezsprzecznie odegrał rolę przełomową. Zapoczątkował bowiem deklarowany już w młodości okres pełnej swobody w doborze własnych środków warsztatowych i wyrazowych, bez niemal wówczas „obowiązkowej” zależności wielu innych kompozytorów od aktualnie modnych technik i tendencji estetycznych „nowej muzyki”.

Dzieło to nie było jednorazowym epizodem twórczym Kilara inspirowanym folklorem. Mało kto dziś uświadamia, że motyw inicjalny *Kzesanego* jest ekspansywną, wręcz drapieżną w swym wyrazie transkrypcją melodii beskidzkiej *Góralu od Żywca* ze suity baletowej skomponowanej przez niego dla Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. Fascynacja kompozytora muzyką i przyrodą ta-

### **Żarliwość religijna kompozytora ujawniła się także w dziele o najwyższym stopniu dramatyzmu *Angelus* (1984) przez zastosowanie pomysłu twórczego, na który nie odważył się żaden z kompozytorów w historii.**

Tym razem zwolennicy wielkich emocji muzycznych tkwiących w „hałasie” nowej muzyki nie ukrywali swego zawiedzenia niespodziewanym ich wyciszeniem. Jednak na podstawie tego, co nastąpiło po tych utworach można stwierdzić, że stały się one przysłowiową „ciszą przed burzą”.

Oto bowiem w roku 1974 Kilar ukończył swe nowe dzieło orkiestrowe – poemat symfoniczny *Kzesany*. Zaskoczył on wszystkich zarówno tradycyjną, mocno użytą nazwą formy, nieprzetłumaczalnym na języki obce tytułem jak i bogatym wykorzystaniem „niemodnego” już folkloru podhalańskiego przy zupełnie odmiennym niż dotąd kształtowaniu rozwoju akcji muzycznej poprzez dominację repetycyjnie eksponowanych prostych rytmów i oryginalnych melodii góralskich oraz lawinowo narastające napięcie emocjonalne aż do ekstatycznego improwizacyjnego finału. Prawykonanie *Kzesanego* na „Warszawskiej Jesieni” wywołało wprawdzie wybuchowy entuzjazm publiczności, lecz u krytyków – konsternację. Padły z ich strony opinie druzgoczące (*wyrafinowany prymityw, kompletny nie-*

trzańską okazała się na tyle głęboka, że na długo już nie znikła z jego impulsów twórczych. Najpierw znalazła ujście w nasyconym niemal romantycznym dramatyzmem poemacie symfonicznym *Kościółec 1909* upamiętniającym tragiczną śmierć Mieczysława Karłowicza pod lawiną śnieżną (1976); później ujawniła się w urzekającej swym liryzmem pieśni *Siwa mgła* na baryton i orkiestrę (1979), wreszcie po latach wybuchła wręcz przewyższającą *Kzesanego* szaleńczą rytmiką w zamykającej cykl ta-trzański *Orawie* na orkiestrę smyczkową (1986); motywy podhalańskie, a zwłaszcza ich energetyzujące rytmy tańeczne są wyczuwalne i w innych późniejszych dziełach.

\* \* \*

Niemal jednocześnie z bodźcami podhalańskimi pojawiły się w twórczości Kilara inspiracje patriotyczno-religijne. Najpierw ujawniły się one w utworze na chór i orkiestrę *Bogurodzica* o niespotykanej dotąd w polskiej muzyce koncepcji ujęcia średniowiecznej modlitwy rycerstwa polskiego w deklamatorsko-re-



cytatywnych heroicznych partiach – oczywiście z heroicznie eksponowanym cytatem tej najstarszej polskiej melodii (1975). Inspiracje te osiągnęły swoiste apogeum w latach 1979–1984, w których niepokoje społeczno-polityczne spowodowały wprowadzenie w kraju stanu wojennego. Skomponowane w tym czasie utwory chórально-orkiestrowe (*Exodus*, *Victoria*, *Angelus*) były z jednej strony przede wszystkim naturalnym uzewnętrznieniem głębokich uczuć religijnych kompozytora, z drugiej – artystycznym wydzwiękiem jego emocjonalnego stosunku do zaistniałych wydarzeń.

I tak np. prawykonanie *Exodusu* (1981), dzieła inspirowanego biblijnym opisem przejścia ludu Izraela przez Morze Czerwone, stało się sensacją zarówno ze względu na jego koncepcję warstwy muzycznej jak i semantycznej. Warstwę muzyczną ukształtował kompozytor na zasadzie zaskakująco powolnego rozwoju napięcia emocjonalnego przez wariacyjnie wzbogaconą prostą melodię hebrajską aż do wszechogarniającej radosnej ekstazy. Semantyczna zaś, zawarta w żarliwie recytowanym łacińskim tekście *Ecce venit populus tuus Domine*, stała się przez słuchaczy aż nadto kojarzona z metaforą ówczesnej masowej emigracji (exodusu) Polaków z przyczyn politycznych.

Podobnie odczytaną była wymowa ideowa aluzji słów króla Jana Sobieskiego *veni, vidi, vici* wypowiedzianych po świetnym zwycięstwie pod Wiedniem a wyeksponowanych przez Kilara w krót-

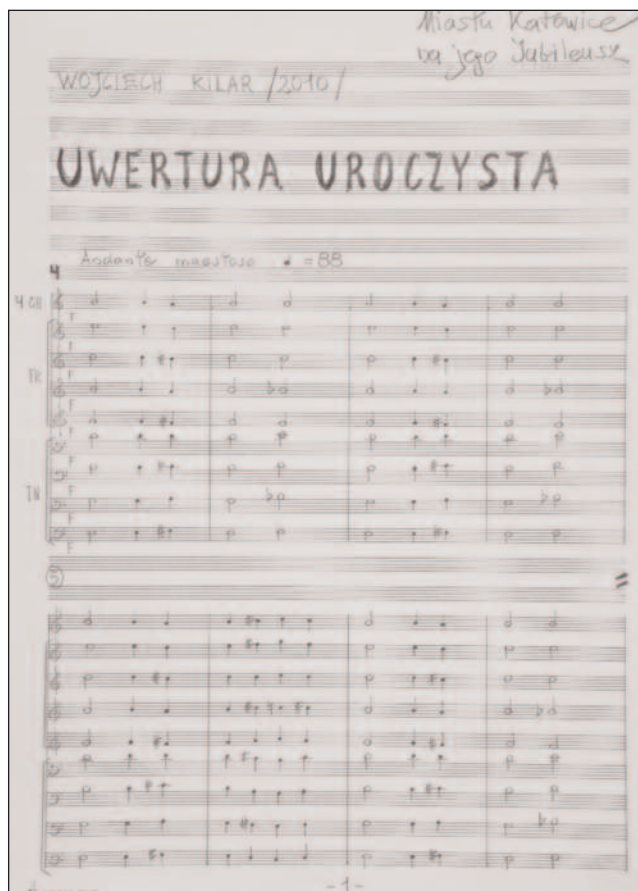
kim, ale bardzo ekspansywnym wyrazowo utworze *Victoria* skomponowanym w roku 1983 dla upamiętnienia pielgrzymki Jana Pawła II do kraju. Żarliwość religijna kompozytora ujawniła się także w dziele o najwyższym stopniu dramatyzmu *Angelus* (1984) przez zastosowanie pomysłu twórczego, na który nie odważył się żaden z kompozytorów w historii: recytację chóru – od szeptu do dramatycznego krzyku – pełnego dziesiątka modlitwy *Zdrowaś Mario*; ten do głębi przejmujący środek wyrazu potęguje dodatkowo aluzyjne do sytuacji społeczno-politycznej w kraju wyeksponowanie partii wokalnych w błagalnej prośbie *modł się za nami TERAZ... TERAZ...*

Tego rodzaju muzyczne koncepcje Wojciecha Kilara, przełamujące stereotypy w ujęciach formalnych, wyrazowych i w doborze środków dźwiękowych, były wówczas tak nowatorskie, że – podobnie jak w dyskusjach po *Krzesanym* – w niektórych kręgach krytyków budziły wątpliwości lub sprzeczności. Jednakże ich ładunek emocjonalny wzruszający publiczność i porywający ją do frenetycznych owacji, a także czytelny zwłaszcza dla Polaków, ideowy kontekst tych dzieł, zdominowały wszelkie opory tradycjonalistów. Z dzieł tych – obok *Krzesanego* – największą popularność osiągnął *Exodus* wykonywany nawet daleko poza granicami kraju.

W późnym okresie swej twórczości Wojciech Kilar zwrócił się do wielkich form religijnych często nadając im bo-

gatą szatę wokально-orkiestrową. Najpierw, po upływie co najmniej 15. lat od *Angelusa*, powstała *Missa pro pace* (2002), a następnie, po dalszych pięciu latach, seria hymnów: *Magnificat* (2006), *Te Deum*, *Veni kreator i Hymn paschalny* (2008). W przeciwieństwie do od lat panującej w Europie tradycji nadawania mszom chwalebno-uroczystego charakteru muzyki jego *Missa pro pace* ujęta została – za wyjątkiem radosnego *Gloria* – w nastroju błagalnym. Tak głębokiego skupienia pokutnego jakiego osiągnął on w *Kyrie elejson* trudno doszukać się nawet u największych mistrzów muzyki. To wybitne dzieło przepełnione jest nastrojami lirycznymi odzwierciedlającymi pełną uwielbienia adorację Boga, uduchowioną kontemplację, pragnienie pokoju; podobne stany transcendentnego skupienia, pobożnej żarliwości a także ekstazy uniesień cechują i wspomniane hymny.

Swych głębokich uczuć religijnych kompozytor nie wahał się wyrażać nawet i w utworach o przeznaczeniu koncertowym. II część *I Koncertu fortepianowego* wypełniona jest powszechnie śpiewaną w polskich kościołach ludową wersją melodii kantyku Zachariasza *Benedictus*; *Symfonia Adwentowa* utrzymuje słuchacza w nastroju głębokiej medytacji, zwłaszcza w pierwszych dwóch częściach, w których najpierw wywołuje ją skupiona melodia chóralu gregoriańskiego, a w drugiej – pełna ekspozycja przejmującej w swym wyrazie pokutnej pieśni *Jeżu do mnie przyjdź*.



Wojciech Kilar, „Uwertura Uroczysta”, 2010 r., fragmentu partytury

\*\*\*

Wojciech Kilar ulegał też innym niż religijnym bodźcom motywującym jego niektóre dzieła. Np. dedykacja „*Węgram*” umieszczona na partyturze utworu z roku 1957 *Oda Bela Bartók in memoriam* – była dyskretnym podkreśleniem solidarności z rewolucją węgierską 1956 roku; byłem szczerze zdziwiony, gdy szukając wówczas w nutach cytatów z Bartóka natrafiłem na cytaty... rosyjskiej pieśni „Katusza” – jako sprytnie zakamuflowane wskazanie na sprawców agresji sowieckiej. *Springfield Sonnet* powstał pod wpływem wiadomości o zabójstwie prezydenta Stanów Zjednoczonych Kennedy’ego, symfonia III – *September Symphony* – upamiętniła tragedię zamachu na World Trade Center w Nowym Yorku, *Sinfonia de motu* (IV) – mało jeszcze znane rozległe, wręcz filozoficzne dzieło dedykowane fizykom oparte zostało na motywach wywiedzionej z literowych symboli pojęć fizycznych oraz na tekstach z *Boskiej Komedii* Dantego, zaś *II Koncert fortepianowy* komponowany był w atmosferze nastrojów wywołanych tragiczną katastrofą smoleńską. Wszystkie wymienione tu dzieła świadczą o ich autorze jako o kompozytorze nie ograniczającym się li tylko do inspiracji ściśle muzycznych, lecz także poddającym się impulsom płynącym z różnorodnych przejawów współczesnego życia.

\*\*\*

Oprócz repertuaru do bezpośredniego wykonania estradowego olbrzymią część swoich działań twórczych poświęcił Wojciech Kilar muzyce filmowej. Emanuje z niej nadzwyczajna naturalność w dostosowywaniu się do wymogów scenariuszy o zróżnicowanych akcjach dramatycznych, kontekstach filozoficznych lub sytuacyjnych. W ich charakterystyce dźwiękowej kompozytor w przedziwny sposób łączy swe oryginalne pomysły powstałe w procesie doskonalenia własnego warsztatu kompozytorskiego w repertuarze wokalno-symfonicznym z bogatą paletą środków stylistycznych zgodnych z stylami i estetyką epok, których dane filmy dotyczą. Perfekcyjnie wyczuwając specyfikę muzyki filmowej celuje on przy tym w doskonałych pastiszach zarówno melodii o wysublimowanym liryzmie jak i w stylistyce dawnych i współczesnych form tanecznych. Nie sposób powołać się tu na wszystkie przykłady jego muzyki filmowej, ale trudno powstrzymać się od zachwytu nad dwoma uroczymi urzekającymi swą zwiewną lekkością walcami z filmów *Tredowata* i *Ziemia obiecana*, czy niemal „niebiańskim” liryzmem kantyleny w *Smudze cienia* lub dramatycznym, wręcz drapieżnym tangiem z *Zazdrości i medycyny*; któż z nas nie uległ zniewalającej do obejrzenia serialu *Przygody Pana Michała* jedynej w swojej tęskno-epickiej wymowie inwokacyjnej pieśni o słowach *W stepie szerokim, którego*

*okiem nawet sokolim nie zmierzysz – wstań unieś głowę, wsłuchaj się w słowa pieśni o małym rycerzu; a już z pewnością do wydarzeń socjologiczno-kulturowych należy też fakt, że z maturalnych studniówek zniknął spontaniczną decyzją młodzieży uświęcony wieloletnią tradycją sentymalny polonez *Pożegnanie Ojczyzny* Ogińskiego zastąpiony uroczystym, bohaterskim, – a nawet nieco buńczuczny – polonezem z *Pana Tadeusza*.*

Jako autor muzyki do stu kilkudziesięciu filmów Kilar zyskał niekwestionowaną opinię jednego z najwybitniejszych kompozytorów tej dziedziny sztuki, podzielaną przez wielu znakomitych reżyserów polskich i obcych utrzymujących z nim nieraz wieloletnią współpracę. Przede wszystkim trzeba wskazać na szczególnie trwałe współdziałanie Wojciecha Kilara z Krzysztofem Zanusem w wielu jego refleksyjnych filmach krajowych, zwłaszcza zagranicznych;

---

### Z maturalnych studniówek zniknął spontaniczną decyzją młodzieży uświęcony wieloletnią tradycją sentymalny polonez *Pożegnanie Ojczyzny* Ogińskiego zastąpiony uroczystym, bohaterskim – a nawet nieco buńczuczny – polonezem z *Pana Tadeusza*.

---

przykładowo wymienić należy także współpracę z Kazimierzem Kutzem – m.in. w filmach o tematyce śląskiej (*Sól ziemi czarnej*, *Perła w koronie*, *Paciorki jednego różańca*, *Śmierć jak kromka chleba*), z Andrzejem Wajdą – w ekranizacjach m.in. takich dzieł literatury polskiej jak *Ziemia obiecana*, *Zemsta*, *Pan Tadeusz* – ze Stanisławem Różewiczem (*Głos z tamtego świata*, *Westerplatte*, *Samotność*, *Romantyczni*, *Szklana kula*), a także z Romanem Polańskim (*Śmierć i dziewczyna*, *Dziewiąte wrota*, *Pianista*), Jerzym Hasem (*Lalka*), Tadeuszem Konwickim (*Salto*), Sylwestrem Chęcińskim (*Sami swoi*), Jerzym Hoffmanem (*Tredowata*). Szerokim echem w świecie filmu odbiło się powierzenie Kilarowi przez Francisca Forda Coppolę muzyki do jego filmu *Dracula*, która ujęta dodatkowo w suitę, stała się także powszechną w Polsce atrakcją koncertową. Z obcych reżyserów o muzykę do swych filmów zwracali się doń także m. in. Leon Jeannot, Paul Grimault, Peter Lilienthal, Josée Dayan, Tom Toelle, James Gray, Kim Aubry.

\*\*\*

Wymownymi dowodami powszechnego uznania dla działalności twórczej Wojciecha Kilara są także liczne nagrody i odznaczenia z Orderem Orła Białego na czele przyznawane mu nie tylko przez instancje państwowe i samorządowe ale także przez stowarzyszenia artystyczne, organizacje filmowe oraz fundacje i zagraniczne gremia kulturalne. Warto pamiętać, że w długiej liście tych zaszczytów poważne miejsce zajmują nagrody środowiska

śląskiego – m.in. kilkakrotnie przyznane nagrody województwa katowickiego i prezydenta Katowic, Metropolity Katowickiego „Lux ex Silesia”, im. Wojciecha Korfanteo, im. Juliusza Ligonia, „Śląski Oskar”, „Amicus Silesiae”, honorowe obywatelstwo Katowic i Wodzisławia a także tytuły doktora *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego i Śląskiego.

\*\*\*

Tego rodzaju przejawy wysokiej oceny muzyki Wojciecha Kilara wśród znawców jak i wzrastająca jej recepcja zwłaszcza w zróżnicowanych warstwach społecznych pozwalają uznać jego twórczość za jeden z najbardziej interesujących fenomenów kulturowych naszej współczesności.

Tkwi on przede wszystkim w łatwo rozpoznawalnym, wysoce oryginalnym stylu tego znakomitego kompozytora, w którym wyróżniającą się cechą jest prostota

wynikła z niezwyklej umiejętności łączenia zaawansowanej techniki dźwiękowej ze środkami tradycyjnymi przy wyjątkowej naturalności w ich doborze i kształtowaniu przebiegu akcji muzycznych.

W swym wyrazie muzyka ta porywa energią układów rytmicznych, przeważnie repetycyjnych, długofalowym stopniowaniem napięć emocjonalnych prowadzących do ekstatycznych wyładowań; urzeka ona wysublimowanym liryzmem, pobudza wzniosłe uczucia, skłania do żarliwej kontemplacji lub ekstazy religijnej; w różnorodnych funkcjach filmowych potęguje nastroje różnych akcji – statycznych bądź gwałtownych, optymizmu bądź grozy – lub podnosi prostą, niemal cikliwą melodię do wyżyn kantyleny chopinowskiej.

Wreszcie muzyka Kilara, komponowana w dwóch nurtach – koncertowym i filmowym a więc użytkowym – niezmiennie doprowadza do entuzjastycznych owacji publiczności o różnym przekroju społecznym zapełniającej sale koncertowe i kinowe a zwłaszcza tłumnie uczestniczącej w koncertach urządzanych coraz częściej w kościołach – najwłaściwszych chyba miejscach, w których jego dzieła religijne ujawniają w sposób najbardziej bezpośredni ich wartości duchowe.

\*\*\*

Rzadko któremu kompozytorowi współczesnemu udało się za życia doczekać tak szerokiego uznania. Czyż fakt ten nie jest koronnym dowodem fenomenu twórczości Wojciecha Kilara?



Fot. Zbigniew Sawicz

Mirosław J. Błaszczyk (z lewej), Wojciech Kilar i Orkiestra Filharmonii Śląskiej po koncercie w kościele św. Stanisława B.M. w Czeladzi, 2010 r.

## prof. Mirosław J. Błaszczyk

dyrygent, dyrektor naczelny Filharmonii Śląskiej

**Temperament.** Wielki człowiek, wielki kompozytor, cudowny kompan, świetny rozmówca – takie jest moje skrócone wspomnienie.

Człowiek o niebywałej kulturze ale i o niebywałym humorze. Dość często gościłem u niego w domu, szczególnie po śmierci Basi, bo łaknął informacji o tym co się dzieje w naszym świecie muzycznym, jakie są problemy, w czym ewentualnie mógłby pomóc. Rzadko, ale kilka razy widziałem go wręcz zbulwersowanego jakimiś wykonaniami. Potarżam: rzadko, ale były takie wykonania, które kompletnie mu nie odpowiadały, trząsał się wówczas i mówił: *Jak można tak mój utwór zniszczyć, co to za tempa, co to za artykulacja, to nie był mój utwór, ten pan powinien w ogóle przestać dyrygować...* i monolog trwał pięć, sześć minut! Przeżywał te wykonania – nawet nie przypuszczalbym, że aż tak mocno. Piał też z zachwytem: *Sluchaj, wczoraj byłem w Narodowej, oczywiście Wit dyrygował moim Krzesanym po raz 29, rewelacja!* On cieszył się z tych wszystkich wykonań, z dobrych, z bardzo dobrych, bo w większości takie były. Ale były też takie, które wstrząsnęły nim i on tym faktem żył. To jest coś, o czym może niewielu wiedziało, bo go wszyscy przyjmowali jako nieprawdopodobnie ciepłego, spokojnego, skrytego człowieka, pokornego, przeproszającego go za to „że żyje”, na każdym kroku mówiącego, że to nie on, to Bóg dał mu dar a on to właściwie dzięki Stwórcy ma możliwość przelewania swoich myśli na papier.

**Kompan.** Miał też Wojciech Kilar niebywałe poczucie humoru. Znał bardzo dużo dowcipów i dzielił się nimi. Mało tego, że je znał, to nieprawdopodobnie aktorsko umiał je sprzedawać, więc mu kiedyś powiedziałem: *Wojtek, może ja cię zaproszę na jakiś koncert sylwestrowy, żebyś poprowadził program* – śmialiśmy się do rozpuku.

Strasznie nie lubił, jak się wspominało ten jego okres początkowy, kiedy wygrał stypendium

w Paryżu. Oczywiście też nie opowiem, bo mam zakaz mówienia o tym. Zostawię dla siebie. Miał rzeczywistość w swoim życiu kilka wesołych, anegdotycznych sytuacji. To był nieprawdopodobnie pogodny człowiek, który nie we wszystkich oczywiście kregach mógł być niezłym kompanem biesiadnym, w dobrym tego słowa znaczeniu.

**Dom.** To nie był dom otwarty dla wszystkich. Bywałem w nim przynajmniej raz w miesiącu. Jednego żałuję: tuż przed Świętami Bożego Narodzenia w roku, w którym zmarła jego żona, zaprosiłem go na Wigilię. Właściwie zaproszenie przyjął, ale w dniu Wigilii zadzwonił, że jednak nie będzie, bo przyjechała rodzina i nie może odmówić pozostania w domu. Żałuję, bo miałbym wspomnienie absolutnie wyjątkowe i dla mnie niebywałe. Byłem bliski połamania się z nim opłatkami, wspólnego pośpiewania kołęd...

**Szacunek.** Był niezmiernie rad, że potrafiłem przekonać władze Jeleniej Góry – wtedy byłem szefem tamtejszej orkiestry, żeby otrzymał honorowe obywatelstwo tego miasta. Przyjechał osobiście na tę uroczystość. Bardzo sobie cenil takie naturalne gesty, które nie miały nic wspólnego z polityką a wyrażały szacunek do jego twórczości, do jego osoby.

Byłem właściwie jego rzecznikiem, łącznikiem między Polską a nim. Tuż po śmierci żony, później na rok przed śmiercią, nie chciał praktycznie już nigdzie jeździć. Tylko na najważniejsze koncerty, gdzie – jak mówił – musiał jechać, bo na przykład otrzymywał nagrodę papieską czy *Fryderyka* za całokształt. Nieraz prosił, żebym to ja w jego imieniu odmawiał, bo się źle czuje. Mówił mi, że jest z nimi, że z przyjemnością pojechał, albo że nie jest w stanie nawet nic napisać. Dzwoniłem więc do tych ośrodków, gdzie go zapraszali i dyplomatycznie tłumaczyłem. Zawsze jednak cenil sobie te zaproszenia i najczęściej pisał osobiście.

Tak było na przykład w Toruniu, kiedy miał być gościem uroczystego koncertu, było to bodajże rok temu. Nie pojechał, ale napisał. Dziś szczycą się, że przysłał im osobiście napisany list, włożony do koperty, na którą nakleił wydane przez Poczta Polską dwa znaczki ze swoją podobizną. Mają niebywałą pamiątkę. To też wiele mówi o Wojtku – nie przyklejał tych znaczków, aby się nimi pochwalić, ale by sprawić im radości i satysfakcję.

**Przyjaźń.** Nasza przyjaźń nie rodziła się na Śląsku, ale w Polsce, po koncertach. Z Basią zaprzyjaźniła się moja żona. Myślę, że byliśmy nie tylko muzycznie ale i wewnętrżnie sobie bliscy. Ja potrzebowałem tych rozmów – w takim zawodzie problemów, znaków zapytania jest dosyć sporo. On też zwierzał mi się z kłopotów, więc to były przyjacielskie kontakty.

**Zaufanie.** Ufał mi jako wykonawcy. Znając Kilara, znałem jego ideę utworu. Dotyczyło to tempa, osiągania kulminacji, podkreślania tego, czego w partyturze nawet nie było. Myśmy chyba najczęściej w całej Polsce nagrali płyt z Kilarem. Wiadomo też było, że wszystkimi dziełami wokálně-instrumentalnymi ja muszę dyrygować. Tak było z *Magnificat*, dedykację poświęcił mojej żonie – nie było innej opcji – musiałem dyrygować, tak też było z *Symfonią Adventową*. Przychodził na wszystkie nagrania, siedział bez słowa. Jak go o coś pytałem, odpowiadał: *To wszystko co robisz jest w porządku*. Kiedy miałem gdzieś w Polsce próby jego utworów, szczególnie koncertów monograficznych, mówiłem: *Może byś przyjechał na próbę*, odpowiadał: *A po co mam przyjeżdżać, przyjadę na koncert*.

Było kilku dyrygentów, którym absolutnie ufał, bo wiedział, że to będzie nagranie, czy koncert, które go usatysfakcjonują. Oczywiście, podczas koncertu różnie bywa – zdarzają się przecieże rozmaite klimaty, różne nastroje. Poziom jednak pozostaje ten sam – wysoki. Nieprawdopodobnie cenil sobie prof. Antoniego Wita. Nieprawdopodobnie! Mówił: *Trudny człowiek jest, ale jak on genialnie prowadzi moje utwory*. Był niezmiernie szczęśliwy, że miał kilku takich dyrygentów.

**Fortepian.** Tak samo było z koncertami fortepianowymi. Wiadomo, że kiedy pisał *II Koncert fortepianowy*, wiedział dla kogo pisze. Wiadomo było, że Beata Bilińska będzie wykonawczynią tego koncertu, wiadomo było, że jej praca nad wersją fortepianową będzie wspólna z profesorem Andrzejem Jasińskim. I rzeczywiście – oni przyjeżdżali do domu i tam odbywało się pierwsze odczytywanie utworu, który technicznie nie jest zbyt trudny, ale pod względem ekspresji, wydobycia wnętrza, filozofii – bo jest w nim myśl przewodnia – było to potrzebne, bo profesor Jasiński doskonale zna instrument i Kilara. Wiedział w jakim pójsć kierunku, aby ten utwór zabrzmiał tak, by wszyscy byli zadowoleni. To są sprawy, o których mało kto wie. To była jego pasja. Mówił: *Wiesz, jak skończę II Koncert fortepianowy, to właściwie już nie muszę komponować*. Przychodzili do niego świetni wiolonczeliści, znakomity flecista Łukasz Długosz – laureat 21 konkursów międzynarodowych, a wszystkie prośby, żeby napisał coś na wiolonczelę lub na skrzypce przechodziły przeze mnie. Ileż ich było! Nie dał się przekonać. On ukochał fortepian i wiedział, że na pierwszym koncercie nie poprzestanie, napisał więc drugi. Dla własnej satysfakcji. ■

„Wkomponował” się Wojciech Kilar w Górny Śląsk aż do pełnej identyfikacji z tą ziemią i jej mieszkańcami, gdzie zdobył wykształcenie muzyczne, gdzie znalazł dom i szczęśliwe lata swego małżeństwa z umiłowaną żoną Barbarą... Sam dał o tym czasie takie świadectwo:

„Pomyślałem sobie, że to jest także jedna z wielkich rzeczy, którą dał mi Pan Bóg, że wygnany z mojego miasta Lwowa, trafiałem właśnie tutaj. I jestem przekonany, że byłbym innym człowiekiem, który niezbyt by mi się dzisiaj podobał, gdyby nie właśnie Śląsk. I to w wielu aspektach... Ale rzeczywistość nie mogłem lepiej trafić!”

A Górny Śląsk był szczydory w okazywaniu wzajemności. Miasto Katowice dało honorowe obywatelstwo, uniwersytet doktorat honoris causa a górnośląski Kościół nagrodę Lux ex Silesia – bo był światłem ze Śląska, zapalającym i inspirującym... I na ziemi naznaczonej pracowitością mieszkańców Wojciech Kilar pracowicie tworzył: „Komponowanie – jak sam mówił – jak każda praca, jak pisanie czy rzeźbienie, jest uciążliwym procesem... Ale mimo, że jest to proces męczący, to jednak fakt, że chodzi o pisanie „Magnificat” czy „Veni Creator” oznacza ogromną radość, szczęście, że możemy być z tymi tekstami świętymi nie tylko w kościele. Nie tylko w modlitwie, ale także w naszej pracy”...

/Fragment homilii arcybiskupa metropolity katowickiego Wiktora Skworca wygłoszonej podczas „Mszy pogrzebowej” Wojciecha Kilara/



## prof. Andrzej Jasiński

pianista, pedagog w Akademii Muzycznej w Katowicach

Wojciecha Kilara pamiętam od czasów studenckich, po raz pierwszy spotkaliśmy się w 1952 r. Wcześniej był uczniem mojej profesorki Władysławy Markiewiczówny, która mówiła, że to *wyjątkowo zdolny chłopak, byłby pianistą, ale nie miał cierpliwości do ćwiczenia, później natomiast przyznała: dobrze się stało, byłby jeszcze jednym dobrym piani-*

*stą, tymczasem został znakomitym kompozytorem.* Od początku miał w sobie coś, co prognozowało jego wielki rozkwit. W 1961 roku spotkaliśmy się w Paryżu, on był stypendystą rządu francuskiego, ja rządu polskiego, on kontynuował studia się pod kierunkiem Nadii Boulanger, ja Magdy Tagliaferro. Dzieliłiśmy się wrażeniami z lekcji, mo-

Fot. Zbigniew Sawicz

ja profesorka mówiła mi: *graj na cielego, ty jesteś Jasiński*, bo – jej zdaniem byłem za skromny i zbyt odpowiedzialny, natomiast profesorka Wojtka zostawiła jego indywidualność w spokoju, wzbogacała jego rzemiosło kompozytorskie. Myślę, że czuła jak głęboko i trwale tkwi w nim dusza Polaka, przeczuwała, że w przyszłości właśnie ona będzie jego atutem. Bardzo był jej wdzięczny za to, że nie zmuszała go do niczego, co byłoby sprzeczne z jego artystycznymi zapatrywaniami. Chodziliśmy po Paryżu, upajaliśmy się niezwykłą architekturą i wspaniałymi zabytkami, dzieliłiśmy się wrażeniami z muzeów, ale byliśmy młodymi ludźmi, więc uśmiechaliśmy się do siebie porozumiewawczo na widok afiszy i kabaretowych gablot a wieczorami podziwialiśmy atrakcyjne neony na Placu Pigalle. To wszystko jednak było dla niego rodzajem dekoracji, owszem uśmiechał się do owych egzotycznych dla nas wówczas wspaniałości, specyficznego i niepowtarzalnego kolorytu ulic, dostrzegał w nich piękno. Bawiło go to. Cieszył się Paryżem, podziwiał urokliwe kafejki, pracownie malarzy na Montmartre, ale traktował to wszystko trochę „z przymrużeniem oka” jakby z dystansem, a czasami wręcz z pobłażliwością dla fantazji Francuzów. Mieliliśmy karty studenckie, które pozwalały nam korzystać z tańszych stolówek i ulgowych biletów na koncerty. Dobrze znaleźliśmy także marki win, ale nie stać nas było na ich nadużywanie. Śmiało się więc, czytając w autobusach ostrzeżenie: *nie pij więcej wina niż dwie butelki dziennie.*

Później, kiedy związał się z kinematografią i potrzebował do nagrania fortepianu w orkiestrze, czasem prosił mnie o uczestniczenie w nagraniu. Tym sposobem dane mi było przeżywać powstawanie ścieżki dźwiękowej do kilku fragmentów jego filmowej muzyki. Z wielkim sentymentem wspominam muzykę do filmu pt. „Rodzina Połanieckich”. WOSPR, był na wyjeździe, więc Wojtek wziął samochód i pojechaliśmy do Łodzi. Nagranie odbyło się z zespołem Filharmonii Łódzkiej, zespołem którym, dyrygował nasz kolega ze studiów Zdzisław Szostak. Piękna muzyka – szczerą, bezpośrednią, prostą, sentymentalną w dobrym tego słowa znaczeniu. Podczas nagrania czuło się, że my wszyscy muzycy grający poddajemy się jej urokowi. We mnie tkwi także głęboko. Kiedy wracam zmęczony do domu, siadam do fortepianu i gram sobie tę melodię – działa na mnie kojąco i sprawia mi ogromną przyjemność.

Moja żona Ada, uczęszczała z Wojciechem Kilarom do tej samej klasy Liceum Muzycznego w Katowicach. Wspomina go jako wspaniałego kolegę, żywego, inteligentnego, dowcipnego, zycziwego. Już wówczas jego rówieśnicy wyczuli, że on ma w sobie coś wyjątkowego, co czyniło, że był traktowany z szacunkiem.

Cenną lekcję życiową otrzymałem od obojga Kilarów w Tenczynku, koło Krzeszowic, gdzie znajduje się rodzinny dom Barbary, która zachęciła nas do zakupu domu w ich sąsiedztwie zapewniając, że jest to szczęśliwe miejsce, miejsce jej młodości. Czasem tam ich odwiedzaliśmy. Nawet wtedy, kiedy Barbara była już bardzo chora i siedząc na wózku z trudem podnosiła głowę zawsze była jednak uśmiechnięta, a on promieniował dobrocią. To była dla mnie lekcja niezwykłej pokory i godności – prymat ducha nad materią.

Taka jest muzyka Kilara, wrażliwego słuchacza potrafi wprowadzić w stan kontemplacji, w którym może on otrzeć się o tajemnicę wieczności, w której czas nie ma początku ani końca, a nasze istnienie jest jego cząstką.

Zanotowała Maria Sztuka

Fot. z prywatnych zbiorów A. Jasińskiego



Przed domem prof. Bolesława Woytowicza, na zdjęciu zrobionym pod koniec lat 40. Od lewej Adolfin Wasilewska-Jasińska (pianistka, żona prof. A. Jasińskiego), Wojciech Kilar, Maria Czuczak-Natanson (pianistka), żona profesora muzykologii Akademii Muzycznej we Wrocławiu, Emil Szlapka (kontrabasista Filharmonii Warszawskiej), Ewa Rybicka (śpiewaczka, córka kompozytora Feliksa Rybickiego) i Józef Bok (wybitny dyrygent, chórmistrz).



Grzegorz Niemczuk (z lewej), Paweł Przytocki i Wojciech Kilar podczas Festiwalu Ave Maria, kościół św. Stanisława B.M., Czeladź 2012 r.

## Grzegorz Niemczuk

pianista

Był 3 czerwca 2012 roku. Kościół św. Stanisława B. M. w Czeladzi wypełniony po brzegi. Wśród publiczności Wojciech Kilar, którego I Koncert Fortepianowy miałem za chwilę wykonać wspólnie z Orkiestrą Filharmonii Krakowskiej i Pawłem Przytockim. Koncentrując się przed występem przypominałem sobie pracę nad tym utworem oraz moje odczucia z nim związane. Pierwsze dwie części o charakterze medytacyjnym, niczym uduchowiona modlitwa wyrażana dźwiękami – w drugiej części jeszcze dobitniej poprzez cytat z „Benedictus”. Kontemplacja, spokój, zaduma... Trzecia część przerywa brutalnie ten stan. Elektryzuje, momentami przeraża, kumuluje energię – to jedna z najbardziej wstrząsających i porywających zarazem toccat, jakie znam. Nagromadzenie silnych emocji: bezwzględności, okrucieństwa, dzi-

kości... jakiz kontrast w stosunku do dwóch poprzednich części!

Wojciech Kilar wśród publiczności... Nie znalazłem go jeszcze wtedy jako człowieka. Znalazłem tylko jego muzykę. Największe wrażenie zawsze robił na mnie „Angelus”. Jeden z najbardziej inspirujących utworów muzycznych, jakie znam. Granie utworu, gdy wśród słuchaczy siedzi sam kompozytor – geniusz, to coś niezwykłego, uskrzydającego, motywującego, wzruszającego.

W końcu występ. Atmosfera kościoła, modlitwy i kontemplacyjne dźwięki Koncertu Fortepianowego stapiają się ze sobą. Czas się zatrzymuje. ON wśród publiczności. Słucha swojego „dziecka”, które rodzi się na nowo i żyje dzięki temu, że je gram. Cóż za uczucie! Nie do opisanie słowami. Toccata... emocje sięgają zenitu.

Fot. Zbigniew Sawicz

Wreszcie koniec. Wybuch euforii, wzruszenie, oszołomienie. Owacjom nie ma końca. Wojciech Kilar wychodzi na scenę i podchodzi do mnie...

Tak niezwykle było moje pierwsze, i jedyne, spotkanie z Wojciechem Kilem. Spojrzenie Jego łagodnych, wzruszonych oczu, uścisk Jego dłoni, uśmiech – to wszystko zapadło mi głęboko w pamięci i odbiło w niej ślad, którego nie zatrze. Potem słowa: „To było wspaniałe. Dziękuję, że gra Pan moją muzykę”. I po chwili: „Przepraszam za tę ostatnią część. Sam wiem, jaka to męczarnia dla pianisty. Czy pan tam gra wszystkie dźwięki? Bo ja często radzę, żeby niektóre opuszczać i dać ręką odpocząć”. Wyraźnie zdumiony odpowiadam, że gram wszystkie. Owacja ciągle trwa.

Po koncercie krótka rozmowa. Wojciech Kilar w szczególnie ciepły sposób wypowiada się o swoim koncercie fortepianowym, nazywając go swoim „ukochanym dzieckiem”. Mówi, że to wykonanie przypominało mu czasy, gdy pisał ten utwór. Dodaje wiele ciepłych słów pod moim adresem – słów, które są dla mnie zachętą, natchnieniem do dalszej pracy, które dodają wiary w siebie.

Emanował z Niego taki spokój, taka dobra, pozytywna energia, którą zarażał wszystkich wokół. Spojrzenie Jego oczu pełne było Boga. Trudno w inny sposób opisać to głębokie, ciepłe, kojące, ale i pełne energii spojrzenie.

Nie ma Go już wśród nas. Odszedł. Ale przecież On żyje i żyć będzie zawsze, gdy Jego muzyka będzie rozbrzmiewała, porywając słuchaczy. W każdym napisanym utworze On trwa. Z ogromną determinacją chcę wykonywać Wojciecha Kilara w Polsce i na świecie, by żył nie tylko w pamięci, ale i w duszках i sercach ludzi. Jego muzyka jest tak głęboka, że może być rozumiana na wielu płaszczyznach i ciągle na nowo odkrywana. Rozpocząłem teraz pracę nad Jego II Koncertem Fortepianowym. Zawsze będę pamiętał Jego spojrzenie i słowa.

Dziś już Go nie ma,  
Lecz chwila! Jak to?  
Przykładam palce do klawiatury  
I On jest, On żyje!  
Wdzięczny za muzykę, którą zostawił,  
Dziękuję Bogu, że poznać Go mogłem.



Chwila relaksu po oficjalnym pokazie filmu „Wojciech Kilar. Credo”. Od lewej: Violetta Rotter-Kozera, Wojciech Kilar i Zdzisław Sowiński.

## Violetta Rotter-Kozera

publicystka, dziennikarka Telewizji Katowice

Kiedy goszcząca na scenie Teatru Muzycznego w Gliwicach słynna orkiestra „Camera Salzbürg” złożyła hołd Wojciechowi Kilarowi, wykonując na bis w znakomitym

noworocznym koncercie jego walc z filmu Jerzego Hoffmana „Tredowata”, w wyjątkowo dojmującym sposobie odczułam nieobecność Miśtrza. W chwili, w której powinnam wyjść

Fot. z prywatnych zbiorów V. Rotter-Kozery

na scenę, by podziękować wykonawcom i pożegnać się z publicznością, nagle poczułam trudne do opamiętania wzruszenie i żal. W różnych rozmowach w radiu czy telewizji powtarzałam ostatnio, że pozostanie z nami nadzwyczajne dzieło kompozytora, które może być pociechą w czasie żałoby. Myślałam się. Styl kompozytorski twórcy odzwierciedla jego wyjątkową osobowość, tak bardzo go przypomina... Kiedy tylko zabrzmiała ta niezwykle urody, delikatna i zwiewna, jakby nierzeczywista muzyka, w ułamku sekundy powróciły różne wspomnienia. Nawet słowa o filmowych walcach i tangach: *Wszystko czego nie umiem tańczyć, to lubię pisać.*

Zawsze będę pamiętać jego nastawienie do życia, które potrafił ująć w prostych słowach: *czuję się ogromnie szczęśliwy, że w ogóle jestem na świecie, że uprawiam taki zawód, który jest zawodem dla leniuchów i jakoś dał mi Pan Bóg to, że nic nie robiąc mogę dostawać takie nagrody i błyskotliwe, nietuzinkowe riposty, świadczące o wyjątkowym poczuciu humoru, a szczególnie odpowiedź na pytanie jakiej muzyki lubi słuchać: *Lubię oczywiście Ravela, który zainicjował coś co jest dzisiaj niezwykle modne, popularne, również przeze mnie uprawiane, mianowicie właśnie taką muzykę repetycyjną, powtarzalną. To jest pierwszy człowiek, który odważył się coś takiego napisać. Poza tym lubię bardzo dużo muzyki, takiej jaką wszyscy lubią: Mozarta, Bacha i Beethovena. Ale tak najogólniej to lubię muzykę wszystkich moich kolegów, to znaczy wszystkich członków Związku Kompozytorów Polskich...* Kiedy przypomina-*

łam tę wypowiedź kompozytorowi podczas ostatniego wywiadu na Jasnej Górze dla realizowanego wspólnie ze Zdzisławem Sowińskim filmem „Wojciech Kilar. Credo”, zaśmiał się serdecznie i skomentował: *Zapomniałem o tym. To mi się udało.*

Zawsze będę pamiętać też wypowiedź pewnej, pochodzącej ze szlacheckiego rodu Polki, która ze łzami w oczach udzieliła mi wywiadu po wykonaniu *Missy pro pace* Kilara w Katedrze Polskiej we Lwowie z prośbą o nie ujawnianie jej nazwiska: *To dzieło i to wykonanie*

*uzasadniło moją obecność we Lwowie po dziś dzień.* Było to w 2004 roku. Wykonanie *Missy pro pace* rozpoczynała słynną podróż specjalnym pociągiem do muzyki Kilara na trasie Lwów – Rzeszów – Kraków – Katowice – Częstochowa odtworzącą drogę życia kompozytora. Śladami Wojciecha Kilara podążył zespół NOSPR, Chór PR w Krakowie oraz soliści, by poczawszy od Katedry Polskiej we Lwowie poprzez poszczególne stacje kolejowe a na Bazylicę Jasnogórską skończywszy wykonać najważniejsze dzieła twórcy. Przy wtórze

kolejowych zapowiedzi tłum podróżnych zamieniał się w uważnych słuchaczy. Wszędzie głębokie wzruszenie, czasami zdumienie, nie milknące brawa, owacje. Na tym właśnie polega fenomen Jego muzyki.

I nie zapomnę serdecznych słów Wojciecha Kilara, który na Jasnej Górze po zakończeniu „Podróży...” dziękował Joannie Wnuk-Nazarowej i mnie, mówiąc: *Bardzo dziękuję, źródłem wszystkiego co mnie w życiu najpiękniejszego spotkało, zawsze były niewiasty.*



Fot. Izabela Lechowicz

## Joanna Wnuk-Nazarowa

dyrektor Narodowej Orkiestry Symfonicznej  
Polskiego Radia w Katowicach

Zanim poznałam osobiście Wojciecha Kilara, znałam świetnie jego utwory. Wszyscy młodzi fascynowali się jego *Riff 62* czy *Generique* na *Warszawskich Jesieniach*. To były bardzo mocne utwory, szczególnie *Riff*, nawet dziś, gdy się go słucha, to on po prostu poraża – krótka forma, jednocześnie szalenie ekspresyjna. Potem było prawykonanie „Kzesanego” pod dyrekcją Jana Krenza na *Warszawskiej Jesieni*, nomen omen – Krenz na koniec się okręcił wokół własnej osi, żeby w ten sposób podkreślić własne rozentuzjazmowanie tą muzyką. Powiedział potem do Kilara: „Wpuściłeś świeże powietrze”. Ale połowa sali była oburzona, i to właśnie pokolenie kompozytora, właśnie ci, którzy sonorizm współtworzyli, a także ci z pokolenia nieco starszego, które po październiku ’56” rzuciło się na zakazane wcześniej eksperymenty dodekafoniczne, punktualistyczne i tak dalej. Zirykowało ich takie ostentacyjne zwrócenie się ku folkloryzmowi. Część się nawet obraziła za to, że odchodzi od awangardy. Na folkloryzm tamto pokolenie patrzeć nie mogło, bo był... może nie nakazywany, ale zastępczy wobec zalecanych wówczas pieśni masowych i chwalących ustrój. Młode pokolenie nie było obciążone takim doświadczeniem, w związku z czym od razu wpadło w zachwyty. *Kzesany* to jest właściwie taniec zbójnicki, którego elementem jest krzesany. Kiedyś napisałam referat na jego temat, zafascynowana tą kompozycją. Po latach, kiedy poznałam Wojciecha Kilara, powiedziałam mu, że ten utwór powinien się nazywać „Zbójnicki”, bo to

jest taniec zbójnicki ze wszystkimi swoimi figurami. On się roześmiał i stwierdził, że naturalnie mam rację, jest świadomy, iż napisał taniec zbójnicki, ale... „Kzesany” świetnie brzmi. Później napisał jeszcze inne utwory inspirowane góralskim folklorem i tematyką: *Orawę*, *Kościelec*, *Siwą mgłą* – cudowną kompozycją napisaną dla Andrzeja Bachledy, seniora-seniora, ojca i dziadka sławnych narciarzy. On zresztą także był znanym narciarzem. Ponieważ w starszym wieku nie mógł już śpiewać tenorem, Kilar napisał mu ten utwór z partią barytonową. *Siwa mgła* będzie zresztą wykonana na inaugurację naszej nowej siedziby 1 października tego roku. Zaśpiewa Wiesław Ochman.

Wojciecha Kilara poznałam wcześniej, ale przyjaźniłam się z nim, kiedy zostałam dyrektorem NOSPR, trzynastcie lat temu. W tym czasie zrobiliśmy z orkiestrą wiele koncertów dla uczczenia różnych jego jubileuszy. W sześćdziesiątą rocznicę jego ucieczki z matką ze Lwowa zrealizowaliśmy na przykład projekt „Pociąg do muzyki Kilara”. Pociągiem wynajętym od PKP podróżowaliśmy zmieniając tory normalne na szerokie i z powrotem, wszędzie koncertując. We Lwowie wykonaliśmy *Missa pro pace* i bardzo żałowaliśmy, że tam nie był z nami. Jednak tak zdecydował. Lwów był dla niego wspomnieniem dzieciństwa, takim rajem utraconym, wybrał sobie nową ojczyznę – Śląsk, a konkretnie Katowice. To jest – co wielokrotnie podkreślał – jego „ojczyzna prawdziwa”, a tam jest „ojczyzna dzieciństwa”, i niech już

taką pozostanie. Myślę, że trochę niestudnie tak zdecydował, bo gdyby pojechał z nami do Lwowa, to by zobaczył w polskiej katedrze, że publiczność tylko w połowie to byli ci starzy polonusi, a resztę stanowiła młodzież i to ukraińska, która chciała poznać wybitnego kompozytora i jego dzieło. Potem graliśmy na dworcach w Rzeszowie, w Krakowie, a Wojciech Kilar po stronie polskiej już do nas dołączył. Tam słuchała nas publiczność świadoma, że takie wydarzenie nastąpi, bo dowiedziała się o tym z mediów, ale też słuchacze zupełnie koncertowaniem zaskoczeni, z bagażami, plecakami, którzy decydowali się na wyjazd pociągiem późniejszym, po to żeby posłuchać *Exodusa*, czy *Kościelca*. Wyładowaliśmy w końcu w Katowicach, witani tu serdecznie, szczególnie kompozytor, który wysiadł z salonki specjalnie dla niego zamówionej. Ale zakończyliśmy podróż w Częstochowie, bo to było jego ukochane miejsce. Tam graliśmy wielokrotnie – *Bogurodzicę*, *Angelusa*, *Magnificat*...

Poza tym zrobiliśmy w Katowicach „Dzień Kilara” na jego siedemdziesiąte piąte urodziny, „Noc Kilara” na osiemdziesiąte, wyszliśmy na ulice, gdzie odbywały się rozmaite performanse (można się było na przykład ucharacteryzować na Draculę, zatańczyć na ulicy poloneza z *Pana Tadeusza*). To wszystko Wojciech Kilar bardzo sympatycznie odbierał. Trzeba wspomnieć, że dawna WOSPR, potem WOSPRiT, obecnie zaś NOSPR nagrała prawie całą jego muzykę filmową.

Będzie mi brakowało późnowiecznych rozmów telefonicznych. Wojciech Kilar postrzegany raczej jako samotnik rzadko spotykający się z ludźmi w swoim domu, zwłaszcza po śmierci żony, zawsze chętnie rozmawiał przez telefon i to na różne tematy – społeczne, polityczne, różne, bo te długie rozmowy dotyczyły nie tylko muzyki. Zawsze rozsądny, zdystansowany, a jego głęboka wiara w Boga sprawiała, że optymistycznie widział przyszłość naszego kraju, sztuki... Oczywiście wiele mu się nie podobało, ale wierzył, że kiedyś się to wszystko dobrze rozwiąże. I tego ufego optymizmu, wiary, że Pan Bóg czuwa nad nami i sprawy zmierzają w dobrym kierunku – tego mi będzie brakowało.

Będzie mi też brakowało jego żartów, jego opowiadania dowcipów. Był wiceprzewodniczącym naszej Rady Programowej (przewodniczącym jest Krzysztof Penderecki, członkiem był Henryk Mikołaj Górecki, zasiadali w niej dyrektorzy programu II Polskiego Radia, znani dyrygenci, prezydent Katowic Piotr Uszczok). Po takich naradach zawsze wspólnie chodziliśmy na obiad, żeby jakoś podsumować, ewentualnie uzupełnić nasze obrady. I właśnie wtedy Wojciech Kilar zaczynał opowiadać fantastyczne dowcipy, te najnowsze, ale i stare, przedwojenne szmoncesy, o których już zapomnieliśmy.

Będzie mi brakowało jego ciepła i serdeczności.

Zanotował Bogdan Widera

*W jednym z wywiadów – byłeś Wojciechu pytany o to, jak chciałbyś być zapamiętany po śmierci. Odpowiedziałeś:*

*„Jako dobry człowiek: ktoś kto wniósł odrobinę nadziei, odrobinę radości – a może nawet odrobinę wiary – w życie świata”.*

*Maestro – Twoje pragnienie się spełniło... Jesteś tak zapamiętany i tak będziesz pamiętany. Pozostawiłeś nam jeszcze – jak dar – owoce Twojej pracy; i życie, jak wiarygodne świadectwo, że droga Ośmiu Błogosławieństw nie prowadzi donikąd, że przynosi owoc obfity...*

*/Fragment homilii arcybiskupa metropolity katowickiego Wiktora Skworca wygłoszonej podczas Mszy pogrzebowej Wojciecha Kilara/*



## ks. prof. Jerzy Szymik

poeta, teolog, Wydział Teologiczny UŚ

1. „(...) jego muzyka budzi opór, zwłaszcza w sferach awangardowej, (po) nowoczesnej krytyki. Jest to, generalnie, konsternacja prostotą Kilarowych kompozycji oraz ich nieukrywaną religijnością (obie te cechy są zawsze podejrzewane o kicz, grzech niewybaczalny dla pewnego typu 'recenzji wysokiej'). To zastanawiające: nieodmiennie, w każdym czasie, powodują odrzucenie, te dwie – akceptacja ze strony małuczkich i łaśka wiary. Jakbym czytał Ewangelię... Sam Kompozytor, ostrożnie, oszczędnie, ale też jasno na ten temat: 'nie wiem, co jest ważniejsze: opi-

wielkie, fundamentalne 'tak'. Dlatego ta muzyka idzie aż tak daleko: jak wtedy, kiedy słuchamy ekstazy finału *Kresanego*, kiedy to niebo zdaje się otwierać na oścież... Domyśliamy się, że zajrzał za zasłonę (w naszym imieniu; po to właśnie mamy artystów, by tam zaglądali i mówili jak jest). Ujrzał, a nut, dźwięków i ciszy potrzebuje jedynie po to, by nam o tym opowiedzieć. I mówi: niewyobrażalnie piękne jest prawdziwe.

Bo piękno jest prawdą, a prawda – pięknem. Kiedy przeczytałam moją prostą *Modlitwę do Matki Tereski*, inkrustowaną zwrotami wziętymi

nia środowiska czy solidarność z towarzyszami spotykany mi na ścieżce na Rysy'.

(...) ten doktorat *honoris causa* jest o wiele bardziej potrzebny nam, Wydziałowi Teologicznemu, szerzej: Uniwersytetowi, niż Czciogodnemu Laureatowi, wielokrotnie już honorowanemu na całym świecie. Co mówię szczerze, z pokorą i dumą, a też z pewnym zamysłem. Ten zaś dotyczy tego, że chcielibyśmy – jako akademiccy śląscy teologowie – nosić i propagować owo Kilarowe znamię, tę rozpoznawalną w świecie muzyki tonację, syntezę: intelektualną i artystyczną, duchową i egzystencjalną. To właśnie chcemy, wzorem Laureata, dawać naszemu Uniwersytetowi, siostronom naukom. Najkrócej: wiarę i piękno. Dokładniej: wzmacniać rozumność wiarą i pięknem”.

[J. Szymik, *fragmenty laudacji podczas wręczenia doktoratu h.c. w auli Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego, 12 czerwca 2012 r.*]

2. „Forma Kilarowej muzyki mówi światu i jego Stwórcy jakieś

Wojciecha Kilara znalazłam od wczesnego dzieciństwa. Mam w oczach obraz kompozytora i jego przyszłej żony, do której przyjeżdżał bardzo często na ulicę Warszawską, gdzie nauczała fortepiano, a były to chyba wczesne lata sześćdziesiąte. Zapamiętałam ich jako bardzo piękną, bardzo zakochaną parę. Ona, wysoka, szczupła brunetka, o zielonkawych, lekko skośnych oczach często nosiła taki bardzo charakterystyczny dla tamtych czasów strój – czarny, obcisły sweterek i tzw. rock'n'rollową, kolorową spódnicę; on wysoki, szczupły. Może to jest spojrzenie dziecka, ale sprawiali na mnie trochę niezmiernie wrażenie, zwłaszcza na tle tej szarej wówczas ulicy Warszawskiej. Wydawali mi się tacy niezwykli, jakbyśmy dziś powiedzieli, z nieco wyższej półki.

Po latach, kiedy nagrywałam wielogodzinne rozmowy z Wojciechem Kilarom, mówił mi, że ich narzeczeństwo trwało długo, że nie wszystko było takie piękne i łatwe, choć powiedział jednocześnie, że dla niego to była miłość od pierwszego wejrzenia. Przywołał wtedy taki obraz Barbary Pomianowskiej z czasów, gdy oboje chodzili do Liceum Muzycznego. Powiedział, że mignęła mu kiedyś na zakręcie schodów, taka piękna, szczupła dziewczyna, i od razu się zakochał chociaż – i to także mi powiedział, – z jej strony wyglądało to trochę inaczej. Pobrali się w 1966 roku. Miał ten obraz ludzi bardzo szczęśliwych, uduchowieńców pozostał w oczach. Potem pan Wojciech mówił wielokrotnie o tym, jaka to była wielka miłość, jak bardzo byli związani ze sobą.

W późniejszych latach spotykałam go, chodząc z mamą na koncerty. Zawsze chwilę rozmawialiśmy podczas przerwy czy po koncercie. Miał bardzo charakterystyczny głos i wszystko, co mówił wydawało mi się niesztampowe, niecodzienne. Zawsze miałam w uszach tę inność brzmienia w jego wypowiedzi, dlatego bardzo czekałam na ten moment, kiedy podejdziesz, by zamienić choć kilka słów.

Później, kiedy pracowałam już w radiu, marzyłam o tym, żeby go nagrać, aby powstała długa, pogłębiona audycja dokumentalna. Wiedziałam, że często udziela wywiadów ludziom znającym się do-

skonałe na muzyce i powstają profesjonalne audycje o współczesnym, wybitnym kompozytorze. Natomiast ja chciałam przedstawić Wojciecha Kilara z innej perspektywy, jako niesamowitego człowieka po prostu i to się udało. Rozpoczęliśmy w 1997 roku i nagrywanie trwało dwa lata. Nie wszystko, o czym mówiliśmy znalazło się na dwóch płytach, które w efekcie powstały. Jedną z nich poświęconą jest muzyce filmowej i jego fascynacji kinem, a druga komponowaniu muzyki poważnej i tam znalazły się wypowiedzi o wierze, miłości, o filozofii i polityce, o życiu po prostu, no i oczywiście o samej muzyce. I w tej audycji, choć był to dopiero 1997 rok, odniósł się także do śmierci, której, jak twierdził, się nie boi, i do przemijania, które wbrew temu, co sądzi większość ludzi, uważał za coś wspaniałego. Mówił, że nie chciałby być ani o jeden dzień młodszy, nie chciałby, żeby czas się cofnął, a jeśli już – a było to dla mnie bardzo niezwykle i poruszające, – to tylko dlatego, żeby naprawić krzywdy, które wyrządził, aby odpisać na listy, na które nie odpisał, żeby móc pójść na pogrzeb, na który nie poszedł. Na pytanie, co uważa za szczęście, odpowiedział takim przejętym, głosem, że po prostu życie jest szczęściem.

Ten kontakt, taki długi, jako że często wtedy u niego bywałam, to było coś wyjątkowego i jestem szczęśliwa, że to było możliwe, że się wydarzyło. W następnych latach nagrywałam go jeszcze wielokrotnie; mówił o „Missa Pro Pace”, rozmawiałam z nim wtedy kiedy skomponował „Poloneza” i przy wielu innych okazjach i zawsze miałam to samo odczucie – obcowania z kimś wyjątkowym. Ciągle słuchałam też jego utworów. Potem toczyliśmy długie rozmowy telefoniczne, ostatnio, jesie-

z 'Dziejów duszy' św. Teresy i z 'Żółtego zeszytu', rzucił się na nią łapczywie, jak wyglodniały wilk na długą tropioną zwierzynę. To była jedna z ostatnich kompozycji w jego życiu (jeśli nie ostatnia). Stworzył wspaniałą pieśń na chór mieszany *a capella*, utwór dedykowany Uniwersytetowi Śląskiemu na jubileusz 45-lecia. Tekst jest następujący:

Święta Tereso, Siostrzo, Przymiółko,  
Pomóż nam pisać żółty zeszyt mały.  
I tak jak jesteś Jemu wierną córką,  
Tak przy nas czuwaj: wróć nas Bogu całych.

Tak się podoba Panu twa nadzieja,  
Wszystko co proste, czyste i pokorne.  
I do Jezusa oczy twe się śmieją.  
Niech nas prowadzi twoje serce hojne.

Święta Tereso, Patronko miłości,  
Usiądź za stołem, dobra Siostrzo – z nami.  
Spełń swe marzenia: wyrwij nas z ciemności  
I mknij ku niebu windą z grzesznikami.

Do tych fraz śmiały mu się oczy (jak Teresce do Jezusa): wróć nas Bogu całych, wyrwij nas z ciemności, mknij z nami ku niebu. Przechywał, że zbliży się moment przejścia, i że muzyka, film, Lwów, Śląsk i ziemia cała były jedynie przedmiotem. Ze Bóg i Basia czekają”.

[J. Szymik, *Beđę Ci śpiewał wobec aniołůw (Psalm 138,1), „Gość Niedzielny”, 2 lutego 2014 r.*]

3. Te dwa powyższe autocyty przywołuje, by dookreślić to, co dla mnie w fenomenie życia i dzieła Kilara jest kwestią najważniejszą, brzmiącą cudownie anachronicznie: że sztuce i religii jest po drodze, wbrew współczesnym krzykom i pozorom. I że niezmiernie żarliwa miłość do jednej i tej samej żony przez całe długie życie oraz różaniec w kieszeni mogą nie przeszkadzać artystycznej twórczości. A nawet wprost przeciwnie.



## Anna Sekudewicz

reportażystka, dziennikarka  
Polskiego Radia Katowice

nią, kiedy otrzymał francuską Legię Honorową. Dla niego, który kochał Francję, a zwłaszcza Paryż, było to bardzo ważne wydarzenie. Pamiętam też jak w ubiegłym roku zadzwoniłam latem, żeby złożyć mu życzenia urodzinowe. Powiedział mi, że od jakiegoś czasu miał problem z pewnym motywem w swojej najnowszej kompozycji, ale poprzedniej nocy śniła mu się jego ukochana żona Barbara i rano, po przebudzeniu, znalazł bez trudu właściwe rozwiązanie. Czuł, iż stało się tak za jej sprawą. Był bardzo wesoły, to co mówił było zjawiskowe, pogodne i radosne. I takiego Wojciecha Kilara zapamiętałam.

Zanotował Witold Turant



Wojciech Kilar i Krzysztof Zanussi. Uroczystość nadania tytułu *doctora honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego. Opole 1998.

## Krzysztof Zanussi

reżyser filmowy,  
napisał muzykę do wszystkich moich filmów

Zanotował Tomasz Okraska

Nasza współpraca z Wojciechem Kilem miała wyjątkowy charakter, bowiem napisał on muzykę do wszystkich moich filmów. Gdy zaczęliśmy współpracować przy pierwszym obrazie *Struktura kryształu* przekonałem Wojtkę, żeby muzyka powstała najpierw, a ja dopiero później nakręcałem do niej film. Był sceptyczny i miał oczywiście rację, trzeba było ją napisać po raz drugi. Od tego czasu pozostawiłem mu swobodę, a on odwdzięczał mi się kompozycjami, o których marzyłem i które były komentarzem do moich filmów. Być może raz zabrakło mi pewnego tematu, ale nigdy nie było tak, żebym powiedział mu: napisałeś nie to, co bym chciał.

W kilku filmach użyłem jego muzyki symfonicznej. Niezwykłe było to, że do *Exodusu*, który Wojtek mi dedykował, ja z kolei dorobiłem film, który kompletnie nie przylega do tego, jak Wojtek ten utwór przeżył. *Exodus* był hymnem „Solidarności”, a *Dotknięcie ręki* odnosiło ten utwór do żydowskiego motywu i do pamięci Holocaustu. Oczywiście Wojtek twórczo współpracował przy tym filmie i odtworzył dla niego etapy powstawania utworu.



## Damian Zimoń

ks. arcybiskup senior

i miłością. I reżyserzy w nim to widzieli i doceniali. Kutz, Wajda, Zanussi to przeciwieństwo również ludzie, którzy szukają prawdy. Poszczególne artyści podchodzą do niej inaczej. Mówi się, że każdy człowiek ma swoją prawdę. A w rzeczywistości jesteśmy zmęczeni relatywizmem. Dla Kilara prawda była jak symfonia – wprawdzie wielu wykonawców, a każdy miał cząstkę prawdy, jednak wszystko razem było ze sobą splecione, poukładane i zjednoczone. Ale jeszcze raz powtarzam, to poukładanie wynikało z życia na wzór Chrystusa. To było prawdziwe chrześcijaństwo, które nie nawraca ogniem i mieczem, ale muzyką. I Kilar to rzeczywiście robił, dlatego jego muzyka była jak katecheza. Dzięki temu Kilar trafiał i do ludzi starych, i młodych.

Tadeusz Różewicz kiedyś powiedział, że „człowiek dzisiaj rodzi się bez miłości, żyje bez wiary i umiera bez nadziei”. To przykład myśli totalnie pesymistycznej. Kilar jest przykładem czegoś innego. Mówił, że nie boi się śmierci, bo jeśli jest się człowiekiem wiary, to nie można się bać spotkania z najwyższym dobrem, z Panem Bogiem. Pokazał, że dobre chrześcijańskie życie prowadzi do dobrej śmierci. Ten temat dziś jest jednak wielkim problemem. Niby wiemy, że wszystko zmierza do śmierci, wiemy, że kiedyś umrzemy, ale jednak dla młodych ludzi śmierć nie ma wymiaru realnego, nie istnieje. Żyją tak, jakby śmierci nie było. Nikt ich jednak tego nie uczy, nie wychowuje. I potem w obliczu ostateczności są dramaty i rozpacz. To wynik braku chrześcijańskiego podejścia. A Kilar swoim życiem i śmiercią dał świadectwo prawdzie. Nie załamał się po śmierci żony, nie zamknął w sobie, a przeciwieństwo wielu ludzi w obliczu śmierci bliskiej osoby, nie mając wiary, zatracca się w rozpacz. Śmierć była dla niego formą mobilizacji. Pracował i dziękował Panu Bogu, że oszczędził żonie cierpienia, a jemu dał łaskę dźwignia krzyża rozstania. Efektem tego okresu były *Te Deum* i *Veni Creator*.

Co zrobimy ze spuścizną, która została po Kilarze? Kilar nie tylko zostawił nam muzykę, która nas podnosi, która ukazuje nowe horyzonty, ale pokazał, jak żyć. To był świecki apostoł. Ważne do przekazania są wartości, które wyznawał Wojciech Kilar: skromność, pokora, miłość do Boga i człowieka oraz to, że warto życie dobrze przeżyć.

Zanotowała Agnieszka Sikora

Wojciecha Kilara poznałem, będąc biskupem diecezjalnym, ok. 1985, 1986 roku, choć oczywiście, już wcześniej słyszałem różne wykonania jego utworów. W czasie tych wszystkich lat znajomości odwiedzałem państwa Kilarów, telefonowaliśmy do siebie, rozmawialiśmy na różne tematy. Od początku uderzyła mnie jego osobowość, niezwykła skromność i prostota. Widziałem również, że kultura górnośląska go urzekła. Myślę, że widział w niej prostotę, ciężką pracę, ale i Boga. To wartości, które przywiózł ze sobą ze Wschodu, z ukochanego Lwowa – stąd tak dobrze zaaklimatyzował się na Górnym Śląsku. Tu w Katowicach znalazł wszystko to, co było mu potrzebne do życia i tworzenia. Tu mógł się rozwijać, także duchowo. Znalazł środowisko muzyczne, wybitnych nauczycieli, wychowawców, którzy do dziś kształcą kolejne pokolenia uzdolnionych muzyków. Tu wreszcie poznał żonę Barbarę. Oprócz Lwowa i Katowic niezwykle ważna dla Kilara była również Jasna Góra. Często tam był. Dawała mu inspirację do tworzenia i była drogowskazem w jego życiu.

Kilar otworzył nam drzwi do prawdy. W tym świecie tak bardzo zróżnicowanym, w świecie różnych quazi-wartości pokazał, że muzyka może pełnić bardzo ważną rolę. I to była właśnie ta niezwykła umiejętność Kilara, że za pomocą muzyki łączył ludzi. Ale muzyka wypływała z jego wiary, nie odwrotnie. Miał głębię duchową i przelewał ją w nuty. Dlatego uważam, że aby zrozumieć muzykę Kilara, trzeba wejść w jego duchowość, w to ogromne bogactwo, które zostało wykształcone za łaską Bożą.

Ważną cechą Kilara był również jego wewnętrzny ład, pewnego rodzaju poukładanie. To dzięki tej wewnętrznej dyscyplinie mógł znaleźć się w chaosie codzienności i tworzyć tak doskonałe dzieła. Bez wiary jednak tych dzieł by nie było. To dowód na to, że chrześcijaństwo jest na każdą epokę, na każdy czas. Kilar nie bał się swoich czasów, potrafił znaleźć w nich ład, pewność, spokój – nawet gdy chodziło o rzeczy ostateczne. Można nawet powiedzieć, że Kilar jakoś zbliżył się do prawdy, a prawda zaowocowała wiarą, nadzieją



# To był szczęśliwy człowiek

TADEUSZ  
KIJONKA

Fot. Zbigniew Sawicz



W 2004 roku Wojciech Kilar odebrał z rąk Tadeusza Kijonki tytuł Przyjaciela Śląska, a w kolejnym roku został laureatem „Orłów Śląskich” przyznanych przez naszą redakcję.

Gdy w dzień po śmierci Wojciecha Kilara zadzwoniłem do osiadłego od lat w Cieszynie Józefa Świdra, rówieśnika i jednego z najbliższych przyjaciół z okresu studiów i czasów młodości, usłyszałem zaraz na wstępie przytoczone w tytule zdanie, które można uznać za podstawowe dla wizerunku i oceny życia zmarłego. A przecież nie chodziło mi o pozyskanie tego rodzaju opinii kogoś, kto sięga pamięcią do pierwszych katowickich dni twórcy „Krzesanego”. To była jakby odrochowa reakcja Józka, ocena utrwalona przez wszystkie lata aż po czasy ostatnie, gdy życie Wojciecha Kilara zbliżało się do kresu. Myślę, że tak podsumować można w największym skrócie jego biografię, choć nie da się w kilku słowach zawrzeć całej prawdy o nikim. Tak, to był szczęśliwy człowiek – spełniony w sensie twórczym i życiowym, przy tym zawsze wolny i niezależny. Przed wszystkim wykorzystał swój wielki talent, cechy charakteru i błyskotliwą inteligencję choć przyszło mu żyć, jak nam wszystkim, w nielatach czasach wszelakich ograniczeń i despotyzmu.

Na początku był jednak rodzinny Lwów – miasto wspomniane zawsze z czułością i te nienasycone włóczędzy po kinach, pasja, która już wtedy dała o sobie znać z całą mocą. Lecz do miasta urodzenia Kilar nie ośmielił się nigdy wrócić, choć okazje będą; zbyt bolesne było tamto rozstanie ze Lwowem 12-letniego Wojtka, gdy Kilarowie w roku 1944 musza go opuścić na zawsze, jak dziesiątki tysięcy lwowiaków. Mają za sobą lata wojny oraz przemiennej okupacji niemieckiej i sowieckiej. Ojciec Jan Franciszek, ginekolog i matka Neonilla, aktorka, niewiele zabiorą ze sobą z przestronnego mieszkania przy ulicy Sapiehy 89. Wkrótce także okaże się, że w nowej sytuacji dadzą o sobie znać różnice charakteru, co doprowadzi niebawem do rozpadu ich związku i w konsekwencji do rozvodu. Ojciec zamieszka najpierw w Zabru, skąd przenosi się wnet do Warszawy, gdzie w 1951 roku umiera. Matka z synem zatrzymują się w Rzeszowie, gdzie pani Neonilla wiąże się z Antonim Graziadio, wicedyrektorem rzeszowskiego teatru, człowiekiem o staroświeckim uroku, zawsze z muską, z którym przeniesie się wkrótce na Śląsk. Wojtek kontynuuje naukę gry na fortepianie, choć nie bardzo przykłada się do instrumentu, za to wnet wykazuje spontaniczne zainteresowanie komponowaniem muzyki. Krótki pobyt w Krakowie też okaże się niefortunny – niepowodzenia w szkole wręcz alarmu-

jące; w pewnym momencie zbiera aż 6 dwój, bo jako antytalent matematyczny nie radzi sobie z przedmiotami ścisłymi, ba, nawet z gimnastyki mocuje się z pałą (później będzie żartobliwie określał siebie jako ciamajdę).

Ratunkiem okazują się Katowice, gdzie funkcjonuje pierwsze w Polsce Liceum Muzyczne, które łączy naukę muzyki z przedmiotami ogólnokształcącymi, a te nie są tu klasyfikowane tak ostro. Jest rok 1948 i Wojciech Kilar odnajduje się wreszcie w nowym miejscu – jeszcze nie wie, że całego życia. Katowice tych lat przeżywają okres wielkiej koniunktury artystycznej, zaś na czoło wysuwa się muzyka. Miasto, które nie bardzo ucierpiało w wyniku działań wojennych, staje się mekką dla powojennych rozbitków, w tym artystów, twórców i ludzi nauki. Już 28 lutego 1945 roku zostaje powołana Filharmonia (pierwsza w powojennej Polsce) pod kierownictwem Jana Niwińskiego (przed wojną – dyrektora Filharmonii Warszawskiej). I marce ma natomiast miejsce wyjątkowa uroczystość: otwarcie Śląskiego Konserwatorium Muzycznego (do egzaminów wstępnych przystąpi wnet 800 kandydatów – przyjętych zostanie 400). Jeszcze w marcu da pierwszy koncert orkiestra radiowa stworzona przez Witolda Rowickiego (późniejsza WOSPR). W początkach kwietnia podnosi się kurtyna w Teatrze Śląskim i dochodzi do premiery „Zemsty” Fredry. Gdy z końcem sierpnia do-

trze do Katowic ewakuowany ze Lwowa Teatr Polski pod dyktando Dąbrowskiego z licznym zespołem i dużym repertuarem, Katowice stają się artystyczną potęgą. Nie brak tu i lwowiaków – pośród malarzy, ludzi pióra i w ogóle twórców ze wszystkich dziedzin. Kawiarnie mają wzięcie, zaś przy „małej czarnej” toczą się niekończące rozmowy z lwowskim zaśpiewem. Do teatru, w którym zaangażowała się pani Neonilla, z gmachu Konserwatorium, gdzie na parterze usadowiło się Liceum Muzyczne. Wojtek ma niespełna kilometr. Wpada tu często, bywa za kulisami, staje się bywalcem tego miejsca, zapamiętany przez aktorów, w tym przez Gustawa Holoubka. Przyjdą lata, gdy zostanie mu zlecone opracowanie oprawy muzycznej do premier, wtedy jednak jest to już Wojciech Kilar, ceniony, choć jeszcze początkujący, kompozytor.

W Liceum Muzycznym jest w tym czasie wielu świetnych w przyszłości muzyków i twórców, są Zdzisław Szostak i Józef Świder, który rozpocznie potem studia od razu na trzech kierunkach: teorii muzyki, w klasie fortepianu oraz kompozycji pod kierunkiem Bolesława Woytowicza, u którego kompozycję studiuje także Kilar (jednocześnie kształcił się jako pianista w klasie prof. Władysławy Markiewiczówny). Z jak wielkim spotyka się od razu zainteresowaniem i uwagą jako talent wyjątkowy, świadczy także fakt, że zamieszka u swego profesora Bolesława Woytowicza, człowieka o wielkim prestiżu, walorach intelektu i uznanej klasie towarzyskiej, przy tym koncertującego pianisty i cenionego kompozytora. To świetne lata Wydziału Kompozycji, gdy jednocześnie prowadzi swoją klasę Bolesław Szabelski, mistrz Henryka Mikołaja Góreckiego i rodzi się tzw. „szkoła śląska”. Po ukończeniu studiów z najwyższym odznaczeniem Wojciech Kilar jest przez pewien czas asystentem profesora Woytowicza nim całkowicie pochłonę go własna twórczość – od razu z wyjątkowymi sukcesami; toteż nigdy już nie wiąże się etatem z żadnym miejscem i pozostanie wolnym twórcą, niezależnym w każdym znaczeniu. O jego pozycji osobistej świadczy także powierzenie mu ogłoszenia mowy pożegnalnej po śmierci Grzegorza Fitelberga w 1953 roku.

## Uderzenie pioruna

Rok – wcześniej ma miejsce najważniejsze wydarzenie w życiu Kilara, też związane z gmachem Konserwatorium, gdy mija na schodach młodzieżową pianistkę wyjątkowej urody Barbarę Pomianowską. To było jak uderzenie pioruna; sam kompozytor porówna tamto wrażenie do pamiętnej sceny z „Ojca chrzestnego” Francisza Forda Coppoli, gdy Michael Corlone pod rozpalonym niebem Sycylii zderza się wzrokiem z mijaną dziewczyną. Lecz minąć musi aż 12 lat narzeczeństwa, nim w 1966 roku dojdzie w końcu do ślubu z największą miłością życia. Ma już wtedy za sobą trzykrotne, jako kompozytor awangardowy, rok po roku, owacyjne sukcesy na „Warszawskiej Jesieni” oraz całą serię kompozycji, w tym „Riff 62”, wykonany w roku 1963 przez Filharmonię Nowojorską, uchodzącą za najlepszą orkiestrę symfoniczną na świecie. Trzydziestoletni w tym czasie Wojciech Kilar, choć czasem zerka na Warszawę, zawsze wraca do oswojonych Katowic, choć w sensie twórczym i życiowym nic go tu w istocie nie trzyma.

Ważną datą w jego życiorysie był Październik i rok 1956, gdy Katowice odzyskują swoją historyczną nazwę i stracając z siebie zniemawidzony Stalinogród. Ten czas to okres suwerennych aspiracji miasta otwartego, gdy tyle się dzieje w życiu kulturalnym i w sztuce, pod wpływem nowych impulsów i awangardowych programów. Już w tych latach nazwisko Kilara nie ma jedynie lokalnego rezonansu, zaliczane jest do czołowych przedstawicieli młodej muzyki jako reprezentanta tzw. „szkoły śląskiej”. Mocno też zaznaczy się od początku w programach „Warszawskiej Jesieni” – Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej, zainicjowanego w roku 1956 przez Tadeusza Bairda i Kazimie-

rza Serockiego. To okres wielkiej aktywności społecznej, gdy jako prezes Koła Związku Kompozytorów Polskich w Katowicach przez kilka kadencji jest także członkiem prezydium Związku w Warszawie. Czynny w jury konkursów kompozytorskich, uczestnik licznych przedsięwzięć kulturalnych i artystycznych oraz inicjatyw środowiskowych, gdy dominuje hasło integracji i wspólnych działań (w Katowicach pojawia się wówczas Śląski Klub Młodych Twórców) Kilar jest już w tych latach nader wyrazistą postacią, barwną także w rozbuchanym życiu towarzyskim, jako uczestnik wernisaży, popremierowych spotkań i dysput. Można go spotkać w wielu miejscach, gdzie się coś dzieje, często z kieliszkiem w ręku i zapalonym papierosem (preferuje mocne *gauloises*), nierzadko przy barze w słynnej Piwnicze w klubie Pracy Twórczej przy Warszawskiej; koneser dobrej kuchni i alkoholi, entuzjasta szybkich samochodów, zawsze modny choć z niewyszukaną elegancją, jest adorowany jako *bon vivant*. Wysoki, szczupły, poruszający się lekkim sprężystym krokiem, dowcipny i niezwykle ostry, obdarzony błyskotliwą ironią, wyrastał zawsze ponad Katowice i lokalne elity, choć nie był zadufany ani też nie grzeszył nigdy pychą. Znaczną część czasu spędzał w uwielbianym Zakopanem, gdzie w domu ZAIKS-u „Halamię”, był niemal domownikiem, choć w tych latach raczej „taternikiem kawiarnianym”. Tworzył jednak w Katowicach, dokąd wracał by zasiąść do pracy; finansowo niezależny i w każdym calu profesjonalista. Choć wydawało się oczywiste, że powie go Warszawa – w Katowicach żył i tu wracał, coraz bardziej zrośnięty ze Śląskiem, z czasem – Ślązak z wyboru.

Jednak liczy się przede wszystkim to, co tworzy. Spośród dzieł tego okresu specjalne znaczenie ma „Oda Bela Bartók w memoriam” (1957), napisana pod wrażeniem krwawych wydarzeń na Węgrzech jesienią 1956. Gdy po uzyskaniu stypendium przebywa w Paryżu u słynnej Nadi Boulanger, ta po przejrzaniu partytury uznała, że nic więcej jako kompozytorowi dać mu już nie może i proponuje swobodne konserwatorium w języku francuskim o muzyce. Ten czas stanie się okresem rozmakowania w kulturze francuskiej i życia w Paryżu – wówczas jeszcze stolicy kulturalnej świata. Spędzi go głównie w kinach i jazz klubach, co okaże się ważne dla komponowania nie tylko muzyki filmowej. Może i ten pobyt pozwoli mu potem wyjść z niewoli awangardy oraz polskich kompleksów zapóźnienia i wtórności, bowiem wrodzony krytycyzm Kilara i jego klasa wyrafinowanego intelektualisty na pewno nie sprzyjały w uporczywym trwaniu przy wyczerpanych wzorach, choć nie od razu pojawi się „Krzesiany”, który stanie się przebojem międzynarodowych estrad koncertowych.

Przedtem jeszcze da o sobie znać cierpliwy dotąd los. W drodze z Katowic do Krakowa, dokąd podąża koleją z Barbarą, gdzieś pod jedną z ostatnich stacji pękł zaniedbany wrzód żołądka. Potrzebna była natychmiastowa akcja ratunkowa i przewóz sanitarką do kliniki. Na szczęście na miejscu była nieodłączna Basia, rzecz można z poręki Opatrzności. I tak w kwietniu 1966 roku została wreszcie jego żoną, otąd obecną niemal wszędzie gdzie i on, w tym podczas licznych podróży po wielkim świecie – a Nowy Jork, Paryż, Londyn, Rzym i inne metropolie odwiedzają wielokrotnie także jako turyści. Jednak najważniejsze były zawsze Katowice. O klimacie życia w brynowskim domu Wojciecha i Barbary świadczy wzruszające zdjęcie kompozytora na tle bezowego mercedesa w ogrodzie z napisem na tablicy rejestracyjnej S1\*BASIA. Iłez w tym czułości, ale i wdzięk, bo też w ich wzajemnych kontaktach było coś wzruszającego, tak jak w miłości do udomowionych kotów, które nimi zawiądnęły. Nastaną teraz długie, szczęśliwe lata, najbardziej przy tym twórcze, także z racji duchowych przełomów, gdy coraz mocniej Kilar wiąże się z Kościołem żarliwą, głęboką wiarą, której najczystszy wyraz to zapewne

przejmujący „Angelus” a udział w tym znaczący ma właśnie głęboko religijna Barbara.

## Miejsce Katowic

O tym, że nigdy nie wyprowadzi się z Katowic rozstrzygnie ostatecznie dom przy ulicy Kościuszki 165, gdzie Kilarowie zamieszkają najpierw na warunkach kwaterekowego przydziału, by w końcu nabyć go na własność. To tu powstanie cała seria poematów symfonicznych oraz innych kompozycji, które zyskają niebywałe powodzenie, także jako świadectwa powrotu do korzeni, w tym polskości. Będę, będziemy tutaj z żoną gościć, jako niedalecy sąsiedzi. Także Wojciech i Barbara nieraz wstąpią do nas. Ważne wydarzenia mają także miejsce w roku 1980, gdy znów da o sobie znać obywatelski temperament Kilara, związanego z „Solidarnością”. Gdy jesienią dojdzie do powołania i ukonstytuowania w Katowicach Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych jako reprezentacji katowickich środowisk, od początku jako przedstawiciel kompozytorów, w jego pracach uczestniczyć będzie aktywnie Wojciech Kilar.

Myszę, że także rozległa twórczość związana z muzyką filmową, obejmująca bodaj 150 tytułów, miała wpływ na szerokie ramy jego pozamuzycznych zainteresowań. Weźmy chociażby pod uwagę filmy Kutza od „Nikt nie wola”, po śląskie obrazy, które zamyka „Śmierć jak kromka chleba”, rzecz o tragedii na kopalni „Wujek”. A wszystkie filmy Zanussiego, tytuły Krzysztofa Kieślowskiego, filmy Wajdy w tym „Ziemia obiecana”, „Katyń” i „Pan Tadeusz”, filmy Polańskiego – na czele z „Pianistą”... Każdy scenariusz to była również nowa wiedza o człowieku i wydarzeniach wpisanych w świat historycznej rzeczywistości i naszej współczesności. Te doświadczenia zapewne miały wpływ na sztukę posługiwania się efektami kulminacji, koncentracji nastrojów i kondensacji wrażeń. To właśnie w znacznym stopniu Kilar wpłynął na podniesienie rangi muzyki filmowej do wartości równorzędnej – o czym świadczy jej rola w filmie Francisca Forda Coppoli „Drakula”.

Jako wybitny kompozytor mógł czuć się Wojciech Kilar również człowiekiem spełnionym, obdarzony ogromną łatwością tworzącą obejmującą wyrafinowane dzieła symfoniczne, ale i utwór z programu dla Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. Terminowy, niezwykle wydajny i adorowany, w istocie nigdy nie doświadcza kryzysów twórczych czy wypalenia energii. Miał przy tym przekonanie, że wszystkie problemy twórcze znikają i rozwijają się po powrocie do Katowic – tu mógł tworzyć skupiony i skoncentrowany w poczuciu harmonii i spełnienia; w mieście, gdzie nikt go nie niepokoił.

Noszę w pamięci wiele wizerunków Wojtki Kilara z ważnych miejsc i sytuacji zarówno potocznych jak i podniosłych. Tę talię rozkładam teraz przed sobą z żalem, ale i uśmiechem, bo przecież ten najwybitniejszy spośród Ślązaków rodem ze Lwowa był postacią zawsze wyjątkową. Pozwalam sobie przypomnieć barwną anegdotę, która mówi o nim więcej, niż cały uczoney traktat. Otóż od czasu zawału serca, po wszczepieniu by-passów w 1992 roku, odbywał Wojtek codzienne spacerki do Parku Kościuszki, często przechodząc obok mojego domu. U sąsiadów za płotem pojawił się wówczas pies – przybłąda, rosły i na oko groźny, zwany Zbójem, który co dnia z listonoszką obchodził tę część Brynowa, stanowiąc rodzaj jej nieodstępny ochroniarz. Wychodził po nią także na przystanek tramwajowy i oczekiwał na jej pojawienie się o przeczuczuwanej godzinie. Trasa wędrówki rozpoczynała się pod domem Kilarów. I oto pewnego dnia dzwonił z troską Wojtek, bo okazało się, że Zbój nie otrzymał codziennego przysmaku. Taki zawód... I co on sobie teraz o nas pomyśli! Powiadomiłem Wojtkę, że Zbój jeszcze nie wrócił z listonoszką z codziennego obejścia dzielnicy... Za jakiś czas zjawił się Wojtek z kawałkiem kiełbasy w ręce, by zrehabilitować się w oczach Zbója.

\*\*\*

Był Wojciech Kilar wybitnym i to światowej sławy kompozytorem o ogromnym dorobku, a przy tym człowiekiem nadzwyczaj wrażliwym, przywiązany do zwierząt a już szczególnie do udomowionych kotów. Dbał o to, by nikogo nie skrzywdzić, nie urazić – pozbawiony agresji, delikatny i uprzejmy. Ten szczęśliwy okres życia w domu z ogrodem w Katowicach-Brynowie przerywa po latach czterdziesto- nieuleczalna choroba pani Barbary, teraz już Wojciech Kilar choć zawsze towarzyski, niechętnie przyjmuje gości, by nie zakłócić spokoju zbolęłej żony, u której codziennie zjawia się pielęgniarka. Jednak ratunku nie będzie, pomimo maksymalnych starań w roku 2007 pani Barbara umiera. Po śmierci żony pograżony w bólu i żalobie Wojciech Kilar ograniczył kontakty towarzyskie do sytuacji koniecznych i nieuniknionych. Nosił otąd dwie obrączki – świadectwo, że ani na chwilę nie rozstał się ze zmarłą, związany z nią duchową jednością. Pozostało mu teraz oczekiwanie na własną śmierć, a nastąpiły dni, że czasem nie potrafił się przemóc, by wyjść między ludzi, bo nie mógł opanować szlochu. Jednak tworzył do końca, zapisując nuty, jakby stanął się nowym źródłem energii twórczej.

Skończyły się już na zawsze codzienne kontemplacyjne spacerki do Parku Kościuszki, kończące się w drodze powrotnej przy kiosku z gazetami, nieopodal restauracji Singer, bo nawyk czytania prasy był nałogiem chronicznym, tak jak palenie papierosów. Podczas pamiętnej uroczystości nadania Kilarowi tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego w 2012 roku, Wojtek wyszedł na dziedziniec Wydziału Teologicznego wstydliwie zaciągając się cieniułkim papierosem. – *Jak widzisz, już tylko takie mi pozostały...*

W tych latach raz po raz spotykają go nagrody, prestiżowe wyróżnienia, gdy otrzymuje bardzo dla siebie ważny, ceniony przez „Ślązaka z wyboru” tytuł Honorowego Obywatela Katowic, zdobywa filmowego Cezara za muzykę do „Pianisty” czy zostaje mu przyznany Order Orła Białego wręczony przez prezydenta Komorowskiego. Jednak nie umrze, jak przewidywał, na serce, przekonany, że śmierć będzie miał lekką, skoro żył od lat z rozrusznikiem serca a przyjaźń z wybitnym kardiologiem profesorem Stanisławem Wosiem utwierdzała go w tych przecuciach. A jednak serce wytrzymało to wszystko, co musiał jeszcze przeżyć, gdy zakradł się rak mózgu a przed jego rozpoznaniem przytrafiły się zasłabnięcia, zawroty głowy, a nawet omdlenie na ulicy. Operacja wycięcia raka mózgu powiodła się. Prognozy wydawały się optymistyczne. Lecz serii naświetlań organizm już nie zniósł, Kilar stracił głos i w ostatnich dniach mówił już szeptem. Z życiem pozostał się w ukończonym brynowskim domu, gdzie spędził jeszcze ostatnie święta, stało się to 29 grudnia 2013 roku.

\*\*\*

Z jego śmiercią wiąże się odejście jednego z najwybitniejszych katowiczank, którymi miasto chlubiło się, nie ponosząc z tego tytułu w istocie żadnych kosztów. Po Jerzym Dudzie-Graczu, Henryku Mikołaju Góreckim i Wojciechu Kilarze, a wszyscy spoczęli na tym samym katowickim cmentarzu przy ulicy Sienkiewicza, powstała wielka pustka. Już na zawsze. Trzy wielkie konduktu żałobne, które ruszyły z katowickiej katedry wpisały się w pamięć Śląska i będą wspomniane jako zbiorowe pożegnania największych artystów i twórców, którymi szczytyły się Katowice, choć żaden z nich nie urodził się w tym mieście, lecz zdobył tu wykształcenie i na miarę swego wielkiego talentu i twórczej pasji zyskał sławę oraz trwałe miejsce w historii polskiej kultury. Żyli i tworzyli w tym samym czasie. Czy jeszcze kiedykolwiek podobny przypadek będzie miał miejsce – nie sądzę, by to było możliwe. I musimy mieć świadomość kto żył tutaj i był z nami a dał z siebie wszystko, każdy jako katowiczankin z wyboru do końca życia. ■



W 2012 roku Uniwersytet Śląski nadał Wojciechowi Kilarowi tytuł *doctora honoris causa*. Na zdjęciu akt nadania w ręce rektora UŚ prof. dr hab. Wiesława Baniś.



W 2006 roku Maestro został honorowym obywatelem Katowic. Aktu nadania tej godności dokonał prezydent Katowic Piotr Uszok.

## Wojciech Kilar i jego Katowice

Nie był osobą widywaną na salonach, nie lubił oficjalnych uroczystości, spotkań. Jednak zawsze cenił sobie otrzymywane wyróżnienia i laury, a właściwie zwyczajne gesty, które były wyrazem szacunku. Zawsze te gesty odwzajemniał.

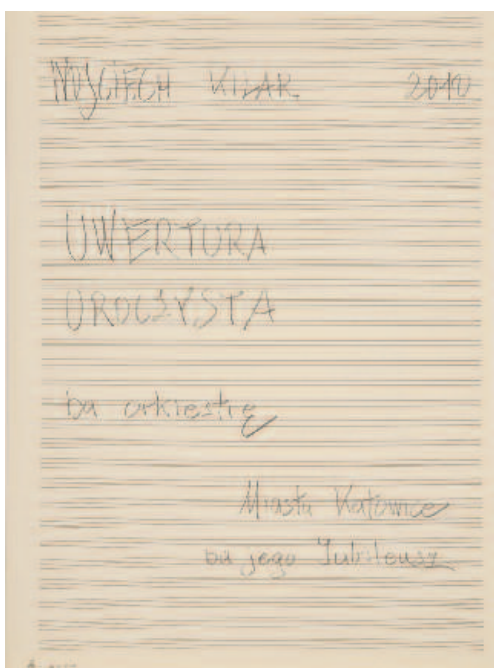
Wśród dziesiątek krajowych i zagranicznych laurów znajdują się i te przyznane mu na Śląsku, w Katowicach – w miejscu, które ukochał najbardziej. Odpowiadając na pytania zagranicznych dziennikarzy o to, gdzie należy mieszkać, żeby pisać tak wspaniałą muzykę, niezmiennie odpowiadał: w Katowicach. To było jego najważniejsze miejsce na ziemi. Tu mieszkał, tu grano jego muzykę – wiele prawykonaw było dziełem śląskich filharmoników czy to pod dyktando prof. Karola Stryji, prof. Antoniego Wita czy prof. Mirosława Jacka Błaszczyka. Był częścią tego miasta, jego honorowym obywatelem, był częścią swojej brynowskiej parafii, dla wielu bliskim sąsiadem...

Katowicom podarował to, co miał najpiękniejsze i najcenniejsze – swoją muzykę. W 2010 roku, z okazji jubileuszu 145-lecia nadania miastu praw miejskich, napisał *Uwerturę*, której pierwszą stronę oprawioną w ramę przekazał prezydentowi Katowic Piotrowi Uszokowi podczas uroczystej sesji Rady Miejskiej. Rękopis partytury przechowywany jest w Muzeum Historii Katowic. (wk)



Śląska premiera *September Symphony* odbyła się 24 stycznia 2004 roku. Wojciech Kilar jej prowadzenie powierzył Antoniemu Witowi, który tego wieczoru, po 23 latach, znów poprowadził orkiestrę Filharmonii Śląskiej.

Fot. Piotr Sobański / Muzeum Historii Katowic

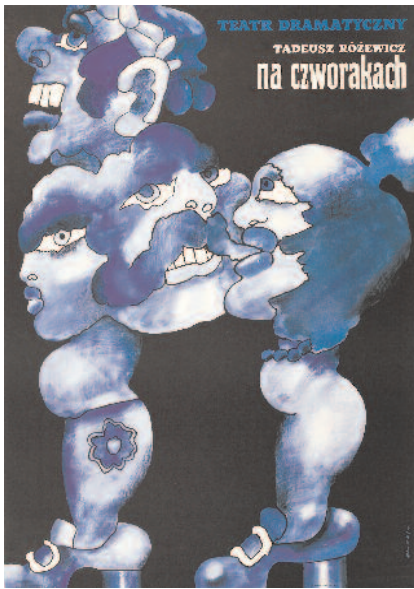


Pierwsza strona „Uwertury” znajdującej się w zbiorach Muzeum Historii Katowic.



Bohater filmu „Wojciech Kilar. Credo” oraz grono jego twórców i współtwórców na czele z realizatorką Violetta Rotter-Kozera (trzecia od lewej) po premierowym pokazie w kinie „Kosmos” w Katowicach.

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz



Tadeusz Różewicz, „Na czworakach”, Teatr Dramatyczny



Cyrk, 1970



„Nocny kowboj”, 1973



„Bulwar zachodzącego słońca”, 1957



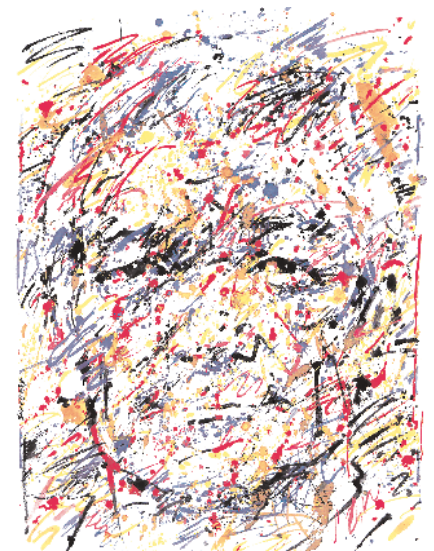
„Szepty i krzyki”



11. Biennale Plakatu Polskiego, 1985



20 lat Muzeum Plakatu, 1985



Tadeusz Grabowski, wystawa plakatu, 2000

Rocznik 1931. Dyplom w 1952 roku – Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydział Grafiki w Katowicach. W sztuce na dobre hula realizm socjalistyczny. Jeśli plakat to propagandowy z chłopem i robotnikiem, matką-Polką, a wszyscy prężą się do jedności i pracy w imię socjalistycznej ojczyzny. Hucznie obchodzone 1 maja i 22 lipca, portrety wodzów radzieckiej rewolucji na – jakby to dzisiaj powiedzieć, o ironio! – na gigantycznych billboardach, ale z płótna z odcisniętymi śladami parkietu na twarzach (bo malowane najczęściej na podłogach sal konferencyjnych), chorągiewki z emblematami sierpa i młota albo orła na czerwonym tle, bez korony. Sztuka w służbie propagandy, dla mas, dla ludu pracującego miast i wsi...

Ale jest wtedy w Katowicach Józef Mroszczak, gdzie wraz z innymi artystami założył Wolną Szkołę Malarstwa i Rysunku i przez dwa lata (1937-1939) prowadził pracownię grafiki. Artysta jeszcze „starej daty”, przedwojennej (1910). A potem był katowicki Wydział Grafiki najpierw w Oddziale Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu, później przekształcony w II Wydział Grafiki krakowskiej ASP. W Katowicach jest do 1953 roku. Miał więc Waldemar Świerzy dużo szczęścia, że trafił do jego pracowni. Mistrz Mroszczak wnet zabrał zdolnego absolwenta ze sobą do stolicy i zaproponował mu współpracę. Tam też dostaje pierwsze zlecenia i tam rozpoczyna się wielka kariera Waldemara Świerzego jako grafika i projektanta plakatów.

Gdyby nie Mroszczak zostałby pewnie malarzem, bo malarstwo było jego pierwszą fascynacją. Interesowało go od zawsze: od kiedy na słupach i murach Katowic jako piętnastoletni chłopak, zarabiając na życie, rozlepiał plakaty firmy „Geniusz i syn” i od kiedy zachodził do malarza – sąsiada – Theodora Ratki. Ale traf chciał, że w życiu zawodowym pozostał grafikiem. Jednak malarstwa nie wyrzekł się. Tak naprawdę towarzyszy mu przez całe życie: genialnie łącząc to co malarskie, rozkoloryzowane, rozbujałe w barwach, rzucone szerokim gestem, z tym co precyzyjne, własnym liternictwem, a wszystko to ujęte w obraz – znak, tworząc rewelacyjny skrót myślowy. Takich plakatów „do Świerzego” nie było. On wyznaczył nowy sposób myślenia o plakacie, wytyczył nową drogę, pokazał, że plakat może być obrazem, który nie tylko opisuje zdarzenie przy pomocy warsztatu projektanta i grafika, czy



Foto: Zbigniew Sawicz

## ŚWIERZY – gigant na ulicy

opowiada jak najkrócej i najdobitniej treść filmu, sztuki teatralnej czy innego zdarzenia, któremu służy, ale może być wytworem pięknym samym w sobie – wybitnym dziełem sztuki.

Plakaty Świerzego oglądało się nie tylko po to, żeby „się dowiedzieć”, ale żeby „zobaczyć”. Była w tych plakatach nieprawdopodobna radość malowania, zabawa w komunikację z odbiorcą – nie bywałcem galerii, koneserem, miłośnikiem sztuki wysokiej, ale zwyczajnym przechodniem, który zauważał plakat w drodze do sklepu, do pracy, albo przystawał przy kinowej gablocie, żeby dowiedzieć się co „leci” w kinie. Otrzymywał informację, a na deser kawałek znakomitej sztuki, którą przyjmował mimochodem. I tak przez lata – dorastał wśród tych plakatów, bo były częścią jego rzeczywistości. Czy to amerykański „Noćny kowboj” z Marlonem Brando, francuska „Czerwona oberża” z Fernandem, albo polski Wajda ze swoją „Ziemią Obiecana”, o wszystkim informował Waldemar Świerzy. Plakat był więc pierwszą interpretacją filmu czy sztuki teatralnej. W dużej mierze od Świerzego zależało, czy ktoś

spędzi wieczór w kinie – bo „fajny” plakat go zachęcił.

W ponad dwutysięcznych zbiorach plakatów, jakie wykonał dla polskich i zagranicznych zleceniodawców, dla przyjaciół artystów na ich wystawy, pokazy filmowe, premiery teatralne znaczące, a nawet dominującą pozycję zajmują plakaty – portrety. Gdyby nie został plakacista, pewnie przez całe życie malowałby portrety. To był jego najlepiej rozpoznawalny znak – jakby w twarzy szukał tego co najważniejsze – prawdy o danej osobie, albo raczej prawdy, jaką on sobie wyobrażał – widać w tych plakatach ogromną pogodę ducha ich autora, widać pozytywne nastawienie do portretowanych, jakby szukał tylko tego, co dobre, radosne, a jednocześnie charakterystyczne i niepowtarzalne. Dodawał do tych rozedrganych portretów swoją malarską duszę i ekspresję. Często malował autoportrety – z dystansem, jakby z boku siebie samego.

Barwne plamy przeplatane z dynamiczną kreską zdecydowanie wyróżniały Świerzego spośród grona wielu znakomitych plakacistów. Jego dzieła – także te najstarsze, ciągle emanują jakąś wewnętrzną, niespożytą energią, bo mimo upływu lat nie starzeją się. Jedynym znakiem przemijania jest papier, na którym przedloty były drukowane. Gdyby dziś na ulicach naszych miast pojawiły się w wielkim formacie,

jak gigantyczna reklama, zadziwiłyby każdego. Byłyby czymś absolutnie wyjątkowym – dziełami sztuki w przestrzeni miasta. Bo nie są nimi, już z założenia, rozlewające się i zawłaszczające każdy wolny metr potężne billboardy. Tych już nie widzimy, dlatego muszą być coraz większe. Uodpamiamy się na krzyczące reklamy, zaczynamy je omijać, wyłączać. A Świerzy – ten gigant ulicy, byłby ozdobą, dostałby drugie życie, poza tym muzealno-kolekcjonersko-wystawienniczym. I może nie tylko Świerzy, ale również i inni wspaniali twórcy, których dzieła powstawały z myślą o ulicy, o słupach ogłoszeniowych, o gablotach. Dzisiejsza kultura obrazkowa, jak nazywają współczesne nam czasy znawcy mediów, może jest dobrą okazją do podjęcia takiej próby. Bo Świerzy już nie nowego nie stworzy. *Pamiętajmy o ogrodach...* śpiewał Janusz Kofka. Pamiętajmy o ogrodach sztuki, które możemy mieć na co dzień, pod ręką, które przypomną nam, że wokół nas i w nas jest jeszcze inny świat, nie tylko ten mierzony kasą fiskalną.

WIESŁAWA KONOPELSKA



W styczniu tego roku Sejm znowelizował ekologiczną ustawę o lasach z 1991 roku. Uzupełniono ją o precyzyjny zapis księgowy, kierujący pieniądze Lasów Państwowych na latanie dziury budżetowej. Jest to zmiana zabójcza.

Współczesne dzieje lasów to bezustanna walka o ich trwanie w warunkach skażonego środowiska, nasilających się katastrof, także klimatycznych oraz tych, prowokowanych zwykłą ludzką beczyłnością i krótkowzroczną polityką rządzących. Ustawowy skok na kasę Państwowego Gospodarstwa Leśnego „Lasy Państwowe” może okazać się dla nich śmiertelną chorobą.

Oszacowany las jest kruchy. Jak ludzkie życie. Przez wieki rósł sam. Dziś musi się bronić każdego dnia. Dlatego trzeba nim zarządzać w sposób zrównoważony. Z wielkim znanstwem go odnawiać i pielęgnować, zgodnie z rytmem natury. Wspierać nauką i edukacją społeczeństwa. Chronić przed szkodnikami i pożarem. I umieć leczyć jego rany, jeśli zdarzy się katastrofa. To niewyobrażalnie dużo kosztuje. Obecny, unikatowy w Europie, model funkcjonowania Lasów Państwowych, wypracowywany od 90. lat, odniósł sukces przyrodniczy, ekonomiczny i społeczny. Nie po raz pierwszy docenił go świat. Samofinansujące się polskie Lasy Państwowe zostały uhonorowane nagrodą UNESCO.

## Trochę historii

Początek polskim Lasom Państwowym dało rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z 28 czerwca 1924 roku. Dwa lata później obejmowały one powierzchnię bez mała trzech milionów hektarów. Wkrótce kolejne rozporządzenie prezydenckie wymogło zagospodarowywanie lasów państwowych w taki sposób, by zapewnić ich trwałość i ciągłość użytkowania. Pojawiło się w nim po raz pierwszy, pojęcie lasów ochronnych. Odkąd lasy państwowe stały się wyodrębnioną organizacją gospodarczą i rozpoczęła się ich wielki rozwój. W latach trzydziestych ubiegłego wieku ich zysk zwiększył się czterokrotnie, wpłaty do budżetu państwa sześciokrotnie. Zaczęły też rosnać nakłady na inwestycje i zagospodarowanie. Tylko do czasu II wojny światowej,

## Lasy dla budżetu

która i na lasy sprowadziła niewyobrażalną klęskę. I choć system powojenny oraz ogromne potrzeby rozwijającej się wówczas gospodarki nie bardzo lasom sprzyjały, dzięki leśnikom ich gospodarstwo przetrwało.

W latach 1969-1990 na powrót zaczęły się w nim korzystne przemiany. W grudniu 1968 roku rozporządzeniem Rady Ministrów powołano ponownie organizację gospodarczą pn. Lasy Państwowe. Nadano im osobowość prawną, wpisano do rejestru przedsiębiorstw. Lasy publiczne, jako organ administracji państwowej, zaczęły funkcjonować według zasad rozrachunku gospodarczego. Dodajmy, w bardzo trudnych warunkach katastrofalnego zniszczenia środowiska naturalnego.

Po transformacji ustrojowej, w 1991 r. przyszła im z pomocą nowa ustawa o lasach. Zapisano w niej konieczność zachowania i wielofunkcyjnego użytkowania lasów przez obecne i przyszłe pokolenia.

W lipcu 2001 roku tę podstawową zasadę utrwaliła kolejna ustawa o zachowaniu narodowego charakteru strategicznych zasobów naturalnych kraju. Jej Art. 3. brzmi: „gospodarowanie strategicznymi zasobami naturalnymi jest prowadzo-

ne zgodnie z zasadą zrównoważonego rozwoju w interesie dobra ogólnego”.

Był to pierwszy obywatelski ustawowy projekt, który miał strzec w sposób szczególnie zasoby naturalne, stanowiące własność Skarbu Państwa, w tym lasów, nie podlegających przekształceniom własnościowym!

## Zabójczy haracz

Dokładnie 28 stycznia 2014 roku, na krótko przed zbliżającym się jubileuszem 90-lecia Lasów Państwowych Sejm przyjął zmiany w ustawie o lasach koalicyjną większością głosów PO i PSL. Przy zgodnym sprzeciwie całej opozycji. Od prawej do lewej strony, co prawie się nie zdarza.

Nowe zapisy nałożyły na PGL „Lasy Państwowe” obowiązek odprowadzania od 2016 roku do budżetu państwa dwu procent rocznych przychodów ze sprzedaży drewna. Niezależnie od tej ustawowej daniny, w tym i następnym roku mają też PGL LP, zgodnie ze znowelizowaną ustawą, zasilić kasę państwa kwotą 1,6 miliarda złotych z kapitału własnego. To znaczy wpłacić 800 mln złotych w 2014 roku i taką samą sumę w roku 2015! Wpłaty mają być dokonywane w równych ratach kwartalnych.

Szokuje nie tylko wysokość kwot, wypracowanych przez Lasy Państwowe na cele publiczne, z ochroną strategicznych zasobów środowiska – naszego dobra narodowego na czele. Równie silne emocje budzi sposób procedowania nowelizacji ustawy, jak i okoliczności uzasadnienia skutków tej regulacji.

Bez powoływania się na rzetelne analizy ekonomiczne oraz opinię publiczną ferują one oceny powierzone. W rodzaju: dodatkowe kwoty z leśnictwa, trafiające do budżetu państwa nie wpłyną negatywnie na realizację jego zadań ustawowych czy stwierdzenie, że projekt założeń do zmian ustawy o lasach był konsultowany społecznie. Tymczasem umieszczono go tylko w ostatniej chwili na stronie internetowej Rządowego Centrum Legislacji i Ministerstwa Środowiska!

Próby sięgania po leśne pieniądze czy pomysły o sprywatyzowaniu polskich lasów publicznych, zdarzały się wcześniej.





Las skoszony przez tornado



Pejzaż beskidzki po gradacji komornika

Pierwsza miała miejsce na przełomie stuleci, gdy rząd Jerzego Buzka przedstawił projekt ustawy, zmieniającej status prawny przedsiębiorstwa Lasy Państwowe na jednoosobową spółkę Skarbu Państwa. Gdyby do tego doszło, dziś część lasów byłaby już sprywatyzowana. Pozostała, państwowa ich część podzieliłaby z pewnością los takich strategicznych branż gospodarczych Polski jak np. stoczniowa czy niewypłacalna górnicza. Ale jest ich więcej. Złe zarządzanie państwowe spółki, obciążały i dalej obciążają dziurawy budżet.

Nie powiodło się również drugie podejście do włączenia zbyt dobrze gospodarujących w imieniu Skarbu Państwa Lasów Państwowych do sektora finansów publicznych w 2010 roku. Zebrano milion podpisów przeciw, minister Rostowski wycofał się ze swojego pomysłu.

Tym razem poszło błyskawicznie, chociaż społeczeństwa nikt o zgodę nie pytał! Tempem procedowania nowelizacji o lasach zaskoczeni zostali nawet sami leśnicy.

### W kosmicznym tempie

**M**inister Środowiska wprowadził w życie projekt ustawy, zmieniającej status prawny przedsiębiorstwa Lasy Państwowe na jednoosobową spółkę Skarbu Państwa. Projekt ustawy, zmieniającej status prawny przedsiębiorstwa Lasy Państwowe na jednoosobową spółkę Skarbu Państwa, został przyjęty przez Sejm 27 grudnia ub. roku. Wcześniej o takim kształcie projektu nie byli informowani. Nie było też możliwości przekonsultowania go wewnątrz leśnych środowisk. Obecni na spotkaniu zdołali jedynie podtrzymać swoje stanowisko z argumentem, że PGL Lasy Państwowe mogą bez szkód dla gospodarki leśnej przekazać w dwu najbliższych latach maksymalnie 1 miliard złotych. Pod warunkiem, że wyhamują inwestycje

i wprowadzą niekorzystny dla lasów program oszczędnościowy. Poprosili też o przesunięcie terminu procedowania nowelizacji ustawy i ustalenia terminu mogących odbyć się konsultacji z organizacjami leśnymi. Bezskutecznie.

Już 7 stycznia do Marszałek Sejmu trafiła z kancelarii premiera projekt ustawy o zmianie ustawy o lasach. Z informacją, że do prezentowania stanowiska Rządu jest upoważniony Minister Środowiska (czyli powołany niedawno Maciej Grabowski, finansista. Ten sam, który podczas prezentacji nowego gabinetu ministrów oświadczył, że jego głównym zadaniem jest przyspieszenie wydobycia gazu łupkowego. I jak się wkrótce miało okazać – także łatanie lasami dziury budżetowej).

Marszałek Sejmu Ewa Kopacz już następnego dnia – 8 stycznia kieruje projekt tej ustawy do Komisji Finansów Publicznych oraz Komisji Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa. Po pierwszym jego czytaniu w komisjach, a nie na posiedzeniu plenarnym Sejmu, komisje wnoszą: „Wysoki Sejm uchwalił raczej projekt ustawy z druku 2041 bez poprawek.”

I uchwalili koalicyjną większością głosów nowelizację ustawy o lasach z 1991 r. Według scenariusza jej pomysłodawców i wnioskodawców. Bez poprawek, ale na szczęście, przy narastającym sprzeciwie wszystkich partii opozycyjnych i wszystkich autorytetów leśnictwa!

Można sądzić, że prawdziwa burza w sprawie lasów dopiero przed nami.

### Zgody nie ma!

**PIS** już rozpoczęło zbieranie podpisów o przeprowadzenie ogólnokrajowego referendum nie tylko w sprawie przyszłości lasów państwowych, ale i zapobieżeniu wolnemu obrotowi polską ziemią od 2016, na co zezwoli zapis z Traktatu Akcesyjnego z Unią.

Krajowy Sekretariat Zasobów Naturalnych, Ochrony Środowiska i Leśnictwa NSZZ „Solidarność” w swoim piśmie do Prezydenta RP napisał o bulwersującym dla Związku braku jakichkolwiek konsultacji w sprawie uchwalonych zmian w ustawie o lasach. Uchwalonych w trybie nadzwyczajnym, co jest niedozwolone w przypadku stanowienia prawa o daninach publicznych. Zdaniem związkowców złamano również zakaz działania prawa wstecz (skoro 1,6 mld złotych wyrwane dla budżetu to oszczędności z kilkunastu ostatnich lat) oraz zasadę równości podmiotów wobec prawa (opłatami obciążono tylko PGL „Lasy Państwowe”, gospodarujące na 77 proc. leśnej powierzchni kraju).

Przeciwno takiej zmianie ustawy czyli kolejnemu uchyleniu drzwi dla prywatyzacji osłabionych na początek finansowo, z czasem też kondycyjnie, Lasów Państwowych, są (z wyjątkami), byli ministrowie środowiska, wszystkie organizacje leśne i przyrodnicze oraz autorytety naukowe w tej dziedzinie.

Szkoda tylko, że ludzie tak mało o grze lasami wiedzą. To widać temat mało medialny. Wyjaśnia ją najpełniej stanowisko Polskiego Towarzystwa Leśnego, jednej z najstarszych tego typu organizacji w Europie. (Działa od 1882 roku, skupia ponad 4,7 tys. członków).

Czytamy w nim m.in.: rozumiemy potrzebę wzmocnienia finansów państwa z zasobów Lasów Państwowych, ale sposób, jaki zaproponowano, poprzez zmiany w ustawie o lasach z 1991 r. budzi nasz zdecydowany sprzeciw. Kwoty skumulowane w ciągu dwu lat (2014 i 2015 r.) oraz po ponad 100 mln zł rocznie w każdym następnym rokiem, to kwoty olbrzymie. Oznaczają one opodatkowanie każdego hektara drzewostanu Lasów Państwowych kwotą prawie 115 zł, co daje rocznie 1,9 mln zł na przeciętne nadleśnictwo. (Jest ich w Polsce 430!)



Dofinansowano ze środków  
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska  
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

# EKOLOGIA



Zapadły las Nadleśnictwa Katowice



Lasy pszczyńskie jak za dawnych lat...

Fot. L. Łukasik

Warto przypomnieć, że PGL LP funkcjonują na zasadach gospodarki rynkowej, pokrywając koszty działalności oraz nakłady na rozwój z własnych przychodów. Lasy Państwowe realizują wszelkie płatności na rzecz celów publicznych w postaci podatków, opłat, składek na ubezpieczenia społeczne i inne. Podatki te są źródłem budżetu centralnego, jak i budżetów samorządowych. Tylko podatek leśny w 2012 roku wyniósł 168 mln złotych. PGL jest też płatnikiem podatków i opłat na cele publiczne. Płatności te wynoszą ponad 2 miliardy rocznie. W latach 2009-2012 PGL LP uzyskało wynik finansowy w kwocie 1.623,5 tys., a zatem kwota obciążenia 1.600,0 tys. zł pozbawia Lasy Państwowe środków na rozwój.

Istnieje też wiele innych niejasności, wątpliwości i pytań obciążenia Lasów Państwowych dodatkową daniną. Ustawa o lasach z 1991 roku dotyczy wszystkich form własności. Także lasów prywatnych, gminnych czy państwowych innych resortów, stanowiących aż 23 proc. łącznego obszaru lasów kraju. Złamano w tym przypadku konstytucyjną równość wobec prawa. Wysokie wpłaty znacząco ograniczają zaplanowane inwestycje i plany rozwojowe, pozbawiają Lasy Państwowe rezerwy w postaci środków reasekuracyjnych na wypadek klęsk żywiołowych i pożarów na wielkich obszarach (nigdzie na świecie lasów się nie ubezpiecza!) oraz środków niezbędnych na odbudowę ekosystemów. Tak wysoka wpłata uniemożliwi realizację przedsięwzięć inwestycyjnych, służących ochronie przyrody, edukacji leśnej, rekreacji i turystyce, popularyzacji wiedzy itp.

Zasoby materialne i finansowe Lasów Państwowych, znacząca część majątku Skarbu Państwa, nie są własnością konkretnego ministerstwa i rządu. Zasoby leśne gromadzone są od dziesiątków, a nawet setek lat, stanowią zasób strategiczny, podstawowy element infrastruktury ekologicznej kraju. Jako takie, przez większość społeczeństwa traktowane są jako dobro

narodowe, zdecydowanie przez nie bronione przed ewentualną prywatyzacją i reprivatyzacją.

Pod tym stanowiskiem podpisał się wielki autorytet naukowy, prof. dr hab. Andrzej Grzywacz, prezes Polskiego Towarzystwa Leśnego. Bez wątpliwości, nie tylko w imieniu środowiska naukowego i leśników.

Polskie Lasy Państwowe funkcjonują wzorcowo. Nagroda UNESCO, wręczona im w grudniu ub. roku w Rio de Janeiro, podczas Światowego Forum Nauki jest podziękowaniem za wybitne osiągnięcia w ochronie przyrody i środowiska oraz prowadzenie zrównoważonej gospodarki leśnej. Także za praktyczne podejście do ekologicznych, społecznych i ekonomicznych funkcji lasów. I ich wartość dla ludzi! To wzór nie tylko dla Europy!

## Gdy zabraknie pieniędzy

**PGL** LP są największą w Unii Europejskiej organizacją dobrze zarządzającą lasami Skarbu Państwa. Bez osobowości prawnej, gospodarują w oparciu o 17 Regionalnych Dyrekcji Lasów Państwowych i 430 nadleśnictw. I wspólny „fundusz leśny”, który służy wyrównywaniu szans czyli niedoborów finansowych w słabszych, z różnych przyczyn, nadleśnictwach. Tych zlokalizowanych na obszarach zagrożonych i poszkodowanych zjawiskami klęskowymi.

Takich jest najwięcej w województwie śląskim. Ciężko doświadczonych skażeniem środowiska, degradacją powierzchni ziemi, klęskami żywiołowymi czy naporem przeludnionej aglomeracji. Lasy śląskie nie pachną jak Bory Tucholskie i dalej znikają, gdy zapada się pod nimi ziemia na węglu. Ale i one po upadku starego przemysłu, dzięki determinacji leśników, podnosiły się z kolan, łapiąc jak ludzie, zdrowszy oddech. Potrzebowały jednak solidarnego wsparcia finansowego, co jest oczywistą, leśną praktyką.

Strach pomyśleć, co mogłoby się dzieć, gdyby w śląskich czy lasach innych regionów wybuchł dziś pożar jak ten po długotrwałej suszy w 1992 roku w Nadleśnictwie Rudy Raciborskie. Wówczas doszczętnie wraz z glebą, spłonęły drzewostany na ponad dziewięć tysięcy hektarów. Ogień zbliżał się do pobliskich zakładów chemicznych. Kto i za co podjąłby próbę odtwarzania tego lasu, wyposażył go w nowoczesną infrastrukturę przeciwpożarową, zapewnił sadzonki, uruchomił cały potencjał nauki, by las mógł powrócić na stałe? Dziś, jeszcze bardzo wrażliwy, rośnie od nowa. I budzi nadzieję.

Kto zmierzyłyby się z kornikiem, największym szkodnikiem lasów, który jak szarańcza zaatakował kilka lat temu, te beskidzkie? Naukowcy pracowali tam na miejscu, w przestrzennych laboratoriach nie do ogarnięcia. Zatrudniono też czasowo pracowników, kilkakrotnie podchodzących do dziesięciu milionów zaatakowanych drzew, by je oznaczyć i działać, zanim buszujące w drzewach korniki doczekają się kolejnego potomstwa?

Co będzie, gdy przez polskie lasy przejdzie trąba powietrzna i skosi je jak zboże. Tak zdarzyło się w 2008 roku w Nadleśnictwie Herby, na kilkuset hektarach. Niszczycielską moc trąby powietrznej oszacowano na ponad 10 mln złotych! Niedługo po tym z jeszcze większą siłą tornado przemierzyło lasy Koszęcina, Rudzińca i Strzelec Opolskich, pozostawiając swój zabójczy ślad na długości 60. kilometrów.

Dwa lata później korony drzew w śląskich lasach w rejonie Częstochowy zaatakowała szadź i okiść, a następnie silny mróz skulił je lodem o grubości kilkunastu centymetrów. I ten las zginął pod jego ciężarem.

Kto uratuje lasy, gdy leśnikom zabraknie pieniędzy?

Do kogo należą polskie lasy? Do dziurawego budżetu czy przyszłych pokoleń?

JOLANTA MATIAKOWSKA



Po tej, pierwszej w dorobku Roberta Talarczyka jako nowego dyrektora Teatru Śląskiego w Katowicach, premierze spodziewano się wiele. Apetyt na powtórzenie sukcesu „Piątej strony świata” według powieści Kazimierza Kutza w jego reżyserii był spory. Jednak spektakle wybitne zdarzają się niezwykle rzadko.

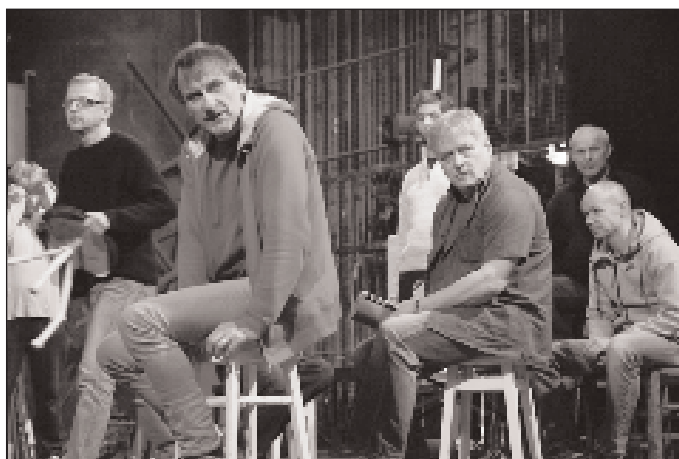
Katowicki „Lot nad kukulczym gniazdem” Dale’a Wassermana, według powieści Kena Keseya, jest zaledwie przedstawieniem interesującym. I powiem przewrotnie – to nie wina jego twórców, a czasów, w których żyjemy. Nie ma w nich tęsknoty za buntem, a odwaga bardzo potaniała. Robert Talarczyk to pokazał.

Trudno się jednak dziwić, żeby portret skarłatego społeczeństwa wiodącego spsiałe życie, mógł się spodobać tym, którzy przeszli przez Morze Czerwone i dotarli do Ziemi Obiecanej. Każde pokolenie ma bowiem taki „Lot nad kukulczym gniazdem”, na jaki zasługuje.

Kilka dni przed premierą „Lotu nad kukulczym gniazdem” prowadziłam w Koźlu spotkanie z Mariuszem Szczygłem. Wybitny reportażysta opowiadał o tym, jak zadał swym czeskim czytelnikom pytanie, czym jest dziś odwaga. Odpowiedzi można uznać za zaskakujące: odwaga to wyrażenie poglądu innego niż zdanie szefa, odwaga to przekonanie odmienne niż zdanie współpracowników, odwaga to przeżycie kilkunastu dni w korporacji po ujawnieniu swoich, stojących w kontrze do pozostałych osób, poglądów. Mariusz Szczygł zamierza temat ten drążyć także u nas, w Polsce. A mnie się wydaje, że aż tak bardzo nie będziemy się różnić w poglądach od naszych południowych sąsiadów – co też uznać można za znak czasów.

Walka o zwykłą egzystencję w naszym wymarzonej raju demokracji, na straży której stoi podobno państwo prawa, mocno ogranicza dziś definiowanie wolności i odwagi. Konieczność trudnych wyborów i nieustanne podejmowanie ryzyka zostały wtłoczone w ciasne, choć klimatyzowane pomieszczenia korporacji. Bunt nie jest w cenie. W cenie jest sukces, zachowanie młodości i szybkie, oparte na konsumpcji, nie na wartościach filozoficznych, tempo życia. Jakże więc czynić z tego zarzut, że u Roberta Talarczyka psychiatryczny szpital jest wesołym domem dla nieszkodliwych wariatów? A może to świadome nawiązanie do starego dowcipu, w którym o Polsce mówi się, jak o najweselejszym baraku w socjalistycznym obozie?

Ken Kesey „Lot nad kukulczym gniazdem” napisał ponad pięćdziesiąt lat temu. W Polsce – z racji cenzury – powieść i głośny, nakręcony w 1975 roku, film Milosa Formana, weszły do obiegu z opóźnieniem. Poprzedził je, fantastyczny pod względem artystycznym, spektakl Zygmunta Huebnera, wystawiony w 1977 roku w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Niespełna rok po jego premierze odbywałam w tym teatrze praktykę teatrologiczną i miałam okazję „Lot” Huebnera oglądać kilkakrotnie. Do dziś pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczego cenzura nie zobaczyła



Fot. Krzysztof Lisiałak

## Jakie pokolenie, taki „Lot”

TEATR

czy też nie chciała zobaczyć w tamtym przedstawieniu tego, co widzieli w nim widzowie – był to wszak manifest wolności człowieka przeciwstawiającego się totalitarnej dyktaturze. To przedstawienie obrosło legendą. I z tą legendą każdy, kto po nie sięga, musi się zmierzyć, póki na widowni może zasiąść ktoś, kto spektakl Huebnera widział, a nie tylko o nim czytał lub zna jedynie z ustnych przekazów innych osób.

Szpital psychiatryczny vel Kombinat – jak definiuje go narrator powieści Keseya, wódz Brombden – jako metafora mechanizmu ucisku jednostki przez system, był w owym czasie znakiem czytelnym dla wszystkich. W końcu o *psychuzkach* w Związku Sowieckim wiedziliśmy nie tylko z literatury, choć przecież i tam były opisywane. Vide „Mistrz i Małgorzata” Bułhakowa, a w polskiej beletrystyce głośna w tamtym czasie powieść „Obłąd” Jerzego Krzysztonia, ukazująca bezradność jednostki wobec Historii, która wyprzedziła aż o trzy lata pierwsze wydanie po polsku „Lotu nad kukulczym gniazdem”.

W tamtych czasach obłąd, także ten zbiorowy, był buntem, sprzeciwem wobec tamtej rzeczywistości. A była to rzeczywistość, w której dążono do tak znakomicie opisaną przez Keseya „całkowitej demokracji”, u nas zwanej „demokracją socjalistyczną”. Owe przymiotniki, poprzedzające słowo „demokracja”, były przymiotnikami niwelującymi – jak trafnie określił to klasyk kabaretu Jacek Federowicz.

Czytelny na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych klucz interpretacyjny „Lotu nad kukulczym gniazdem” jest już dziś passe. Talarczyk musiał zredefiniować więc McMurphy’ego i siostrę Ratched oraz Kombinat, nad którego regułami ona czuwa.

Już we foyer teatru aktorzy – personel i pacjenci szpitala psychiatrycznego – wchodzi w interakcję z widzami. Przechadzają się wśród nich Billy Bibbit – Bartłomiej Błaszczynski i nie rozstający się z latarką – tzw. czolówką Martini – Marek Rachoń. Pułkownik Matterson – Antoni Gryzik próbuje przebić się przez tłum na wózku inwalidzkim. Scanlon – Wiesław Sławik pokazuje bombę, którą konstruuje, by wysadzić świat. Dale Harding – Artur Święs nerwowo przebiera

nogami. Ruckly – Wiesław Kupczak i Ellis – Zbigniew Wróbel, przemykają pod ścianami. Cheswick – Jerzy Głubin, góruje nad wszystkimi. Gdy widzowie siadają w rzędach, Pielęgniarze – Grzegorz Lamik, Mateusz Znanięcki i Andrzej Warcaba – wchodzą między nie i przypominają, że należy wyłączyć komórki, nie nagrywać i nie fotografować. Reguły są jasne i podawane uprzejmie acz stanowczo. Kombinat tworzymy zatem wszyscy.

Muzykoterapię rozpoczyna hymn „Va pensiero” Verdiego. Pieśń zniewolonych niesie ukojenie, bo Kombinat to niebezpieczny świat, w którym, by dzisiaj przeżyć, trzeba porządkować się nie tyle bezwzględnej władzy, co obowiązującym regułom, które porządkują egzystencję i nadają jej jakiś sens. Nawet Doktor Spivey – Jerzy Kuczera – zna w nim swe miejsce, na terapię, którą prowadzi z Siostrą Ratched, przynosi sam krzeselko i grzecznie go odnosi do gabinetu, gdy się ona kończy.

Wśród pragnących takiego „zniewolenia” bunt nie jest na miejscu. McMurphy – Dariusz Chojnacki to więc buntownik bez powodu. Kiedyś była to postać heroiczna, dziś – to jej karykatura, hedonista, który z przekory i chęci zaimponowania innym zaczyna rozgrywkę z Siostrą Ratched.

Również Siostra Ratched – Katarzyna Brzoska, wbrew literackiemu pierwowzorowi jest młodą i atrakcyjną kobietą – pewnie dlatego, że dziś obowiązuje kult młodości i nawet stare pielęgniarki zwalnia się z posad, zanim doczekają emerytury. To Perfekcyjna Pani Oddziałowa, szczupła, z małutkimi piersiami, a nie cyborg z wielkim biustem, który jak trybik w maszynie, realizuje jakiś obłąkańczy plan totalitarnego ucisku. Starcie McMurphy’ego i Siostry Ratched kiedyś było starciem gigantów. U Roberta Talarczyka jest tylko grą skarłatych ludzi wiodących spsiałe życie.

Z Kombinat, w którym jest tak bezpiecznie, a jeśli przydarzy się komuś jakaś tragedia, to dlatego, że naruszył jego reguły i zaburzył dotychczasową harmonię, nie ucieka nawet Wódz Brombden. Kiedy uduśi poddanego lobotomii McMurphyego, nie wyrwie konsoli do hydromasażu, a znów usiądzie na niej w kukki i zastygnie w medytacji jak Budda. W takiej pozycji go widzimy od pierwszej sceny i w takiej kończy ten spektakl. Jednak bunt McMurphyego zaowocował w nim – Brombden manifestuje swą wolność pióropuszem, który zakłada na głowę, zanim znów zapadnie w letarg, czekając na nirwanę.

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA

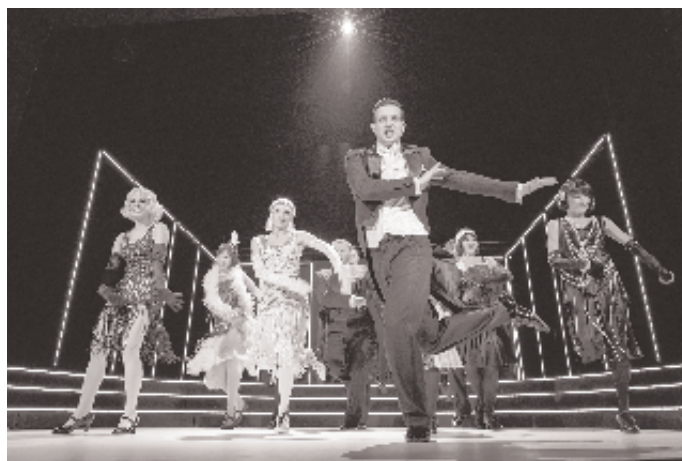
Dale Wasserman *Lot nad kukulczym gniazdem*, na podstawie powieści Kena Keseya, przekład: Bronisław Zieliński. Reżyseria i opracowanie muzyczne Robert Talarczyk, opracowanie tekstu: Aleksandra Czapla-Osliślo, Instalacje, kostiumy Katarzyna Sobańska i Marcel Sławiński, reżyseria światła Maria Machowska, ruch sceniczny Katarzyna Kostrzewa. Premiera 22 listopada 2013 r. w Teatrze Śląskim w Katowicach.

Eugeniusz Bodo – najjaśniejsza gwiazda polskiego filmu, kabaretu, rewii. Królował na scenie legendarnego *Qui pro Quo*, który był teatrem, rewią, kabaretem i operetką w jednym. Występował tam m.in. z wielką Hanką Ordonówną i właśnie tam zaśpiewał słynną *Titine*, która podbiła polskie serca. Jak pisze autor biografii artysty, Ryszard Wolański *zaśpiewał ją tak, że zafalowały zadyszczane piersi dam, a lzy wycierano ukradkiem*. Bawił publiczność m.in. w Nowym Periskim Oku, Morskim Oku, Bandzie, Nowym Momusie, Cyruliku Warszawskim. Pamięć o tych niezwykle scenach *variétés* jest żywa do dzisiaj. Niemala w tym zasługa tego genialnego artysty. Swoją rolę radosnego amanta grał także w życiu. Strzegł swojej prywatności, mieszkał z matką, nigdy się nie ożenił. Miał poślubić Tahitankę Reri, z którą zagrał w filmie „Czarna Perła” – ale ślubu nie było.

Dzisiejsze tabloidy by go pożarły. W tamtych czasach był kochany i noszony na rękach. Można powiedzieć, iż wszyscy go rozpieszczali, zwłaszcza wierna publiczność i nagle ten śniony na jawie sen przysł. Wybuchła wojna i po wielu perypetiach Bodo trafił w tryby totalitarnej, komunistycznej maszyny śmierci. Znalazł się w sowieckim łagrze. Nie mógł zrozumieć czego od niego chcą tępi oprawcy. Miał obywatelstwo szwajcarskie, znał języki obce, posądziło go więc o szpiegostwo i zamęczyli na śmierć. Zmarł 7 października 1943 r. w Kottlasie nad Dwiną w obwodzie archangielskim. Spoczął w beżmiennym grobie...

Eugeniusz Bodo urodził się w Genewie w 1899 r. jako Bogdan Eugène Junod, ojciec Teodor Junod był Szwajcarem, matka Jadwiga Anna Dorota Dylewska polską szlachcianką. Bodo to pseudonim stworzony z pierwszych sylab imion swojego i matki: **Bogdan, Dorota**. Kiedy był małym dzieckiem rodzina przeniosła się do Łodzi – no i stąd dwa obywatelstwa: szwajcarskie i polskie. Co – zdaniem Alicji Choinskiej – w *znacznym stopniu przyczyniło się do jego tragicznej śmierci*.

*Czy Lucyna to dziewczyna?, Paweł i Gaweł, Jaśnie Pan Szofer, Piętro wyżej, Sklamalam, Strachy, Za winy niepopelnione* – to tylko niektóre z wielkich kinowych hitów z udziałem Eugeniusza Bodo. Z wielką przyjemnością dzięki TVP Historia są oglądane do dzisiaj a dawniej pokazywane były we wspaniałym cyklu Stanisława Janickiego „W starym kinie”, który gromadził przed telewizorami niemięjszą widownię od „Kobry”. W filmie „Piętro wyżej” uznanym za jedną z najlepszych polskich komedii zaśpiewał dwa swoje największe przeboje: *Umówiłem się z nią na dziewiątą i Sex appeal*. Te i wiele innych niezapomnianych piosenek można usłyszeć w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu podczas znakomitego spektaklu zatytułowanego *Eugeniusz Bodo – Czy mnie ktoś wola?* Scenariusz napisał znany reżyser (także filmowy, twórca m.in. sympatycznych seriali *Szpilki na Giewoncie* i *Brzydula*) zafascynowany posta-



Piotr Bulka jako Eugeniusz Bodo otoczony wianuszkami pięknych pań.

## Bodo śpiewa w Sosnowcu

TEATR

cią wszechstronnego artysty – Rafał Sisicki, który przedstawienie na sosnowieckiej scenie również wyreżyserował. Znakomitą scenografią i kostiumy zaprojektowała Aleksandra Szempruch a całość ozdobił żywiołową – raz szaleńczo zabawną (tam gdzie trzeba) to znowu klasycznie elegancką – choreografią mistrz w tej dziedzinie Jakub Lewandowski.

Rafał Sisicki wspomina jak to *w jednej z gazet ukazał się artykuł opisujący śmierć Bodo w stalinowskim łagrze. Szok. Panowało wówczas ogólne przekonanie, że Bodo zginął w czasie II wojny światowej, zastrzelony przez Niemców. Rozpocząłem poszukiwania. W Akademitrach Teatralnej natrafiłem na pracę magisterską Magdaleny Żakowskiej (wówczas Cytowskiej) „Eugeniusz Bodo. Głośnie życie przemilczana śmierć”. Później jeszcze jedna lektura „Eugeniusz Bodo. Już taki jestem zimny drań” Ryszarda Wolańskiego i już wiedziałem – muszę stworzyć przedstawienie o jednym z najbardziej lubianych i popularnych aktorów filmu i teatru międzywojennej Polski. Na premierze autor przywołał nazwisko Zbigniewa Rymarza, którego wiedza o muzyce i historii teatru międzywojennego, o przedwojennych seansach filmowych i gwiazdach z tamtych lat oraz znajomość ówczesnych szlagierów okazała się bezcenna. To on pomógł wybrać z przebogatego repertuaru Eugeniusza Bodo te piosenki, które – jak mówi Sisicki – *najlepiej przedstawiają postać bohatera*. Te wszystkie elementy twórca spektaklu na deskach Teatru Zagłębia powiązał w elektryzującą całość.*

Dwa życia – to pełne radości sprzed wojny i to tragiczne, wojenne, obozowe, powoli, bezwzględnie i brutalnie odbierane przez komunistycznych oprawców – niczym filmowe kadry przesuwały się przed naszymi oczami. Raz jest ponuro, raz wesoło. Buntujemy się przeciwko psychicznemu maltretowaniu niekończącymi się przesłuchaniami, by za chwilę wpaść do jednego ze słynnych kabaretów i świetnie się bawić. To ryzykowny pomysł, męczący widza i łatwy do przerysowania. Twórcy sosnowieckiego

spektaklu uniknęli wszystkich pułapek i podarowali nam oryginalne i niezwykle szlachetne w formie widowisko. Duża w tym zasługa doskonałych sosnowieckich aktorów. W rolę powoli zabijanego w sowieckim łagrze legendarnego artysty wcielił się Grzegorz Kwas. Wzrusza sposobem ukazania koszmaru sytuacji bez wyjścia. Najpierw nie rozumie dlaczego się tu znalazł, dziwi się, że ktoś może go nie znać, powtarza całą prawdę o sobie, w którą nikt mu nie wierzy. Zaczyna słabnąć i mówi coraz ciszej – ale już tylko do siebie, tylko po to, żeby nie zapomnieć, przestaje się buntować, kiedy godzi się z okrutnym losem umiera... Piękna rola – Kwas zasłużył na wielkie brawa. Eugeniusza Bodo jako czarującego ulubieńca publiczności wykreował perfekcyjnie Piotr Bulka. Wierzę, że o tym wszechstronnie utalentowanym młodym artyście usłyszymy jeszcze wiele dobrego.

Otoczony wianuszkami pięknych pań bywa samotny, znajduje miłość, to znowu ją gubi, stawia ważne (szczególnie w dzisiejszych, zwariowanych czasach) pytania w pozornie błahych piosenkach. Bulka wykradł tajemnicę wielkiego sukcesu niezapomnianego mistrza sceny, filmu i kabaretu. Do tego nie wystarczyło doskonale opanowanie aktorskiego warsztatu (śpiewać, tańczyć, recytować każdy może się nauczyć i to całkiem dobrze). Rola Bulki to wyższa szkoła jazdy. Wojciech Leśniak, Andrzej Rozmus i Piotr Zawadzki przejmująco pokazali wszystko co złe w sowieckich łagrach. Panie: Agnieszka Bienkowska, Beata Deutschman, Katarzyna Giżyńska, Ewa Koczyńska (nie kryję, że to od wielu lat moja ulubiona aktorka), Edyta Ostojak, Ewa Żurawiecka – są nie tylko piękne, ale przede wszystkim znakomicie tańczą i śpiewają. Towarzyszą im w nocnych szaleństwach panowie: Michał Bałaga, Przemysław Kania, Krzysztof Korzeniowski i Tomasz Muszyński – co tu dużo gadać: bez zarzutu. Ukochaną matkę polskiego króla rewii wzruszająco ukazała Krystyna Gawrońska. Przygotowanie wokalne zespołu aktorskiego na szóstkę to zasługa wspaniałego muzyka Adama Snopka. Trwa dobra passa Teatru Zagłębia. Z całego serca życzę, żeby trwała bez końca! Nigdy nie lubiłem pisać złych recenzji, wolałem słabe spektakle przemilczeć. Pisanie dobrych recenzji to czysta przyjemność i za nią Teatrowi Zagłębia serdecznie dziękuję. Wszystkich kochających teatr zapraszam do Sosnowca i zarecam, że gniotu w repertuarze nie znajdziecie!

WITOLD KOCIŃSKI

**Teatr Zagłębia w Sosnowcu. Eugeniusz Bodo – Czy mnie ktoś wola?, scenariusz i reżyseria: Rafał Sisicki, scenografia i kostiumy: Aleksandra Szempruch, choreografia: Jakub Lewandowski, aranżacje i nagranie muzyki: Stefan Sendeci, przygotowanie wokalne: Adam Snopek, prapremiera: 3 stycznia 2014 r.**

Oczekiwany spektakl duetu Paweł Demirski i Monika Strzępka „Bierzcie i jedzcie” w Teatrze Rozrywki to kolejna porażka tej sceny. Może warto zastanowić się, dlaczego ostatnio w repertuarze tego renomowanego teatru coraz więcej pojawia się nieudanych propozycji?

„Frank V”, którym Rozrywka otwierała ten sezon, to niewypał, ale „Bierzcie i jedzcie” to już obstrukcja. Gdyby nie świetny, ale kameralny spektakl „Dwa ukochania” do sonetów Szekspira, trzeba by było zacząć trąbić na alarm. Ale zanim zatrąbię, spróbuję powalczyć z obstrukcją – może w przyszłości uda się jej uniknąć, a wtedy nie trzeba będzie alarmować.

Cechą wyróżniającą twórczość Demirskiego i Strzępki jest prowokacja. Prowokacją przeciw sztuce stoi nie od dziś. Nie dziwi więc, że już tytuł spektaklu nią jest – „Bierzcie i jedzcie” to przecież ewangeliczne przesłanie z ostatniej Wieczerzy Pańskiej, które wybrzmiewa podczas każdej chrześcijańskiej mszy świętej. Ale to nie jedyne szarganie świętości, z jakim mamy tu do czynienia.

Spektakl toczy się w jelicie grubym, a jego główny temat to zdrowe – niezdrowe odżywianie oraz diety, za pomocą których próbuje się walczyć ze zmorą współczesnego społeczeństwa, jaką jest nadwaga. W towarzystwie o jedzeniu można dyskutować, w końcu gotowanie to sztuka kulinarna, a o sztuce na salonach się rozmawia nie od dziś. W dobrym towarzystwie o trawieniu i defekacji jednak się nie mówi, to temat dobry do przedyskutowania z lekarzem czy dietetykiem. Demirski i Strzępka programowo dobrego towarzystwa unikają, a jak już muszą się w nim pojawić, to ostentacyjnie przychodzą na salony w dresach. Nic zatem dziwnego, że przygotowując „Bierzcie i jedzcie” poszli tropem surrealistycznego filmu „Widmo wolności” Luisa Bunuela sprzed czterdziestu lat, w którym społeczne zasady zostają odwrócone. Tam podczas przyjęcia wytworni goście siedzą wokół stołu na sedesach i rozmawiają o filozofii, zaś jedzą w ustronnym miejscu, bo jedzenie, w odróżnieniu od wypróżniania się, jest czynnością wstydliwą. Humor Bunuela jest wyrafinowany, choć czerpie



Alona Szostak, Jacek Niepysujewicz, Dariusz Niebudek

## Defekacja Rozrywki

TEATR

soki z fizjologii, czego nie można powiedzieć o Demirskim i Strzępce. W „Bierzcie i jedzcie” cały świat przesłania goła dupa, a wszystkie muzyczne akordy są niczym wobec głusznego pierdnięcia, jakie ona wydaje, wydalając na oczach publiczności wielką kupę. Dosłowność „metafory” powoduje zażenowanie.

Prapremierę tego „dzieła” poprzedziły liczne wywiady, w których artyści ze swadą opowiadali o jego genezie i wykładali ideę tego spektaklu. Nie od dziś mam takie wrażenie, że im więcej twórca mówi o tym, co chce swym dziełem przekazać, tym mniej satysfakcji ma widz, który przychodzi obejrzeć to, co mu tak zawzięcie reklamowano. I przecucie, wsparte tym doświadczeniem, mnie nie zawiodło.

Gdybym była dyrektorem Dariuszem Miłkowskim, po prostu nie dopuściłabym do premiery „Bierzcie i jedzcie”. Dlatego, że spektakl ten to po prostu hucpa. I nie chodzi tu o szkowanie formą i tematem, z których słynie ta para teatralnych twórców,

po prostu wrzask, jakby autorzy inscenizacji chcieli na materię teatru przełożyć «Krzyk» Muncha. To powoduje, że trzyipółgodzinne wieloobsadowe widowisko głuży”.

Twórcy „Bierzcie i jedzcie” nie wyciągnęli wniosków z tamtej przygody, wręcz przeciwnie, zamiast rozwijać się, cofnęli się w twórczym rozwoju. „Bierzcie i jedzcie” to nie sztuka, ale zaledwie jej zamysł, nieporadnie przełożony na język teatru. W tekście panoszą się banały i królują grafomański belkot, na scenie triumfują zaś stare, zgrane pomysły, niewybredne żarty i pusty wyglup. Akcja – jeśli w ogóle taka jest – toczy się niemrawo, nie ma tempa ani zwrotów. Dzieło to na pewno nie jest musical, a songi i piosenki są okropne, na szczęście dla uszu jest ich – jak na muzyczne dzieło – mało.

Widz marzy o tym, by to ponad trzygodzinne pseudowidowisko się jak najszybciej skończyło. Ten, który wytrwa do końca, wyjdzie z Rozrywki ze zgagą. Demirski ze Strzępką pokazali bowiem gołą dupę publiczności, w efekcie czego nastąpiła defekacja Teatru Rozrywki. Żenada i tyle.

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA

*Bierzcie i jedzcie* – tekst Paweł Demirski, muzyka Jan Suświlo, reżyseria Monika Strzępka, scenografia Michał Korcho-wiec, choreografia Cezary Tomaszewski. Prapremiera w chorzowskim Teatrze Rozrywki 14 grudnia 2013 roku.



Fot. Tomasz Zakrzewski

Zasłużona dla promowania muzyki polskiej firma płytowa Acte Prealbe opublikowała płytę, na której zarejestrowane zostały nieznanie i nigdzie poprzednio nie publikowane utwory akordeonowe dwóch wielkich śląskich kompozytorów: Edwarda Bogusławskiego i Andrzeja Krzanowskiego. Inicjatorką publikacji była akordeonistka Ewa Grabowska-Lis związana z Instytutem Muzyki Akademii im. J. Długosza w Częstochowie. Na płycie umieszczono: *Suplement for accordion* Edwarda Bogusławskiego z 2002 roku oraz *Polish folk tunes* na chór mieszany, zespół akordeonowy i perkusję z 1989 roku tegoż kompozytora. Z twórczości Andrzeja Krzanowskiego uwzględniono *I Kwartet akordeonowy* z 1971 roku (a więc jeszcze z okresu studiów), który uznawano za zaginiony, lecz odnalazł się przed dwoma laty w domowym archiwum państwa Krzanowskich. Wykonawcami wymienionych dzieł są akordeoniści: Ewa Grabowska-Lis, Daniel Lis, Eneas Kubit, Leszek Kołodziejki, Marcin Jabłoński, Agnieszka Bagińska, Adam Potera i Piotr Chołoiłowicz, perkusistka Paulina Drzazgowska, sopranistka Magdalena Seman oraz Chór Kameralny Akademii Muzycznej w Katowicach pod dyrekcją nieodżałowanej pamięci Czesława Freunda.

Mimo że prezentowane dzieła powstawały w odstępach dwudziestoletnich, wiele je łączy. Rzecz jasna, przede wszystkim przeznaczenie na akordeon. Andrzej Krzanowski był koncertującym akordeonistą, znał instrument na wylot, więc nie dziwi, że szczególnie w młodości poświęcał mu jako twórca największą uwagę. Edward Bogusławski pokochał akordeon w ostatnich latach życia – poznał jego możliwości dzięki współpracy z Joachimem Pichurą. Andrzej Krzanowski wprawiał się już w czasie studiów w kompozycje łączące duch eksperymentu (przede wszystkim brzmieniowego) i tradycyjny liryzm. Bogusławski „nawrócił się” na akordeon w czasie, kiedy poszukiwał możliwości wyjścia poza idiom awangardowy. I u niego objawiła się wówczas nuta romantyzująca. Słysząc ją wyraźnie w *Polskich pieśniach ludowych* – utworze napisanym na zamówienie zagranicznych wykonawców (dlatego ma tak nietypowy skład i obecność równie nietypowych w muzyce Bogusławskiego inspiracji muzyką ludową).

Zwyczaj się uważać Bogusławskiego i Krzanowskiego za przedstawicieli dwóch różnych generacji, tymczasem w tym zestawieniu, w jakim zostali zaprezentowani na płycie, ujawnia się ich głębokie pokrewieństwo. Wreszta, wiekowo różnili się tylko o dziesięć lat – to za mało na dwa pokolenia... Można przyjąć, że na obu twórców oddział



„duch czasu”, czyli nowego romantyzmu, który począwszy od lat 70. XX wieku systematycznie ucierał rogi awangardzie i wytyczał drogę dla tego rodzaju muzyki, jaką zaproponował Kilar czy Górecki.

Dodajmy, że płyta ma starannie zredagowaną książeczkę, a autorką treściwych komentarzy do utworów jest Ewa Grabowska-Lis.

### *Muzyka w Częstochowie*

Instytut Muzyki Akademii im. J. Długosza w Częstochowie wydał obszerny i ciekawy tom *Muzyka w Częstochowie*. Wyszedł on pod redakcją naukową Anny Stachury-Bogusławskiej, a składają się nań artykuły napisane zarówno przez pracowników Instytutu, jak i osoby zaproszone z zewnątrz. Bardzo nowoczesny jest zamysł treści – objęto refleksję nie tylko państwowe i miejskie instytucje muzyczne, ale i muzyczną działalność klasztoru jasnogórskiego. W ten sposób przełamany został tradycyjny podział na część świecką i religijną kultury muzycznej, już nieaktualny, zwłaszcza w przypadku Częstochowy, w której oba nurty od kilku dekad ząbają się ze sobą, tworząc wspólne obszary. Najbardziej znanym z nich jest festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”, współtworzony przez Filharmonię Częstochowską, ale dochodzi do tego jeszcze działalność edukacyjna, wydawnicza itp. Drugą kapitalną zaletą omawianej publikacji jest włączenie w obszar zainteresowań autorów działalności muzycznej mniejszości narodowych – omówiono m.in., piórem Wandy Malko, pracę żydowskich stowarzyszeń kulturalnych. Rozważania autorów publikacji mieszczą się zasadniczo w ramach XX i XXI wieku, z niewielką retrospekcją potrzebną na zarysowanie genezy poszczególnych zjawisk – tu należy wymienić niezwykle cenny zarys dziejów kultury muzycznej Jasnej Góry napisany przez wybitnego muzykologa śląskiego, czu-

wającego obecnie nad badaniami zawartości muzycznej klasztornej archiwum, Remigiusza Pośpiecha. Do klasztornej archiwum zajrzała też Marta Popowska, prezentując kilka najcenniejszych starodruków muzycznych z jego zasobu. Autorzy dwóch artykułów na temat życia muzycznego w Częstochowie w okresie 1900–1939: Robert Gawroński i Wanda Malko wykorzystali w szerokim zakresie źródła archiwalne i prasowe, przy czym w ostatnim przypadku sięgnęli nie tylko po prasę regionalną, ale i „ogólnopolską”. Dało to możliwość spojrzenia na przedstawiane fakty z szerszej perspektywy, otwierającej ciekawy widok na rzeczywiste proporcje układu centrum-prowincja, jaki ukształtował się na ziemiach polskich w czasach zaborów. Na część powojenną relacji składają się prace ojca Nikodema Kilnara, Pawła Skargi, Maryli Renat, Ewy Grabowskiej-Lis, Beaty Młynarczyk, Małgorzaty Zuzanny Nowak, Adama Mroczyka i Macieja Zagórskiego, poświęcone instytucjom koncertowym, festiwalom i muzycznym placówkom edukacyjnym w Częstochowie. Uporządkowano w ich ramach imponującą liczbę informacji o życiu muzycznym miasta. Publikacja jest zaopatrzona w noty o autorach, bibliografię oraz indeks osobowy. Pod względem redakcyjnym jest nienaganna, a i od strony graficznej co najmniej zadowalająca. Przyda się nie tylko osobom, które interesują się życiem muzycznym Częstochowy, ale i tym, którzy chcieliby zabrać się za dokumentowanie życia kulturalnego innych ośrodków. Pozornie wiele już zrobiono na tym polu, ale głównie są to prace magisterskie i licencjackie pisane na kierunkach niegdyś nazywających się Wychowaniem muzycznym, a teraz – Edukacją artystyczną. Łatwo zgadnąć, że spoczywają w archiwach, więc praktycznie nie ma do nich dostępu. Gdyby się odurczono i wpuuszczono do internetu, mogłoby się okazać, że gromadzona pracowicie przez anonimowych magistrantów wiedza na temat wydarzeń kulturalnych na „provincji” góruje nad tą, którą mamy na temat metropolii, a nawet ośrodków stołecznych. Syntetyczne prace o życiu muzycznym Warszawy, Lwowa i Krakowa obejmują jedynie wiek XIX. Historia kultury muzycznej Poznania i Wilna „dociągnięta” jest do drugiej wojny, ale i tak nie jest pełna, jako że dotychczas było w zwyczaju relacjonować jedynie działalność polskich środowisk w tych miastach. O sytuacji badań „na odcinku” Śląska można powiedzieć wiele dobrego, ale i tu mamy duże braki, głównie dotyczące działalności środowisk niemieckich i żydowskich. Przeszkodą dla nadrobienia zaległości może być coraz rzadsza znajomość języka niemieckiego wśród młodych osób, nie mówiąc już o hebrajskim i jidysz – tu daleko nam do Krakowa, szcycącego się najlepszym Instytutem Judaistyki w Polsce.

Rzeźbiarze to w naszym środowisku ci, którzy tworzą dzieła w 3D, oglądać można je bez okularów.

Czcząc papieża Polska postawiła wiele pomników Jana Pawła II na cokółkach, potem inne pomniki (zgodnie z za widzianą modą) zeszyły na poziom chodnika i przysiadły na ławeczkach tak by zostawić wolne miejsce, dla ludzi chcących w dobrym towarzystwie trafić do albumu fotografii rodzinnej.

I tak jak zawsze w Polsce, zaistniała moda w liczebności bije światowe rekordy.

Już prawie każde większe miasto ma swego siedzącego bohatera.

Teraz z pomnikorodnymi inicjatywami wychodzą mniejsze miasteczka, zaś wyobraźni brakuje by ogarnąć liczbę pomników, które stanęłyby po innym wyborczym zwycięstwie.

Sam też rzeźbą od pierwszych lat studiów zmagalem się... miałem nawet pewne znaczące osiągnięcia.

Niestety moja największa (ponad dwumetrowa) rzeźba zrealizowana z rozmachem w roku 1959 w Parku Kultury nie zachowała się, choć była nagrodzona pierwszą nagrodą w Konkursie na rzeźbę w śniegu.

# Anekdoty

HENRYK BZDOK

No i poszli.

Acio Starczewski uśmiechał bezdźwięcznie się pod nosem...

A następnego dnia zaliczenie, nie było mi do śmiechu, trzeba coś stworzyć...

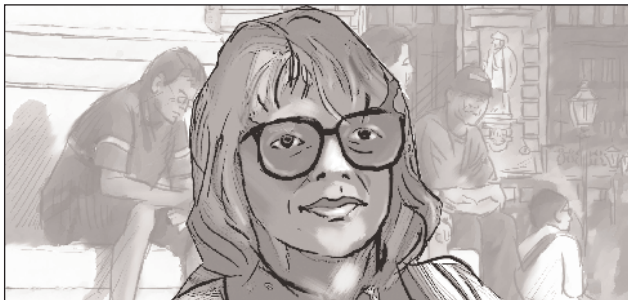
Na starym rusztowaniu parasola, przy pomocy bandaży gipsowych ulepiłam taką nieco spłaszczoną kulę z wystającymi drutami – robalami, no podobne to było do morskiej miny...

Acio pocieszył mnie ze znanstwem – „żebyś sobie nie myślała, że za 20 minut można coś zrobić, co inni robią przez miesiące”.

No i przyszedł Marcinow, popatrzał i się zachwycił, może pamiętał, jaką mi zrobił demolkę, a może naprawdę zasłużyłam... Dostałam piątkę... a Acio, już tego nie skomentował.

Rzeźbę mieliśmy na ASP niejako dodatkowo, ot tak przez dwa lata, żeby wiedzieć jak utrzymać wilgotność gliny i pion. O pionie potem.

Zajęcia mieliśmy w najniższym pomieszczeniu budynku, w dawnej kuchni niegdyśszego kasyna. Pracowaliśmy pod prze-



Studiowaliśmy rzeźbę na pierwszym i czwartym roku, bardziej wtedy poznałem rzeźbiarzy niż ich rzemiosło. O Reinholdzie Dominie rzeźbiarzu z Chorzowa, zaznajamiającym nas z tajnikami anatomii już kiedyś wspominałem, jak i o Stanisławie Marcinowie też, ale o Jacku Puget'cie nie.

Tenże Puget przybył kiedyś na Naradę Wydziału do ASP w Katowicach, sekretarka Irena widząc go wchodzącego do sekretariatu sądziła, że to jakiś jałmużnik, więc dała mu pięć złotych...

To mogło się zdarzyć, bo Jacek ubierał się z elegancją kloszarza, przepasany paskiem do noszenia spodni, na wysokości bioder, jakimś ci płaszczem odkryty.

Wiele o nim było zabawnych przypowieści, które bardziej wiązały się z jego niedbałą sylwetką niż z jego wybitnymi dziełami.

Pytany niegdyś jak to jest, że w przeciwieństwie do małżonki i starszego syna Jasia, młodszy Franuś jest zawsze czysty.

– A co w tym dziwnego? Odpowiedział Jacek. – Franio się myje.

Zdarzyło się, że Stanisław Marcinow i Jacek Puget odwiedzili studentów w pracowni rzeźby.

Tak to wspomina Dorota Adamiec – rzetelna malarka i koleżanka z pracowni Jana Dutkiewicza:

Wyczuwało się, że obaj Panowie profesorowie byli mocno wczorajsi.

Podeszli do mej rzeźby i jeden zniekształconym kciukiem jak szpachlą (po tym poznać rzeźbiarzy) zjechał po mojej rzeźbie – „ja bym tak”, a drugi nożem – „a ja bym, tak?... tak „takowali”, aż został jeno goły sztylec konstrukcji rzeźby, glina leżała wokół na podłodze, popatrzyli jeszcze chwilę co uczynili po czym Marcinow z miną wyrażającą zniechęcenie twórczym zmaganiem, powiedział:

– Eeeeeeh... chodźmy się czegoś napić”.



wodnictwem prof. Marcinowa, naturalizowanego górala z Nowego Targu, lubiącego chodzić w ugrowych sztruksowych odzieniach o grubym splocie.

Korektę rozpoczynał od wbicia noża w czoło glinianej rzeźby i pociągnięcia nim w dół.

– Tu jest pion, mawiał... A potem zaczynał rzeźbić.

Wyrwał glinę z szyi rzeźby i dokładał do twarzy. Zapominał się tak, że do studenta mawiał:

– Proszę obrócić modela...

Z autora student przechodził do roli obrotowego, by potem po skończonej lekcji rzeźbienia, nie robić nic więcej, bo jak dotknąć gliny którą sam profesor modelował.

Takich autorów, przy których rzeźbach pracował Profesor było czterech do pięciu i Ci na końcu roku otrzymywali stopień „bardzo dobry”.

Tyle pół żartem, Stanisław Marcinow był znakomitym rzeźbiarzem, twórcą wielu znanych dzieł, w tym wielu w powstającym Parku Kultury.

W czasie cotygodniowych pobytów w Katowicach, zatrzymywał się u Rafała Pomorskiego przy ul. Dyrekcyjnej.

Zdarzyło się, że pożyczył od Rafała 100 zł i długo nie oddawał.

Kiedyś potem pojawił się u profesora z tekturową walizką pełną pieniędzy tj. z honorarium za wykonany pomnik żołnierzy na placu Wolności.

Kiedy położył walizkę na stole i zaczął przeliczać pieniądze zbliżył się do niego Rafał i rzekł nieśmiało:

– Słuchaj Staszku, czy mógłbyś mi oddać te sto złotych...

Marcinow zatrzasnęła wieko walizki, spojrzął zdumiony na Rafała i powiedział:

– Wiesz Rafał, nie myślałem, że jesteś tak pazurem na pieniądze.



Rys. Henryk Bzdok

TRUMAN  
CAPOTE  
PORTRETY  
i OBSERWACJE  
ESEJE



Truman Capote: *Portrety i obserwacje. Eseje.* Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz, Łódź 2012.

Obserwowane  
z zimną  
krwią

**J**eśli przed wytworami współczesnej poezji zdarza się, iż staje bezradny, jako że jej indywidualizm i hermetyczność zdaje się często przekraczać wszelkie granice, to współczesna proza raczej jest tym medium, które dobrze odbieram i jestem w stanie właściwie na nie zareagować. Ale właściwie, to znaczy jak? Zrozumieć? Wzruszyć się? Unieść się w metafizykę? Otóż to. Wszystko to razem, i każde z osobna. Problem w tym, iż tego rodzaju stan zachwycenia zdarza mi się niezwykle rzadko. Dlaczego? Zapewne na skutek przeładowania, jak to określa pewna moja bardzo wykształcona znajoma, polonistycznym pitu-pitu. Bo przecież nie dlatego, że literatura była kiepska, bo takiej tezy nie miałbym odwagi postawić.

No i właśnie od kilku dni znajdowałem się w stanie takiego zachwycenia za sprawą jednego z największych mistrzów współczesnej prozy światowej, Trumana Capote. Jego książka złożona z tekstów pisanych niemal do ostatniej chwili życia (szkic o Willi Cather napisany

na dzień przed śmiercią autora) fascynuje tym, za co jego przeciwnicy go nienawidzili – igraniem z rzeczywistością. Metoda pisarska TC polegała bowiem m. in. na tym, iż materiału wyjściowego dostarczało mu zawsze życie podpatrywane na różnych poziomach. Z równym pietyzmem autor „Obserwacji i szkiców” pochyla się nad służącą z Sycylii co Gretą Garbo czy Elisabeth Taylor. Równie fascynujący jest dla niego nowojorski kolega po piórze, jak prowincjonalny detektyw, prowadzący niemożliwą do rozwiązania sprawę serii morderstw.

Spśród różnych przejawów amerykańskiego życia, trzeba to powiedzieć, Truman Capote wybrał właśnie zbrodnie jako jeden z najbardziej intrygujących. Widać to było wyraźnie w jego reportażu-powieści „Z zimną krwią” i widać równie wyraźnie w eseju-reportażu, czy może raczej wywiadzie z Robertem Beausoleil, jednym z guru-morderców z tzw. grupy Mansona. Wszystkie niedomówienia, przemilczenia oraz powtórzenia ze strony zabójcy tworzą niecodzienną, lecz wymowną przesłankę do oceny moralnej jego czynu oraz określenia jego poziomu umysłowego. Mogłoby się wydawać, iż tak subtelne narzędzie służące do pokazania czynu skrajnie brutalnego i prymitywnego, jakim jest mord musi sprowadzić autora, a wraz z nim czytelników na manowce. A jednak jest przeciwnie, dotykamy jakiejś nieuchwytniej, wręcz metafizycznej, a przez to bardziej przerażającej tkanki, która uzmysławia nam potencjalne zło tkwiące w każdym z nas.

W tym zbiorze eseistycznych tekstów nie brakuje także liryki. Liryki prozą, rzecz jasna. Oto przykład: „Ulice Nowego Orleanu mają długą, samotną perspektywę; w pustych godzinach panuje na nich atmosfera jak u de Chirico, a rzeczy niewinne, zwyczajne (twarz, na którą pada ukośnie światło zza okiennic, zakonnice sunące w oddali, grube, ciemne ramie wywieszane niedbale z jakiegoś okna, samotny czarnoskóry chłopiec przykucnięty w bocznej uliczce, wydychujący bańki mydlane i obserwujący ze smutkiem, jak unoszą się i pękają) nabierają cech przemocy... Wiedziony wewnętrznym przymusem ruszyłem do środka... Wisiał na wierzbie – mężczyzna o twarzy bandyty z kręconymi platynowymi włosami; wisiał tak wiotko, jak sama wierzba. W tym milczącym, dusznym ogrodzie wiało grozą... Zamknięte okna przypatrywały się ślepo; ślady ślimaków lśniły srebrzyście na liściach alokacji i nic nie poruszało się z wyjątkiem jego cienia. Kiwał się nieco, w przód i w tył, chociaż nie było wiatru. Pierścień, który miał na palcu, lśnił w słońcu, a na ramieniu widniało wytatuowane imię, «Francy». Pies pochylał łeb, żeby się napić z fontanny, a ja uciekłem. Francy – czy to z jej powodu się zabił? Nie wiem. N.O. to tajemne miejsce.”

Także bardzo emocjonalne są portrety ludzi i obserwacje miejsc poczynione we Włoszech. Można zauważyć, że Capote, który, o czym już wspominaliśmy,

brał często na warsztat wielkich tego świata i bywał wobec nich złośliwy, a nawet okrutny, to wobec tych najskromniejszych bywał pełen ciepła, a nawet tkliwej czułości i zainteresowania. (Fontana Vecchia).

Całkiem inną naturę ma reportaż zatytułowany „Słychać muzy”. To odyseja nowojorskiego zespołu wystawiającego operę George’a Gershwina „Porgy and Bess” po Związku Sowieckim w 1956 roku. Rzecz napisana bez cienia złośliwości daje obraz czasem zabawnej, czasem irytującej, a czasem dramatycznej konfrontacji wyobrażeń amerykańskich artystów, w większości o nastawieniu, wedle amerykańskich standardów, lewicowym, z ponurą rzeczywistością komunistycznego, autorytarnego państwa. Co bardzo ujmujące, nie ma w tym tekście ani jednego złośliwego zdania pod adresem ludzi. Pamiętać należy, iż było to w okresie poprzedzającym wydarzenia na Węgrzech, w dobie minimalnego odprężenia, kiedy w USA niektórzy intelektualiści usiłowali lansować, iż komunizm to ustrój jak każdy inny, a problemy są wynikiem ludzkiej głupoty i niedojrzałości. TC nie kupił tego punktu widzenia i dzięki temu otrzymaliśmy cudowny literacko, a do tego obiektywny tekst, który czyta się z tym większą przyjemnością, iż niektórzy z nas pamiętają być może występ tego zespołu w Katowicach (niżej podpisany jedynie z opowiadań, jako że był zbyt młodyciany, by zabrano go do Hali Parkowej).

Ciekawy jest także autowwywiad wielkiego pisarza, uchylający rąbka tajemnicy związanego z jego metodą pisarską.

– *Czy jest pan osobą szczerą?*

– *Jako pisarz – owszem, tak sadzę. Prywatnie – cóż, to kwestia dyskusyjna; niektórzy przyjaciele uważają, że opowiadając o wydarzeniach czy nowinach, mam skłonność do wprowadzania zmian i upiększeń. Ja to uważam po prostu za „ożywianie” historii. Innymi słowy, za formę sztuki. Sztuka i prawda to niekoniecznie dobrana para.”*

Niektóre teksty znane już są polskiemu czytelnikowi, m. in. „Muzyka dla kameleonów”. Jednak większość tekstów zawartych w „Portretach i obserwacjach” trafia do rąk polskiego odbiorcy po raz pierwszy. Ten zbiór stanowi dopełnienie swojego rodzaju, bez którego znajomość twórczości Trumana Capote nie byłaby satysfakcjonująca. Rozmaicie oceniany za życia, z kart tej sporej objętości (niemal sześćset stron) książki przemawia do nas z całym swoim kunsztem pisarskim i udowadnia, iż zasługuje na opinię jednego z największych w gronie dwudziestowiecznych pisarzy amerykańskich. Dla miłośników prozy amerykańskiej – lektura absolutnie obowiązkowa. Dla lubiących reportaże i eseje oraz prozę synkretyczną – chyba także. Chwała wydawcy za podjęcie ryzyka, jako że wydawanie literatury z najwyższej półki wiąże się ze znacznym ryzykiem. Takie czasy.

WITOLD TURANT

Jeszcze do niedawna polski czytelnik mógł zapoznać się jedynie z niewielką częścią literackiego dorobku sióstr Brontë, wybitnych angielskich pisarek. Wielokrotnie wznawiano zachwycające kolejne pokolenia odbiorców powieści: *Wichrowe Wzgórze* Emily Brontë, *Dziwne losy Jane Eyre* oraz *Villette* Charlotte Brontë, zaś pozostałe ich dokonania jakby lekceważono. Ta sytuacja zmieniła się w ciągu ostatnich dwóch lat, gdy opublikowano *Lokatorkę Wildfell Hall* i *Agnes Grey* pióra Anne Brontë, trzeciej z utalentowanych sióstr, a także pozostałe powieści autorstwa Charlotte (*Shirley*, *Profesor*). Dostęp do nieznanych dotąd książek pisarek z Haworth pozwala na nowe odczytanie nie tylko ich twórczości, ale także obrosłej legendą biografii (jednej z najbardziej fascynujących w historii literatury). Owocem takiego świeżego spojrzenia jest książka Eryka Ostrowskiego *Charlotte Brontë i jej siostry śpiące*.

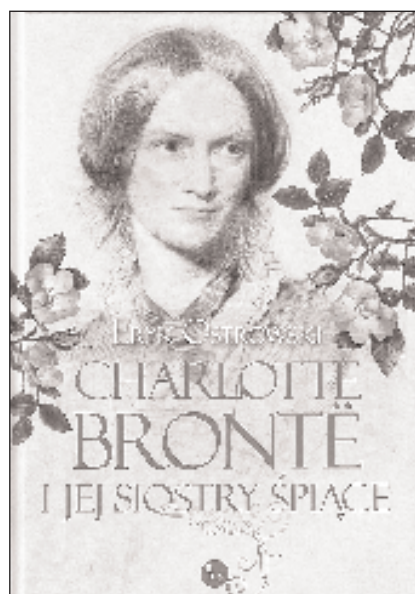
Tę pozycję – o której było głośno jeszcze przed oficjalną premierą – reklamowano niekiedy jako pierwszą polską biografię Charlotte Brontë. Czy słusznie? Nie do końca. Wszak na naszym rynku od dawna dostępne są biografie sióstr z Haworth, w których postaci Charlotte zajmuje najwięcej miejsca (doskonała, napisana z rozmachem *Na plebanii w Haworth* autorstwa Anny Przedpeńskiej-Trzeciakowskiej wydana po raz pierwszy w 1990 roku oraz dużo skromniejsza acz niepozabawiona ciekawych spostrzeżeń książka *Siostry Brontë* pióra Ewy Kraskowskiej z 2006 roku). Trzeba jednak przyznać, że Ostrowski ujawnia sporo faktów z życia autorki *Dziwnych losów Jane Eyre* nieobecnych dotąd w świadomości polskiego czytelnika (takich jak choćby jej fascynacje masońskie czy obawa przed nagłą śmiercią), a także wysnuwa ciekawe i dobrze uzasadnione teorie (na przykład dotyczące związku z Arthurem Bellem Nicollsem – późniejszym mężem pisarki). Nie jest to banalna pogoń za sensacją – Ostrowski kreśli portret pisarki z ogromną empatią, a jego odważne hipotezy znajdują potwierdzenie w wielu zachowanych źródłach.

Warto zaznaczyć, że momentami ta książka przypomina raczej analizę krytyczną biografii, opartą w dużej mierze o twórczość (a te dwie płaszczyzny zawsze ściśle łączyły się ze sobą w przypadku Charlotte Brontë). Oczywiście odniesienia do utworów rodzeństwa z Haworth znajdowały się również w publikacjach Przedpeńskiej-Trzeciakowskiej i Kraskowskiej, ale nie na taką skalę (zapewne z racji tego, że czytelnik nie mógł się zapoznać z większością powieści sióstr z racji braku ich polskich tłumaczeń). Jednak takie podejście, skupienie w równej mierze na życiorysie i na twórczości, ma jeszcze inną przyczynę. Eryk Ostrowski utrzymuje, że Charlotte napisała wszystkie (!) ze znanych nam już

dzis powieści sygnowanych nazwiskiem Brontë. Faktem jest, że to ona po śmierci sióstr wykreowała romantyczną legendę o trzech wyobcowanych córkach ubogiego pastora piszących oburzające ówczesne społeczeństwo powieści. Historia ta przetrwała dziesiątki lat i jest dziś powszechnie przyjmowana za prawdę – a jednak i w niej nie brakuje znaków zapytania. Gdzie się podzielała rzekoma najwcześniejsza twórczość Emily i Anne? Dlaczego to wyłącznie Charlotte prowadziła korespondencje z wydawcami? Jak umarł Branwell Brontë – jedyny syn pastora, utracusz uzależniony od opium i alkoholu? Kim była Emily Brontë, o której tak niewiele wiemy poza tym, że nie przystawała do świata, w którym żyła? I wreszcie – czy to ona napisała *Wichrowe Wzgórze* – jedno z arcydzieł literatury angielskiej (nienowe są przypuszczenia przypisujące autorstwo Branwellowi)? To tylko niektóre z do dziś nierozwiązanych zagadek literatury związanych z siostrami z Haworth.

Eryk Ostrowski stara się te zagadki rozwikłać i dochodzi do zaskakujących (żeby nie napisać: szokujących) wniosków. Przyjmuje – jak już wspomniałem – że stworzenie siostrzanego literackiego tria jest tylko sprytną manipulacją Charlotte Brontë, która przypisując Emily i Anne własną twórczość, chciała je w ten sposób zabezpieczyć finansowo. Po przedwczesnej śmierci obu młodszych sióstr ta, która została przy życiu musiała brnąć we własne kłamstwo (choćby z obawy przed sankcjami prawnymi wynikającymi z oszukania wydawcy). Te hipotezy znajdują zdumiewająco wiele poparcia nie tylko w badaniach zagranicznych literaturoznawców, które zostają przytoczone w niniejszej publikacji (choć sam Ostrowski nie zawsze się z nimi zgadza), czy w ogólnie ustalonych faktach (wydawca Thomas Newby – będący w posiadaniu rękopisów pierwszych powieści sióstr – zaświadczał, że wszystkie były napisane jedną ręką), ale również w literackiej spuściźnie samych sióstr Brontë. W swoich dociekaniach Ostrowski nie ogranicza się wyłącznie do powieści, analizując też listy, notatki czy pamiętniki. Zestawia ze sobą fragmenty tekstów rzekomo różnego autorstwa, a zdumiewająco do siebie zbliżonych. Bada niejasne okoliczności powstania poszczególnych utworów, wskazuje niespójność konstrukcyjną *Shirley*, *Villette* czy *Wichrowych Wzgórz* szuka uzasadnienia dla niektórych decyzji podjętych przez Charlotte. Wszystko robi nie tylko z widoczną pasją, ale przede wszystkim z rzetelnością i jest w tym przekonujący. Trudno mu nie uwierzyć – choć jednocześnie nie można zapomnieć, że pewności mieć nie sposób. Znaki zapytania zostają tu zastąpione kolejnymi znakami zapytania.

Niejako osobną – ale wbrew pozorom wcale nie marginalną – kwestią pozostaje to, jak rewelacje ujawnione



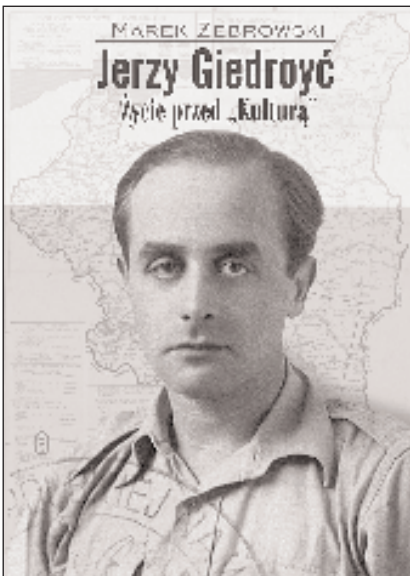
Eryk Ostrowski *Charlotte i jej siostry śpiące*. Wydawnictwo MG. Kraków 2013.

## Tajemnice Charlotte Brontë

w *Charlotte Brontë i jej siostry śpiące* zostaną przyjęte przez czytelników. Nie można Ostrowskiemu odmówić ani imponującej wiedzy, ani rzetelności, ani prawdziwej pasji. Jego tezy się bronią, każde przypuszczenie jest poparte dowodami. Jednak za tym idzie zburzenie szeregu romantycznych wyobrażeń, nieledwie zamach na historię literatury. Czy polscy miłośnicy sióstr Brontë i ich twórczości są na to gotowi? To pokaże czas.

Przełożenie na język polski wszystkich powieści sióstr (a może siostry?) Brontë stanowi interesujące podłoże dla nowych badań literaturoznawczych i Eryk Ostrowski tę szansę wykorzystuje. Jest wyraźnie zafascynowany tytułową bohaterką swojej książki. Przekonuje, że „To, co znamy dziś jako historię sióstr Brontë jest jej decyzją. I jej historią, która na trwałe wpisała się w kanon literatury i kultury” (s. 15). Czy swoimi teoriami niszczy legendę, czy też pokazuje prawdę? Niesłusznie wywyższa Charlotte ponad jej siostry czy raczej przywraca jej właściwe miejsce w literaturze? Trudno o jednoznaczne odpowiedzi – czytelnik będzie musiał zdecydować sam.

MICHAŁ PAWEŁ URBANIAK



Marek Żebrowski, *Jerzy Giedroyc. Życie przed „Kulturą”*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012, s. 528.

## Narodziny legendy

Marek Żebrowski, autor publikacji ukazującej rolę paryskiej „Kultury” w emigracyjnej debacie publicznej w latach 1947-1956, tym razem zaproponował nietuzinkową biografii redaktora naczelnego tego legendarnego miesięcznika. Bo chociaż w ofercie wydawniczej nie brakuje pozycji poświęconych zawodowemu oraz prywatnemu życiu Jerzego Giedroycia (jak chociażby słynna „Autobiografia na cztery ręce”), to książka krakowskiego politologa jest pod tym względem swoistym *novum*. Autor tomu ukazuje bowiem mało znane oblicze publicysty, polityka oraz działacza emigracyjnego, zgodnie ze wskazówką zawartą w tytule skrzętnie pomijając w toku snutej przez siebie opowieści najważniejsze, a na pewno najbardziej znany rozdział z jego życiorysu.

Urodzony w Mińsku Litewskim (jego ojciec, Ignacy, pochodził ze zubożałej linii rodu tamtejszych książąt), Giedroyc od najmłodszych lat wychowywał się w wielonarodowym, wolnym od uprzedzeń środowisku, otwierając się na doświadczenie innych kultur, w tym białoruskiej, rosyjskiej oraz polskiej. Wybuch I wojny światowej przyniósł wiele nowych wyzwani, jak chociażby samotną wyprawę do Moskwy, gdzie kilka lat później Jerzy na własne oczy mógł ujrzeć prawdziwe oblicze rewolucji bolszewic-

kiej. Po przeprowadzce do Warszawy doby II Rzeczypospolitej oraz podjęciu nauki w gimnazjum hołdującym endecyckim wartościom, Giedroyc stał się baczny obserwatorem eskalacji konfliktów o podłożu politycznym i narodowościowym. Wzrost liczby antysemickich wystąpień, wyczuwalne napięcie w polityce wobec mniejszości ukraińskiej, zabójstwo prezydenta Gabriela Narutowicza czy dramatyczne doświadczenie przewrotu majowego – wszystkie te wydarzenia ukształtowały światopogląd przyszłego redaktora, w tamtym czasie wyrastającego na jednego z liderów Myśli i Związku Pracy Mocarstwowej, definiującego imperializm jako wyższość instytucji państwa nad narodem.

W opowieści Marka Żebrowskiego powraca także wspomnienie podjęcia przez Jerzego Giedroycia studiów prawniczych na Uniwersytecie Warszawskim oraz nawiązywanie przez niego kontaktów z oficerami II Oddziału Sztabu Generalnego. Znajomości te okazały się niezwykle pomocne, czego dowodem był angaż w Biurze Prasowym Rady Ministrów, w tym objęcie przez młodego aktywistę funkcji sekretarza ministra rolnictwa, Leona Janty-Polczyńskiego. Autor książki uważnie śledzi rozwój swojego bohatera jako świadomego swych celów i zamierzeń *homo politicus*, którego wyjątkowe zaangażowanie w sprawy życia publicznego zaowocowało objęciem stanowiska redaktora naczelnego ekskluzywnego czasopisma „Bunt Młodych”, po kilku latach przemianowanego na „Politykę”. Jednak prężnie rozwijającą się karierę człowieka prasy przerywa (przewidywany przez Giedroycia) wybuch II wojny światowej.

Jako pracownik Ministerstwa Przemysłu i Handlu został ewakuowany do Rumunii, gdzie sprawdził się w charakterze sekretarza Rogera Racyńskiego, ambasadora RP w Bukareszcie. Choć w 1940 roku zasiadł na fotelu szefa biura polskiego ambasady Chile, wiatr historii zagnał go do Turcji oraz Palestyny, gdzie zaciągnął się do Samodzielnej Brygady Strzelców Karpaccich, biorąc udział w obronie Tobruku. Po połączeniu Brygady z dowodzonymi przez generała Władysława Andersa wojskami ewakuowanymi ze Związku Radzieckiego, Jerzy Giedroyc rozpoczął kolejny rozdział swojego życia: pracownika Biura Propagandy 2. Korpusu. W rekonstrukcji wojennych losów przyszłego Redaktora nie zabrakło także epizodu w Gallipoli, gdzie w 1944 roku skierowano go na kurs oficerski, co zaowocowało pracą w charakterze oficera wychowawczego.

Stamtąd został wezwany do Londynu, gdzie objął posadę w Departamencie Kontyentalnym Ministerstwa Informacji Rządu RP na Uchodźstwie, nad którą przedłożył jednak służbę w armii generała Andersa. Jak wykazuje Marek Żebrowski, była to decyzja, która stała się podwaliną przyszłej legendy. W Rzymie Anno Domini 1946 Jerzy Giedroyc powołał bowiem do życia Instytut Literacki, pod którego patronatem ukazał się w Paryżu pierwszy numer „Kultury”

(1947), w niedługim czasie awansującej do rangi prominentnego czasopisma powojennej emigracji polskiej oraz ośrodka skupiającego najwybitniejszych polskich publicystów i pisarzy na wychodźstwie.

Obszerna publikacja oferuje spojrzenie na mało popularne oblicze polityka także poprzez pryzmat jego zawodowo-osobistych relacji: przyjaźni z Józefem Czapskim, miłości do Zofii Hertz oraz nieudanego małżeństwa z Tatianą Szwecow. Równocześnie „Jerzy Giedroyc. Życie przed *Kulturą*” przywołuje wiele ciekawostek związanych z tytułowym bohaterem. Młodzieńcza awersja do szkoły, pierwsza styczność z nikotyną (nałogowym palaczem został ponoć już jako jedenastolatek) oraz środkami odurzającymi (eksperyment podyktowany fascynacją życiem i twórczością Witkacego) to wyimek z barwnych anegdot dookreślających postać niekwestionowanego tytana pracy – wpadającego w stan depresji w okresach zawodowej stagnacji, jak również uwielbiającego wylegiwać się w łóżku do późnych godzin porannych.

Przystępna, często uruchamiająca pierwszoosobowy tryb narracji książka imponuje swoją skrupulatnością i rozmachem. W ramach prac nad publikacją Marek Żebrowski zgromadził pokaźną liczbę dokumentów z epoki (zarówno tych powszechnie dostępnych, jak i nigdy nie ukazujących się w druku), prezentując bogaty wybór fotografii z rodzinnego albumu, korespondencji, artykułów prasowych czy kopii archiwalnych pism kumulowanych na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Co ciekawe, owe materiały stanowią nie tylko ważne uzupełnienie tekstu, ale są równoprawnym elementem narracji, ukazującej historyczno-obyczajową panoramę kolejnych epok. Niemożność dotarcia do wszystkich pożądanых źródełowych sprawiła, że w wielu partiach swojej książki autor zmuszony był posiłkować się domysłami oraz hipotetycznymi scenariuszami (o czym jednak sumiennie informuje swoich czytelników), unikając stawiania kropki nad i lub pozostawiając pewne pytania bez odpowiedzi.

Opowieść o zmarłym w 2000 roku w podparyskim Maisons-Laffitte redaktorze, konsekwentnie promującym ideę niepodległej Polski jako nieodłącznej części Europy, budzi jednak pewien dysonans wynikający z jej niejednoznacznego statusu, balansującego między publikacją naukową (ogrom przypisów) a pozycją popularyzatorką (formuła narracji). Równocześnie pomimo – w większości spełnionej – obietnicy naświetlenia nieznanych lub rzadko przywoływanych wątków z biografii Jerzego Giedroycia, on sam nadal pozostaje dla czytelnika enigmą, niezmiennie inspirującą do refleksji na temat naszej historii realnie kształtującej kolejne współczesności. Ale te drobne niedociągnięcia nie zmieniają faktu, że mamy do czynienia z intrygującą lekturą.

PRZEMYSŁAW PIENIAŻEK



Przez książkę E. Fonfary *Literackie silva rerum* przeplata się myśl H. White, a o współczesnym zapotrzebowaniu nie tyle na przeszłość taką, jaka rzeczywście była, ile taką, z którą można by żyć. Zapropionowany przez autorkę tryptyk osoba-przeżycie-przestrzeń wpisuje się w rozumienie czasów przeszłych jako usakralizowanej pamięci, opowieści o miejscach oswojonych w dzieciństwie, które wdarły się w serce swoim urokiem, prostotą, wyjątkowością i rodzą także dzisiaj dalsze fascynacje historią, kulturą i wartościami. Taką pamięć „stanowi medium, dzięki któremu przeszłość zostaje uobecniona jako tradycja współczesności”.

Wśród wielu wartościowych pośredników, którzy urzeczywistniają dla dzisiejszego czytelnika Śląsk z okresu międzywojnia, Fonfara wskazuje osoby: prozaików, poetów, reportażyistów; oraz ich teksty: opowiadania, wiersze, eseje, szkice, reportaże. Pokazują one region w konkretnym czasie – po powrocie do Macierzy, a przed hitlerowską okupacją, w dobie kryzysu gospodarczego, odkrywania piastowskich korzeni, scalania Śląska z resztą Polski. Wybrane utwory odkrywają przed odbiorcą olśnienia ówczesnych mieszkańców tej ziemi i przyjezdnych, których zauroczyła magia miejsca na wskroś nowoczesnego, a zarazem będącego żywym świadectwem przeszłości.

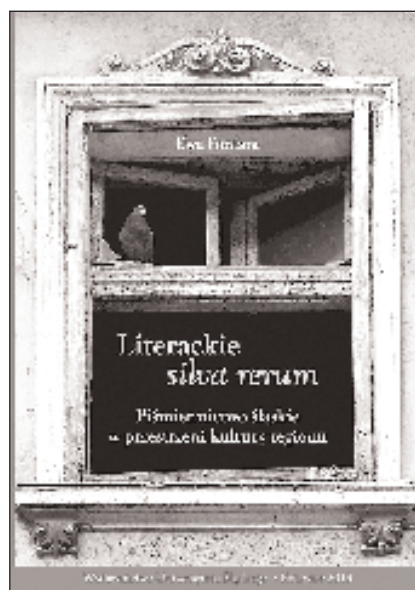
Autorka dzieli swoje rozważania na trzy działy. Pierwszy poświęcony jest osobie G. Morcinka, a właściwie należałoby powiedzieć: osobie w ogóle, szczególnie zaś dorastającej. Fonfara przypomina mniej znaną twórczość skoczowianina – jego publicystykę pedagogiczną, którą publikował głównie na łamach „Miesięcznika Pedagogicznego”. W periodyku ukazującym się w latach 1892-1938 w Cieszynie Morcinek zamieścił 16 artykułów. Napisał je pomiędzy rokiem 1924 a 1938. Wszystkie teksty cechuje pasja pedagoga-praktyka, który dzieląc się swoim własnym doświadczeniem, pragnął przede wszystkim uwrażliwić na konieczność wychowania estetycznego, obywatelskiego i społecznego. Przywołane przez Fonfarę postulaty prozaika należy uznać za aktualne i godne rozpatrzenia przez współczesnych nauczycieli i wychowawców. Najważniejsze dla dzisiejszej szkoły wydają się zwłaszcza dwie kwestie.

Po pierwsze, Morcinek pisał, że „głód książki u dziecka podlega pewnym niezmiennym prawom”, które decydują o tym, co na danym etapie życia jest dla niego interesujące i co potrafi sobie przyswoić. Dobry pedagog powinien te prawa znać i umiejętnie podsuwać uczniowi takie lektury, które będą odpowiednie dla jego aktualnego rozwoju psychospołecznego. Ktoś powie: utopia niemożliwa do zrealizowania w rzeczywistości programów. Trzeba przecież wtłoczyć w głowę dorastającego człowieka pewien kanon uznany za niezbędny do zachowania tożsamości narodowej

oraz wyrobienia w sobie kultury czytelniczej. Deliberacje na ten temat należy jednak odsunąć na margines i wskazać *Czytanie z innym* K. Koziółka jako godną uwagi lekturę uzupełniającą. Tymczasem Morcinkowi chodziło raczej o nawiązanie osobistej relacji z uczniem oraz zauważenie jego „głodu książki”. Rola ta przypada w udziale zwłaszcza bibliotekarzowi, którego współczesne reformy chciałyby wyrzucić ze szkoły. Czy zatem chciałyby one zabić też ów „głód”? Kogo wówczas ukształtujemy?

Drugą ważną kwestią jest wychowanie estetyczne. Pisarz domagał się wręcz, by szkoła uczyła o twórczości Malczewskiego na takim samym poziomie, jak czyniła to w odniesieniu do poezji Kochanowskiego. Zarzucał oświacie, że zapomina o innych sztukach i zachowuje się tak, jakby istniała tylko literatura, zwłaszcza liryka. Dzisiejsza szkoła zachowuje się tak, jakby żadna sztuka nie istniała poza „sztuką” rozwiązywania testów! Kto będzie finalnym efektem takich pseudoedukacyjnych i pseudowychowawczych oddziaływań? Pierwsza część książki Fonfary stanowi więc propozycję do rewizji stanowisk, leżących u podłoża wszelkich działań, którym nadaje się wspólny mianownik „reformy oświaty”.

Walka autora *Serca za tamą* o właściwe kształtowanie przyszłych pokoleń Ślązaków to w istocie pojedynek o zachowanie usakralizowanej pamięci. Jej żywa obecność w ziemi i ludziach przyciągała tutaj wielu pisarzy i dziennikarzy, którzy w międzywojniu przeżywali ten region po raz pierwszy. Drugi dział publikacji Fonfary to opowieść o literackich monografiach Śląska, napisanych w latach trzydziestych przez miejscowych i przyjezdnych twórców. Autorka opisuje książki Z. Kossak (*Nieznany kraj*), G. Morcinka (*Śląsk*), S. Wasylewskiego (*Na Śląsku Opolskim*) oraz P. Hulki-Laskowskiego (*Śląk za Olzą*). Wszystkie ukazują duchową, etnograficzną, językową, historyczną i przyrodniczą topografię regionu. Ich zadaniem było przybliżenie Śląska Polsce, ukazanie genezy i istoty fenomenu tego miejsca. Oprócz zwartych wydawnictw niezwykle popularne były w tym okresie reportaże, eseje, szkice publicystyczne drukowane na łamach periodyków lokalnych i ogólnopolskich, dlatego ich omówienie znalazło się także w drugim dziale *Literackich silva rerum*. Wśród nazwisk autorów felietonów, wspomnień, relacji odnaleźć można nazwiska literatów: J. Iwaszkiewicza, M. Dąbrowskiej czy K. Makuszyńskiego, a także zawodowych reporterów: T. Kopcina, W. Melcera czy J. Radzimińskiego. Znamienne dla tej grupy jest tekst Iwaszkiewicza *Fotografie ze Śląska*, którego obrazowość bardzo dobrze oddaje sposób budowania w międzywojniu wyobrażeń o regionie. Było to utrwalanie widoków z przeszłości i teraźniejszości, swobodnych migawek, które rejestrowała wrażliwość i ciekawość piszącego. Jest to portret zrodzony z przeżycia, fascynacji.



Fonfara Ewa: *Literackie silva rerum. Piśmiennictwo śląskie w przestrzeni kultury regionu*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice, 2013, ss. 162, okładka miękka.

## Usakralizowana pamięć

Wreszcie trzeci dział ukazuje literackie opisy i uwznioślenia przestrzeni Śląska Cieszyńskiego. Autorka odwołuje się do *Dzienników* oraz reportażu *Jaworze* M. Dąbrowskiej, tomików wierszy *Sponad* oraz *W głąb las* J. Przybosa, a także *Opowiadań cieszyńskich* K. Filipowicza, które zebrano z okazji 10. rocznicy śmierci pisarza. Wszystkie wymienione utwory powstały z zapatrzenia. Można powiedzieć, że są one literackimi fotografiami przeszłości, odbitkami z utrwalonego w pamięci filmu. Jest to portret Śląska zrodzony z oglądania go z bliska, podglądania ludzi, ulic, pagórków. Z zauroczenia widokiem zrodziła się z kolei miłość do miejsca, sakralizacja przestrzeni transponowana następnie w literaturę.

Książka Fonfary jest dobrym przewodnikiem po licznych świadectwach fascynacji i zapatrzenia, osławiania i uświęcania. To „medium, dzięki któremu przeszłość zostaje uobecniona jako tradycja współczesności”.

KATARZYNA BERETA

**Kornelia Banaś: *Komunistyczny aparat bezpieczeństwa wobec pielgrzymek stanowych do Piekar Śląskich (1947-1989)*. Wyd. IPN – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Oddział w Katowicach, Katowice 2013, s. 390.**

Piekarskie pielgrzymki pozostawały „pod specjalnym nadzorem” tzw. służb. To nie była tajemnica. Jednak domyślać się, przypuszczać, czy nawet mieć jakąś wiedzę szczątkową to coś innego niż poznać prawdę na podstawie archiwalnych dokumentów. Dzięki tej książce możemy się przekonać, jaka była skala „zabezpieczania” pielgrzymek do Piekar. Aparaty fotograficzne, kamery, radiostacje, samochody – to sprzęt, którego używali funkcjonariusze „obsługujący” religijne uroczystości. Są też ciekawostki, np. że służby nie przestrzegały równouprawnienia – na stanowe pielgrzymki kobiet wysyłano mniej pracowników niż na męskie. A ponieważ w „religijnych” wydziałach pracowali niemal sami faceti, którzy rzucaliby się nazbyt w oczy podczas żeńskich spotkań, przydzielano im funkcjonariuszki z innych pionów, bowiem pary na piekarskim wzgórzu nie raziły. Arcyciekawa książka, polecam.

***Czasypismo o historii Górnego Śląska. Nr 1 (3)/2013.*** Wyd. IPN – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Oddział w Katowicach, Katowice 2013, s. 208.

Pismo ma tylko 2000 nakładu. Szkoda, bo moim zdaniem powinno być obowiązkową lekturą dla wszystkich, którzy dziś zabierają głos w sprawie Śląska, tak z perspektywy Polski jak i z pozycji tutejszych. Jedni i drudzy bowiem eksponują tylko wygodne z ich punktu widzenia wątki, do historii podchodzą wybiórczo i formułują w związku z tym sądy uproszczone, żeby nie powiedzieć – prostackie. Tymczasem autorzy IPN-owskiego półrocznika podejmują tematy różnorodne (w tym numerze np. o partiach politycznych od nazistowskiej po czasy komunistyczne, emigracja Ślązaków do „eFu”, artykuły dotyczące konkretnych osób – Jerzy Ziętek, Wilhelm Szewczyk, Jerzy Kurcysz) odwołują się do źródeł, przytaczają treść dokumentów, z którymi trudno polemizować. W świetle ich badań najlepiej widać złożoność śląskiej historii najnowszej. Widać też, że dyskurs o Śląsku mógłby być bardziej rzeczowy i wolny od koniunkturalnej mitologii.

***Synagoga w Wirku. 1891-1939. Ocalona pamięć.*** [Red. Barbara i Adam Podgórcy]. Wyd. II zmienione. Wyd. Rudzkie Towarzystwo Przyjaciół Drzew, Ruda Śląska 2013, s. 272.

Kolejna publikacja, której autorzy wracają do historii Żydów, zamieszkujących niegdyś nasz region. Większość śladów ich obecności została zniszczona przez hitlerowców. Synagogi, cmentarze, materialne świadectwa kultury, obyczajowości, wiary w większości uległy zagładzie. Po latach okazało się, że jednak coś pozostało, dzięki czemu w miejscowościach zamieszkałych przez społeczność żydowską można dziś urządzać np. wystawy dokumentów i fotografii, publikować świadectwa tych, którzy ocalili albo jeszcze pamiętają. W książce o wireckiej synagodze można właśnie znaleźć ocalone od zniszczenia ślady – miejscową synagogę w kartografii, ikonografii, wypisy z materiałów źródłowych, materiały prasowe, dane statystyczne dotyczące gminy, relacje świadków. Całość jest bardzo bogato ilustrowana archiwalnymi zdjęciami, dawnymi pocztówkami, reprodukcjami planów, fotokopiami dokumentów, nawet komputerowymi rekonstrukcjami.

***Szkice archiwalno-historyczne nr 10.*** Wyd. Archiwum Państwowe w Katowicach, Katowice 2013, s. 288.

Nie tak dawno rekomendowałem w swojej rubryce publikacje Archiwum, które ukazywały się z okazji osiemdziesięciolecia tej instytucji, było to bowiem nieocenione źródło wiedzy na temat dokumentów znajdujących się w jej zasobach. Te swoiste katalogi mogły bowiem pomóc nie tylko historykom, ale i ludziom nie zdającym sobie nawet sprawy z tego, że gdzieś przechowywany jest „kwit”, który może się okazać przydatny w ich życiu. *Szkice* także zawierają informacje o zasobach archiwalnych, ponadto jednak zawierają opis jakiegoś wydarzenia, ewentualnie dokumentu, dane instytucji, która dokumentację sporządziła w ramach swojej działalności itd. W części *Artykuły i Materiały* znajdziemy np. wiadomości na temat materiałów z czasów przemarszu Jana III Sobieskiego przez Śląsk a w *Komunikatach* dowiemy się, jakie meldunki składał wywiad PRL po zamachu na papieża Jana Pawła II. Wymieniam te dwa przykłady, żeby pokazać rozpiętość czasową i różnorodność tematyczną zawartą w tej interesującej publikacji.

**Katarzyna Młynarczyk: *Moja pracownia*.** Wyd. „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo naukowe, Katowice 2011, s. 150.

Autorka, z wykształcenia historyk sztuki, na wstępie sama boryka się z określeniem, czym właściwie jest jej książka. Waha się: *Teksty? Szkice? Recenzje? Refleksje? Nieśmiałe eseje? Próby zapisów wrażeń i odczuć, i spostrzeżeń?* Hermann Hesse napisał, iż żyjemy w epoce felietonu, więc może? Nie będę jednak tu się spierał o jakieś gatunkowe klasyfikacje. Dla mnie ta książka była okazją do „rozmowy” z krytykiem sztuki. Tak się składa, że obracamy się mniej więcej w tym samym kręgu artystów, było więc dla mnie interesujące spojrzenie Młynarczyk na ich twórczość. Czasem dowiadywałem się czegoś nowego, albo uświadamiałem sobie, że coś przeoczyłem, ale też często polemizowałem w myślach z autorką „Tekstów? Szkiców? Recenzji...” inaczej oceniając osoby, dzieła lub zjawiska. Spodobała mi się natomiast przyjęta przez autorkę metoda polegająca na poszukiwaniu poezji w sztuce. Też tak patrzę na prace plastyczne, gorzej – podoba mi się nawet malarstwo, w którym jest „literatura”.

**Katarzyna Młynarczyk: *Savoir vivre dla kochanków*.** (Wybór wierszy). Wyd. „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo naukowe, Katowice 2013, s. 36.

Tak się złożyło, że w tym samym czasie co książka Katarzyny Młynarczyk o sztuce dotarł do mnie wybór jej poezji, będzie więc dwa razy o pisaniu tej samej autorki. Na okładce para – młoda, urodziwa, wręcz słodka. Ale można się doczytać, że ta rycina przedstawia Fausta i Małgorzatę, zatem te wiersze miłosne wcale nie muszą być sielankowe i miłe. I rzeczywiście nie są. Osobiście cenię poezję Młynarczyk, doceniam też przewrotność okładki a także ten ironiczny *savoir vivre*. Kto bowiem przestrzega jego zasad? Kobieta. Na dowód cytuję: *kiedy powiedział że odchodzi / nie zdziwiłam się wcale – / podając wyczyszczone buty spytałam / czy chciałby jeszcze coś zjeść / sprawdziłam czy zabrał wszystko / co potrzebne w samotności / gotowa byłam odprowadzić do rogu // dopiero gdy zniknął / usiadłam na niewygodnym taborecie / i oparłam łokiecie na stole / i bardzo poważnie zapytałam / – Co ja teraz zrobię? Czy nie ładne? Więc polecam kochankom po przejściach.*

Gminna Biblioteka Publiczna w Świerkłańcu wraz z filią w Nakle Śląskim działa w małej społeczności lokalnej, sprawnie łącząc funkcje instytucji kultury oraz ośrodka edukacyjnego i informacyjnego. W dobie zachodzących zmian, zwłaszcza w relacji biblioteka – użytkownik, placówka otworzyła się na nowe działania i możliwości. Nasze propozycje są odpowiedzią na potrzeby użytkowników. Istotny dla placówki jest Plan Rozwoju Biblioteki na lata 2012–2015, który nie tylko uwzględnia poprawę infrastruktury, ale wprowadza coraz to nowsze usługi dla mieszkańców.

**KULTURA** – w bibliotece organizowane są spotkania autorskie, podróżnicze i wieczory poetyckie. Gośćmi byli m.in.: prof. Dorota Simonides, Barbara Gawryluk, Maria Czubaszek, Renata Piątkowska czy Grzegorz Kasdepke. Od kilku lat działa w bibliotece Dyskusyjny Klub Książki „Helikon”. Realizujemy projekty kulturalne dla różnych grup wiekowych. Dzięki udziałowi w Programie Rozwoju Bibliotek uzyskaliśmy dofinansowanie (w ramach Aktywnej Biblioteki) na projekt „Aktor, malarz, pisarz, poeta, rysownik... Jeden dzień z artystą”. W jego ramach zorganizowaliśmy wiele spotkań z ludźmi związanymi z kulturą. Odbyły się warsztaty z grafiki artystycznej, prowadzone przez Annę Osadnik, a także zajęcia z rysunku, prowadzone przez Edwarda Lutczyńskiego. Mieszkańcy mieli okazję spotkać się z pisarką Anną Janko oraz wysłuchać koncertu muzyczno-lirycznego Szymona Babuchowskiego i Patryka Filipowicza. Na chwilę przestrzeń biblioteki zamieniła się w małą scenę, na której Adrianna Jendroszek, laureatka Festiwalu ewentualnych Talentów Aktorskich (FeTA) 2012, wystawiła monodram *Egzamin*, napisany przez Wiesława Ciecieręgę i Mirosławę Zak. Kulturalny Klub Seniora to kolejny projekt kulturalno-edukacyjny, cieszący się powodzeniem. W jego ramach odbywały się m.in. warsztaty artystyczne, spotkania muzyczne oraz filmowe. Organizujemy ponadto imprezy czytelnicze, zachęcające w różny sposób do sięgania po książkę, m.in.: „Noc z Andersemem”, podczas której dzieci przenoszą się w świat baśni, „Dzień z czekoladą”, popularyzujący książkę *Charlie i fabryka czekolady* Roalda Dahla, pikniki z żółwem Franklinem, skierowane do najmłodszych dzieci. Biblioteka jest też miejscem spotkań lokalnych twórców i pasjonatów. Dużą popularnością cieszą się prelekcje Romana i Ireny Gątsów, których zbiór śląskiej porcelany jest znany w całej Polsce.

**ANIMACJA** – współpracujemy z przedszkolami i szkołami w gminie, z lokalnymi animatorami, z Centrum Helen Doron i chorzowską Fundacją Edukacyjną Kombinatory, organizując dla uczniów różnorodne lekcje o tematyce czytelniczej, ekologicznej lub regionalnej. Każdego roku włączamy się w obchody Tygodnia Bibliotek, zapraszając dzieci, młodzież i dorosłych na zajęcia. W bibliotece działa Klub Milusińskich, gdzie swoje miejsce mają najmłodszy czytelnicy. W wakacje prowadzone są ciekawe warsztaty ekologiczno-przyrodnicze dla dzieci i młodzieży. Co roku organizowany jest rajd rowerowy Odjazdowy Bibliotekarz, w którym udział biorą bibliotekarze, pasjonaci książek i miłośnicy rowerów.

**WIEDZA** – do dyspozycji czytelników jest księgozbiór liczący prawie 30 000 woluminów, w tym także coraz szybciej powiększający się zbiór audiobooków. Istotny dla mieszkańców jest dział z dokumentami życia społecznego gminy. Biblioteka posiada stronę internetową wraz z dostępem do katalogu elektronicznego. Uruchomiony został już



Warsztaty graficzne z tarnogórską artystką Anną Osadnik (2013)

Fot. z archiwum GBP w Świerkłańcu

W Gminnej Bibliotece Publicznej w Świerkłańcu

## Spotykamy się przy kawie

elektroniczny system wypożyczania zbiorów. Z ciekawszych przedsięwzięć, które zrealizowaliśmy w ubiegłym roku, można wymienić międzypokoleniowy projekt „To pamiętam, to wspomina... czyli niezapomniane historie naszych dziadków”. Przez kilka miesięcy organizowane były spotkania młodzieży z seniorami gminy Świerklaniec, mające na celu spisanie wspomnień najstarszych mieszkańców. Wypowiedzi dotyczyły konkretnych miejsc, ludzi, zwyczajów, tradycji czy kulinariów. Zapisy rozmów wydano w publikacji *O czym szumią nasze drzewa?*, ilustrowanej pracami laureatów konkursu plastycznego.

**INFORMACJA** – Bibliotekarze pomagają w korzystaniu z komputerów i Internetu, a także w pisaniu CV i listów motywacyjnych czy przeszukiwaniu specjalistycznych serwisów internetowych.

**EDUKACJA** – jest ważnym aspektem działalności świerklanieckiej placówki. Przeprowadziliśmy szereg projektów edukacyjnych, spośród których do najbardziej interesujących można zaliczyć Akademię Małych-Ciekawych – skierowaną do dzieci w wieku 2–4 lat, nieuczęszczających do przedszkoli. Akademia była dla nich alternatywną formą edukacji przedszkolnej. Akademia zdobyła I miejsce w konkursie Gminne Koalicje na rzecz Rozwoju Bibliotek 2013, zorganizowanym przez Bibliotekę Śląską i FRSl. Ciekawe dzia-

łania dla dzieci zaproponowaliśmy w projekcie „Z książką w świat wartości”, który dofinansowany był z Fundacji Banku Zachodniego WBK. Uczestnicy spotkań zapoznawali się z dziejami książki, rozmawiali o jej przyszłości i elektronicznych nośnikach, wzięli udział w warsztatach plastycznych z ilustratorką Aleksandrą Cieślak, nagrali audiobook. Projekt zdobył III miejsce w konkursie Gminne Koalicje na rzecz Rozwoju Bibliotek 2012. Fundacja Rozwoju Dzieci im. J.A. Komeńskiego wyróżniła naszą bibliotekę za działania na rzecz najmłodszych dzieci. Dla młodzieży zorganizowaliśmy warsztaty filmowe, podczas których powstał krótki film dokumentalny *Kraina miłośników* – poświęcony ciekawym osobom z gminy Świerklaniec. Współpracujemy z Latarnikami Polski Cyfrowej, organizując kursy komputerowe dla seniorów. Oferta kursów rozszerzona jest o inne zajęcia kulturalno-edukacyjne, związane z Internetem, np. Internetowe Poradnie Zdrowia, Koncerty życzeń, piknik Srebrnych Surferów. Coraz częściej w bibliotece wykorzystywane są gry planszowe dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Wzięliśmy też udział w projekcie „Link do przyszłości”, organizując spotkania dla młodzieży na temat zawodów.

W placówce można skorzystać z bezpłatnych platform do nauki języka angielskiego „Fun English” dla dzieci oraz „Angielski 123 w bibliotece” dla dorosłych. Miłośnikom matematyki biblioteka udostępnia bezpłatnie platformę do nauki przedmiotu – „MegaMatma”.

Akcja „Od przedszkola do książkowego mola” możliwa jest dzięki współpracy z Przedszkolem Publicznym w Orzechu. Ze względu na to, że w miejscowości nie ma filii oraz punktu bibliotecznego, bibliotekarze kilka razy w miesiącu odwiedzają przedszkole, umożliwiając dzieciom wypożyczenie bajek do domów. Jest to też chwila na wspólne czytanie i zabawy literackie. Tym samym aktywnie uczestniczymy w programie „Cała Polska czyta dzieciom”.

Warto wspomnieć o współpracy biblioteki z organizacjami pozarządowymi, m.in. ze Stowarzyszeniem Miłośników Nakła Śląskiego im. J. Bursiga. Wspólnie wydaliśmy *Bibliografię gminy Świerklaniec za lata 2000–2010*. Stowarzyszenie pomogło również przy realizacji Akademii Małych-Ciekawych. Fundacja Rozwoju Dzieci im. J.A. Komeńskiego wyposażyla Biblioteczkę dla Najmłodszych, a z warszawskim Towarzystwem Inicjatyw Twórczych „ę” zrealizowaliśmy projekt „Akcja: Stylizacja!”, czyli niecodzienną wymianę ubrań w bibliotece, warsztaty z tworzenia biżuterii i ręcznego ozdabiania koszulek. Porozumienie o współpracy podpisaliśmy również z Fundacją PWN.

Biblioteka wzięła udział w programie Instytutu Książki „Kraszewski. Komputery dla bibliotek 2013”, dzięki temu zmodernizowana została sieć komputerowa w placówce.

Działalność świerklanieckiej biblioteki jest wysoko oceniana przez użytkowników. Księgozbiór, stale uzupełniany o nowości wydawnicze, jest dla nich atrakcyjny. Działamy, reagując na potrzeby mieszkańców. Od niedawna w naszej ofercie do wypożyczenia jest CZYTAK dla osób niewidomych, a wszystkim, którzy mają problemy z dotarciem do placówki, oferujemy bezpłatne dostarczenie książek i czasopism do domów.

Zapraszamy do odwiedzania naszej strony internetowej www.biblioteka-swierklaniec.pl



Rajd rowerowy – Odjazdowy Bibliotekarz (2012)

A niolki na sznurkach już bez sznurków, bardzo realistyczna, trzy czaszki odkryte – widać mózg na szarzielonkawym tle a obok brązowym zepsuta krew, mózg pokrojony w plastry jak w rezonansie magnetycznym, płatanina nerwów.

Każdy kto pragnie obcować z wielką sztuką powinien wybrać się do Galerii Extravagance w Sosnowieckim Centrum Sztuki na Zamku Sieleckim. Po Jerzym Nowosielskim i Ryszardzie Grzybie, zyskująca coraz większy prestiż placówka prezentuje kolejnego uznanego w artystycznym świecie twórcę. Marek Chlanda – bo o nim mowa – to jedno z najbardziej gorących nazwisk w polskiej sztuce. Wystawiał w Budapeszcie i Tel Awiwie, Berlinie i Chicago, w São Paulo i Lyonie, w warszawskiej Zachęcie i w Muzeum Sztuki w Łodzi. Jego prace pokazywał krakowski MOCAK i Galeria Muzalewska w Poznaniu. Marek Chlanda jest znany niemal na całym świecie.

Urodził się w 1954 r. w Krakowie i jest absolwentem tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. Prezentacja dzieł Marka Chlandy w sosnowieckiej Galerii nosi tytuł *Uzdrowisko*. Tak jak *Tranzyt* pokazany w krakowskim MOCAK-u *Uzdrowisko* jest w zasadzie pokazem jednej pracy, na którą składa się zbiór malarstwa przyprowadzony do smaku, jak truskawki pieprzem, odrobiną radosnej rzeźby, gdyby nie to, ponurość ekspozycji popsułaby nam humor na wiele dni. Radością dzieli się z nami rozbiegane po Galerii ludziki. Krasnoludki Chlandy troszkę bałaganą i mącą nam w głowach, ale robią to z wielkim wdziękiem. Na moment pozwalają wywracać się spod wpływu przerażających wizji artysty, które mogą uzdrowić jedynie ze znieczulicy... Artysta sam siebie poddaje autopsychoterapii. Po prostu musiał to zrobić, aby całkiem nie zwariować. Dzięki temu mamy do czynienia ze sztuką szczerą aż do bólu, fascynującą i do tego doskonałą w formie. Cały artystyczny zamysł to 253 dzieła ułożone w 34 fragmenty. Wystawa w Galerii Extravagance i towarzysząca jej publikacja to trzecia i jak dotąd największa wersja *Uzdrowiska*. Pierwszy fragment zaprezentowano jesienią 2012 r. w warszawskiej Galerii Foksal. Inny wyimek z tego zespołu pokazano wiosną w 2013 r. w poznańskiej Galerii Muzalewska. Wystawienie wszystkich dzieł tworzących *Uzdrowisko* pozostaje na razie w planach.

Prace nad *Uzdrowiskiem* Chlanda ukończył w połowie 2012 r. Znany krytyk Jaromir Jedliński w *Magazynie O. pl* nazywa najnowsze dzieło artysty konstelacją utworów (są tu bowiem malunki, rysunki i obiekty, a także tłum figurynek). Warto w tym miejscu przytoczyć jego opi-

## Galeria Extravagance w Sosnowcu



Fot: Witold Kociński

# Rany się zabliznią

nię: – *Owe cykle Chlandy jawią mi się na podobieństwo kolejnych ksiąg składających się na „Księgę Pytań” Edmonda Jabesa – wciąż wokół tego samego i ciągle od nowa. To intrygujące. Myślę, że jest tak dlatego, bowiem to, co podejmuje w swojej pracy Chlanda jest chyba intrygujące dla niego samego i samego go wciąż w trakcie pracy zaskakuje. Cała ta bliższa naszemu czasowi faza pracy artysty (czynnego, przypominajmy, na polskiej i międzynarodowej scenie artystycznej od drugiej połowy lat siedemdziesiątych) wyniknęła, jak sądzę, z następstw jego paromiesięcznego pobytu w Jerozolimie w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych minionego wieku, z czego bezpośrednim rezultatem twórczym (poza wystawą, jaką zorganizowaliśmy w Tel Aviv Museum of Art w Tel Awiwie w 1993 roku; pokazany tam został między innymi wykonany przez Chlandę w Izraelu „Kodeks Jerozolimski”) była grupa złożona z rysunków, kolaży i obiektów zatytułowana „Kodeks Nadwiślański” eksponowana w Galerii Foksal w roku 2003.*

Co wzbudza największe emocje na wystawie w Sosnowcu? Przede wszystkim wspaniały poliptyk a raczej cykl 10 obrazów, do którego się wraca, nie da się bowiem przy pierwszym spojrzeniu wszystkiego dojrzeć: ucieczka, gwałt, zdziwienie, szok, przemoc. Nie od razu poznamy całe zło, zatrzymane przez artystę w malarskim kadrze. Wracamy i odkrywamy jego nowe oblicza, ale odkrywamy też nadzieję, choćby w feministycznie zmodyfikowanej przez malarza Modlitwie Pańskiej: *Matko nasza któraś jest w niebiosach, święć się imię Twoje. Przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódz nas na pokuszenie ale nas zbaw ode złego. Amen.* Ten

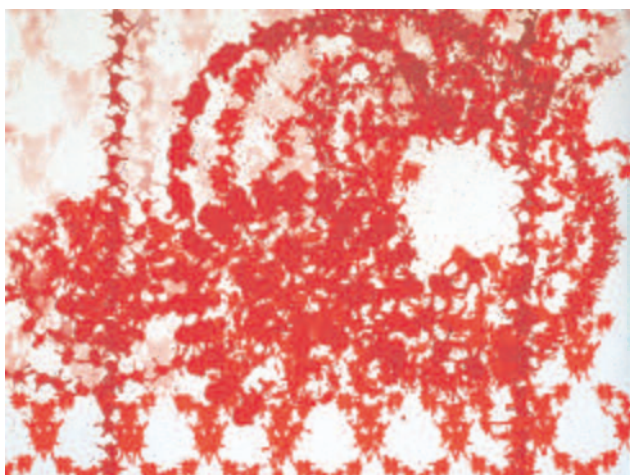
cykl obrazów – jak pisze kuratorka wystawy Adriana Zimnowoda – *dotyczy szeroko zakrojonej refleksji nad teologicznym pojęciem zechi-ny, zobrazowanej wizerunkami gwałconej, upokarzanej kobiety. Nad relacją człowiek – zwierzę, nad postawą kata i kondycją duszy ofiary zastanawia się Chlanda w cyklu drugim, ukazując wizerunek szamoczącej się, prowadzonej na rzeź krowy.(...) Oba epatują znaczną dawką okrucieństwa i sadyzmu, oba są również eksperymentem wykraczającym poza wyłącznie symboliczne rozprawienie się z figurą OPRAWCY. Te właśnie fragmenty ekspozycji przemawiają najsilniej do wyobraźni. Ranią i wywołują bunt. Opisywanie poszczególnych obrazów nie ma sensu. Te sztukę trzeba przefiltrować przez własne odczucia, trzeba ją przeżyć. Rany się za-*

bliznią, warto więc usłyszeć ten pozornie banalny krzyk: *zło dobrem zwyciężaj! Uzdrowisko Marka Chlandy kochający sztukę bezwzględnie muszą obejrzeć.*

Według Adriana Zimnowody: *Istotnym komponentem cyklu są teksty własne artysty, stanowiące swoistą filozoficzną refleksję nad podejmowanymi kwestiami. „Uzdrowisko” to swego rodzaju dokumentacja procesu katharsis oraz krytyczna analiza przebiegu procesu zdrowienia – rodzaj mentalnej autowiwisekcji artysty. Muszę więc na koniec przytoczyć słowa samego Mistra: *Na co mogę liczyć, jeśli podejmuję pracę nad jakimkolwiek tematem/motywyem? To pytanie wyznacza sens całego „Uzdrowiska” – najwyczałniej chcę sprawdzić czy procesualna funkcja obrazowania może mieć również komponenty uzdrawiające. Czy w realizacji obrazów, rysunków, rzeźb istnieje uchwytne kryterium rozpoznawania procedur popsutych i niepopsutych. Dobrych i niedobrych. Jeśli, powiedzmy, dobro jest centryczne a zło ekscentryczne, to jakieś ich „zapowiedzi/symptomy” tkwią w technikach, metodach, sposobach pracy. Muszą tkwić. Jakkolwiek ezoterycznie by to nie brzmiało, sfera procesu to jedyna czasoprzeźren, w której pojawiają się kluczowe wydarzenia i emocje, szanse naprawy. To tutaj mogę wykluczyć nieważność, odróżnić ekonomię mechaniczności od automatyzmów, studiować własności najdrobniejszych gestów, bez „widma” rezultatu krążącego nad moją głową.* Pozostałe przemyslenia Marka Chlandy znajdziecie w towarzyszącym wystawie katalogu będącym nierozłączną częścią prezentacji *Uzdrowiska* w Galerii Extravagance.*

Warto zatrzymać się w biegu, pomyśleć, przerazić, zachwycić, zakochać, uwierzyć w człowieka... Naprawdę warto!

WITOLD KOCIŃSKI



Marek Chlanda  
**Uzdrowisko / Spa Town**

Fragmenty



Zdjęcia: Witold Kociński



Teatr Castello na Zamku w Mosznej; Tomasz Białek i Naira Ayvazyan w „Księżniczka czardasza”



## TEATR MUZYCZNY NA ZAMKU W MOSZNEJ

Malowniczy i tajemniczy Zamek w Mosznej, znany nie tylko na Śląsku Opolskim z kwitnących azalii oraz niezwyklej architektury (99. wież i wieżyczek, wznoszących się ku niebu) stał się siedzibą Teatr Muzycznego Castello, który rozpoczął swoją działalność od premierowego przedstawienia operetki „Księżniczka czardasza” Imre Kálmána, w wersji koncertowej. Podczas kolejnych przedstawień (*Bal u Posejdona*, *Bal Wiedeński*, *Lata dwudzieste, lata trzydzieste*), będą prezentowane słynne melodie operetkowe i musicalowe, a także największe przeboje polskiej muzyki rozrywkowej. Teatr Muzyczny Castello założyli Barbara Pakura-Brzoska (śpiewaczka operowa) i Tomasz Białek (aktor scen muzycznych), a jego gwiazdą jest Naira Ayvazyan (sopran). Zamek w Mosznej, od kilkudziesięciu lat przyciąga zainteresowanie muzyków, poetów i malarzy, tutaj organizowane są plenery malarskie, festiwale muzyczne i koncerty, m.in. Muzyczne Święto Kwitnących Azalii, którego długoletnim organizatorem był Zbigniew Pawlicki.

Po zakończeniu działalności medycznej zabytkowym obiektem obecnie zarządza spółka Moszna Zamek (utworzona przez samorząd województwa opolskiego), która zamierza rozwinąć szeroką działalność usługową (hotelarską, gastronomiczną, biznesową i turystyczną), wzbogaconą o ciekawą ofertę przedsięwzięć kulturalnych. Co roku Zamek i przylegający do niego park odwiedza blisko sto tysięcy gości.

DKS



Teatr Castello na Zamku w Mosznej; scena zbiorowa w koncertowej wersji operetki „Księżniczka czardasza”

## Studia Elsnerowskie

Jeśli bywa wspomniany, to najczęściej jako nauczyciel młodego Fryderyka Chopina, a przecież zasług dla polskiej kultury muzycznej Józef Elsner urodzony w Grodkowie, ma tak wiele, że potomni winni mu są wdzięczność. Na Śląsku Opolskim pamięć o wybitnym kompozytorze, dyrygencie, pedagogu, wydawcy i organizatorze polskiego życia muzycznego wciąż jest pielęgnowana. Jego imię nosi Filharmonia Opolska, która dzięki rozbudowie stała się atrakcją architektoniczną i artystyczną stolicy polskiej piosenki. Filharmonicy w ostatnich sezonach wykonywali i nagrywali dzieła swojego Patrona.

Życie i działalność Józefa Elsnera nadal przyciąga uwagę badaczy, ostatnie owoce ich pracy odnajdujemy w publikacji „Józef Elsner (1769–1854). Życie – działalność – epoka” (Opole, 2013), która ukazała się w serii „Musica Claromontana” pod redakcją prof. Remigiusza Pośpiecha z Uniwersytetu Opolskiego. Powstała ona po zakończeniu kilkunastoletniego projektu naukowego prowadzonego przez Katedrę Muzyki Kościelnej i Wychowania Muzycznego Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego, we współpracy z wieloma instytucjami naukowymi i artystycznymi. Obejmował on międzynarodowe konferencje naukowe oraz koncerty prezentujące utwory Józefa Elsnera. Głównym celem naukowców było opracowanie, utrwalenie i popularyzacja rękopisów i druków Jego kompozycji, zgromadzonych w Archiwum Klasztoru OO. Paulinów na Jasnej Górze.

Wspomniany tom studiów elsnerowskich zadedykowano prof. Marii Zduniak (1934–2011), wybitnej znawczyni twórczości i biografii Józefa Elsnera, związanej z opolskim środowiskiem naukowym i muzycznym. Ponad dwudziestu autorów polskich i zagranicznych (niemieckich, ukraińskich, czeskich) przedstawiło szerokie spektrum tematów, ukazujących wątki biograficzne Elsnera m.in. jego związki z Warszawą, Lwowem, Wiedniem, Jasną Górą, a także zbiory jego druków i rękopisów, zgromadzone w bibliotekach i archiwach, zarówno polskich jak i zagranicznych. Wiele cennych informacji odnajdujemy w tekstach dotyczących polskiej identyfikacji w muzyce Elsnera, współczesnej recepcji jego twórczości, a także przedstawianiu postaci kompozytora w podręcznikach. W artykule „Józef Elsner – Syn Śląska Opolskiego” prof. Maria Zduniak przypomniała jak wielką wagę przykładła do rzetelnej, uczciwej pracy, cytując jego słowa: Tylko praca „ten kamień filozoficzny rozwiązujący zadanie życia człowieka” potrafi zapewnić dobre imię i dobrobyt, a na starość spokojne sumienie jako rezultat dobrze spełnionych obowiązków wobec rodziny, kraju i Stwórcy.

JANUSZ WÓJCIK

# OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

## Dziesięć tysięcy kołédników

Na scenie Miejsko-Gminnego Domu Kultury w Lewinie Brzeskim podczas XXIX Wojewódzkiego Przeglądu Zespołów Kołédniczych „Herody”, organizatorzy odnotowali w kronice imprezy fakt, że Wiesław Rempalski z zespołu „Szydłowiarki” został jego dziesięcioletnim uczestnikiem. W tegorocznej edycji „Herodów” przy komplecie publiczności wystąpiło 15 zespołów kołédniczych. Jury w składzie: prof. dr hab. Teresa Smolińska (kierownik Katedry Folklorystyki i Kulturoznawstwa UO), kustosz Elżbieta Oficjalna (Muzeum Wsi Opolskiej) i dr Dariusz Pucia (Katedra Muzyki Kościelnej i Wychowania Muzycznego UO), postanowiło przyznać pierwszą nagrodę w kategorii dorosłych – Berło Heroda, grupie LR z Lewina Brzeskiego, drugą Zespołowi Teatralnemu „Faska” z Piotrkówki, a trzecią „Dąbrowiankom” z Dąbrowy Namysłowskiej. W kategorii zespołów dziecięcych pierwszą nagrodę otrzymały „Diabelskie Aniołki” z PSP w Mąkoszycach, drugą grupa kołédnicza z Publicznego Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Jankowicach Wielkich, trzecią Teatrzyk Szkolny z Moszczanki. Przyznano również kilkanaście nagród i wyróżnień indywidualnych instruktorom i aktorom, które ufundowali liczni sponsorzy samorządowi i prywatni. Odczytując końcowy protokół „Herodów” jurorzy zwrócili uwagę na fakt, że część prezentacji zaczyna odbiegać od tradycyjnego modelu kołédowania bożonarodzeniowego i nowego, a poszukiwanie nowych form prowadzi czasem do zagubienia pierwotnej koncepcji kołédniczej, typu: jasełka, Trzej Królowie, pastuszkowie. Zmaganie się tra-



Na zdjęciu Tadeusz Tadda, dyrektor MGDK w Lewinie Brzeskim wręcza nagrodę W. Rempalskiemu dziesięcioletniemu kołédnikowi.

Jednym zdaniem

Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu zaprosił publiczność na „Weekend z Krystyną Jandą”. Na scenie opolskiego teatru aktorka wystąpiła w dwóch kulturowych spektaklach „Biała bluzka” oraz „Danuta W”.

Muzeum Śląska Opolskiego zaprosiło na kolejne spotkanie z cyklu „Akademia Wiedzy o Śląsku” pt. „Śląska muzyka ludowa – pieśń kołédowa”. Wydarzenie zostało zorganizowane przy współpracy z Lubiańskim Ośrodkiem Działalności Kulturalnej i zespołem Silesia.

Miejska Biblioteka Publiczna im. Jana Pawła II w Opolu oraz Grupa Rekonstrukcji Historycznej, „Festung Breslau”, przygotowały „Festung Oppeln 1945” – pierwszą wystawę w Opolu ukazującą tematykę walk o miasto od stycznia do marca 1945 roku.

Pamięć ofiar Tragedii Górnośląskiej uczczono podczas nabożeństwa w kościele parafialnym w Lambinowicach, następnie złożono kwiaty

dycji ze współczesnymi wpływami, staje się dla kierowników zespołów kołédniczych sporym wyzwaniem przed jubileuszową 30. edycją przyszłorocznych „Herodów”.

## Wieża Piastowska odnowiona

W ramach realizacji Regionalnego Programu Operacyjnego 2007–2013 przeprowadzono kompleksowy remont Wieży Piastowskiej (zbudowanej ok. 1300 r.), cennego obiektu zabytkowej architektury obronnej, pozostałości po dawnym Zamku Piastowskim w Opolu. Odnowiono elementy konstrukcyjne wieży oraz wyposażono ją w nowoczesne instalacje i system monitoringu, a także punkt obsługi turystów z salą multimedialną. Koszt realizacji wszystkich prac prowadzonych przez Wojewodę Opolskiego wyniósł blisko 3,8 mln złotych. Wieża Piastowska – symbol Opola i Śląska Opolskiego, zostanie udostępniona zwiedzającym na wiosnę tego roku. Przed wejściem na koronę wieży będzie można zobaczyć panoramę Opola z XVIII wieku.

## Filatelistyka z czasów II wojny światowej

W opolskiej siedzibie Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych odbyło się spotkanie z filatelistą Krzysztofem Krupą i zabytkownawcą Aleksandrem Klakiem, autorami najnowszego wydawnictwa muzeum pt. „Geprüft. Ocenzurowano. Filatelistyka z lat 1939–1945 w zbiorach CMJW”. W publikacji ukazano bogaty i różnorodny zbiór filatelistyki z II wojny światowej, znajdujący się w posiadaniu Muzeum (ponad 6 tysięcy obiektów). Książka, stanowiąca przewodnik po wspomnianej kolekcji filatelistycznej, została zadedykowana Helenie Lübke, sekretarce rodziny Paderewskich, wyjątkowej postaci, która stworzyła jednoosobową instytucję pomagającą polskim żołnierzom w niewoli niemieckiej. Wysyłała do nich listy, paczki z pomocą rzeczową i żywnością. Przebywając w Szwajcarii stworzyła sieć łączności i poszukiwań, pomiędzy Londynem, okupowanym krajem, obozami jenieckimi i ośrodkami internowania. Kierownik Działu Naukowo-Badawczego Muzeum – dr Piotr Stanek, zaprezentował zebrany płytę DVD, dołączoną do książki, zawierającą skany kilku tysięcy obiektów wraz z wyszukiwarką, która pozwala na odnalezienie korespondencji dotyczącej poszczególnych osób, obozów, pisanej w wybranym języku, zarówno cenzurowanej jak i pisanej poza cenzurą obozową. Spotkanie zakończyła ożywna dyskusja z udziałem publiczności zainteresowanej nową publikacją.

na Cmentarzu Ofiar Obozu Pracy w Lambinowicach, po czym uczestnicy uroczystości udali się do Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Lambinowicach, gdzie otwarto wystawę stałą *Po wojnie. Oboz Pracy w Lambinowicach (1945–1946)* z udziałem kuratorki, dr Renaty Kobylarz-Buły.

Lubniański Ośrodek Kultury świętował na scenie Filharmonii Opolskiej jubileusz dwudziestolecia regionalnego konkursu literackiego „Ze Śląskiem na ty” i Zespołu Pieśni Ludowej „Silesia”. Wśród gości honorowych byli obecni m.in. prof. Teresa Smolińska (kierownik Katedry Folklorystyki i Kulturoznawstwa UO), prof. Bogusław Wyderka (UO) i literat Jan Goczoł, juror konkursu.

Plakaty z archiwum rodzinnego Janusza Gniatkowskiego – jednego z najpopularniejszych polskich piosenkarzy lat 50. i 60, można było obejrzeć na wystawie w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Opolu.

## Przykrywanie miasta

Od dłuższego czasu mam nieodparte wrażenie, że mieszkam nie w mieście wojewódzkim, europejskim, ale w... kartonie. Powód jest dość oczywisty. Gdzie okiem sięgnąć, wszędzie reklamy – wielkie, coraz większe, gigantyczne. Chyba najlepiej sprzedającą się powierzchnią „pod reklamę” są fronty domów towarowych w katowickim Rynku. Czy ten los spotka nowy Urząd Miasta – idealna płaszczyzna do zawieszenia halogenów podświetlających kolejny pomysł agencji reklamowych. Nie wystarczył „telewizor” na Spodku, płachty reklamowe na wieżowcu dawnego DOKP. Agencje reklamowe nie odpuszczają się też zabytkowym kamienicom mając ich właścicieli zarobkiem.

Można przykryć reklamami Rondo Sztuki, świetnie nada się nowe Muzeum Śląskie – tyle niezagospodarowanej przestrzeni i to podświetlonej, przy znakomitym punkcie widokowym z alei Rożdżeńskie. A nowy NOSP? Gorszy? Cegła jak się patrzy, równiutkie mury, blisko jezdnii, widoczny z wielu stron. Klienci na pewną się znajdują. To oczywiście groteskowa a zarazem dramatyczna wizja miasta.

Alle trudno przechodzić obojętnie obok przykrywania miasta plachtami z wątpliwą jakością obrazkami. Pół biedy jeśli taka reklama chwilowo przesłania jakąś rudę – jaką niewątpliwie są pozostałości po zabudowaniach dawnej huty Baildon na wprost Silesii Center. Alle nieopodal wyrosły przegromne stelaże zasłaniające miasto. U wjazdu w osiedle Tysiąclecia – znów las – wręcz cały mur – reklamy, co tam osiedle, architektura. A gdzie osiedle – o tam, za tym murem z obrazkami.

Reklamy – giganty stały się oczywistością naszej przestrzeni. Niby nam przeszkadzają, ale... przynoszą pieniądze.

Alle nie tylko reklama nie liczy się z przestrzenią miejską. Od jakiegoś czasu przy kościele w historycznym Dębnie, który zawsze wspaniale wyeksponowany, zajmował swoją kameralną przestrzeń i był swoistym drogowym skazem, w szybkim tempie wyrasta kolejny katowicki biurowiec – owszem na terenie prywatnym huty Baildon, a więc „wolność Tomku...”. Szkielet biurowca już przykrył kościół, żadnego oddechu, żadnej przestrzeni, zaledwie kilka metrów od świątyni i zapewne od niej wyższy. Nikt już nie zobaczy z oddali przezroczystego kogutka na wieży kościoła. Znika kolejna piękna przestrzeń.

Aż chce się zadać pytanie: gdzie są miejsca architektki – bo przykrywanie miasta nie jest tylko problemem Katowic. Może trzeba zacząć brać przykład z innych miast europejskich i raczej starać się pokazywać przyjezdnym piękno miasta, a i mieszkańcom nie dawać zapomnieć, że mieszkają w mieście, a nie w oklejanym pudełku. Inaczej miasta staną się nie tyle przestrzenią urbanistyczną i architektoniczną co... powierzchnią reklamową płatną już nie od centymetra ale metra czy kilometra kwadratowego.

WIESŁAWA KONOPELSKA

# KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

## Camerata Salzburg w Gliwickim Teatrze Muzycznym

Camerata Salzburg to jeden z najlepszych tego typu zespołów na świecie, mogący się poszczycić ponad sześćdziesięcioletnią tradycją. Prowadzona najpierw jako Academia des Mozarteums Salzburg przez Bernharda Paumgartnera, a obecnie przez Luisa Langrée, światową sławę zdobyła dzięki niezwykłym interpretacjom muzyki klasycznych wiedeńskich oraz liczny komercyjny nagraniami dla najważniejszych światowych wytwórni: Decca, Warner Classics i Sony Classical. Koncertowała w najbardziej prestiżowych salach koncertowych świata, brała udział w wielu festiwalach, m.in. Carinthian Summer Festival i Haydn Festival w Eisenstadt, a szeroką popularność zdobyła dzięki stałemu cyklowi koncertów na Uniwersytecie Mozarteum w Salzburgu. Koncertowała z nią znakomici soliści, m.in. Anne-Sophie Mutter, Hilary Hahn, Julian Rachlin, Daniel Hope Fazil Say, Stefan Vladar.

Z jednym z dwóch koncertów w Polsce Camerata Salzburg wystąpiła w Gliwickim Teatrze Muzycznym na zaproszenie Fundacji Schola Cordis Szpitala Uniwersyteckiego UJ w Krakowie. Podczas koncertu noworocznego wykonane zostały utwory Wolfganga Amadeusza Mozarta, Johana Straussa oraz Jacquesa Offenbacha. Solistami byli Nikola Hillebrand (sopran) z Opery w Bonn oraz solista Opery Wrocławskiej Łukasz Gaj (tenor).



## „August Hlond – Prymas czasu narodowych wyborów”

W Katowicach na placu przed kościołem Mariackim otwarta została wystawa wieńcząca Rok Kardynała Augustyna Hlonda zatytułowana „August Hlond – Prymas czasu narodowych wyborów”. Organizatorem wydarzenia był oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach i urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego.

Termin otwarcia wystawy zbiegł się z ważnym wydarzeniem – 17 grudnia 1922 r. miał miejsce ingres Administratora Apostolskiego ks. Augusta Hlonda i był ściśle związany z powrotem części Górnej Śląska do Macierzy i dążeniem do usamodzielnienia od biskupstwa wrocławskiego. Miejsce ekspozycji również nie jest przypadkowe,

ponieważ ingres odbył się w Kościele Mariackim w Katowicach.

Na trzydziestu pięciu planszach wystawy zaprezentowano postać Kardynała Augusta Hlonda, Prymasa Polski, jego życie oraz posługę w trudnych czasach budowy Restytuowanej II RP, podczas II wojny światowej i w nowej, komunistycznej rzeczywistości. Tłem dla postaci Kardynała i Jego życia był zarys historii Górnej Śląska w okresie walk o polskość tych ziem, zarys historii Polski i losów Polaków w okresie II wojny światowej oraz w początkowym okresie kształtowania systemu totalitarnego na ziemiach polskich przez komunistów. Kolejne wydarzenia z życia Kardynała ilustrowane były fotografiami i innymi materiałami, m.in.:



fragmentami rękopisów, wycinkami z czasopism, dokumentami, pieczęciami oraz kartami notatnika Kardynała.

Bardzo obszerna ikonografia, obejmująca wiele po raz pierwszy prezentowanych unikalnych fotografii i dokumentów. Wystawie towarzyszył obszerny katalog.

## Wystawa nowo przyjętych do ZPAF

Wystawa prac fotograficznych nowo przyjętych członków ZPAF stanowi ważne wydarzenie nie tylko dla autorów prac, ale przede wszystkim dla całej społeczności członków ZPAF Okręgu Śląskiego. Oto autorzy wystawy:

**Marcin Górski** (rocznik 1972) – Studiował na Wydziale Budownictwa i Architektury Politechniki Śląskiej, dziś adiunkt tej uczelni. Współzałożyciel i prezes Gliwickiego Domu Fotografii, współautor The F Blog i blogu Miejsce Fotografii, członek portugalskiego stowarzyszenia Fotoalternativa i Koletyw KGF, członek redakcji Fototindexu, współpracownik magazynów Dilema i Camera. doc Jego prace były pokazywane na ok. 40 wystawach indywidualnych i zbiorowych we Francji, Portugalii, Szwecji, Polsce, Wielkiej Brytanii, Włoszech i Japonii. Autor i współautor kilku książek fotograficznych w Polsce, Portugalii i Iranie, publikowany w czasopiśmie fotograficznych w Portugalii, Stanach Zjednoczonych i Rosji. Zajmuje się fotografią analogową średnio i wielkoformatową, interesując go zagadnienia na granicy dokumentu i zapisu socjologicznego.

**Marta Dąbrowska** (rocznik 1976) – mieszka w Raciborzu. Absolwentka Wydziału Tkaniny i Ubioru na Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Władysława Strzemińskiego w Łodzi oraz szkoły fotografii Fotoedukacja w Katowicach-Piotrowicach. Fotografuje się od 2010 roku. Laureatka Nagrody im. Anny Chojnackiej „dla młodego twórcy” za najlepszą pod względem artystycznym wystawę indywidualną w Województwie Śląskim w 2011 roku.

**Krzysztof Szlapa** (rocznik 1987) – mieszka w Katowicach, uczestnik Szkoły Widzenia oraz Grupy 999, częsty gość w Zwyerm Skansenie Fotografii, wolontariusz w Galerii Pustej, z wykształcenia filolog. Ważniejsze cykle prac: Przed 2009, Widokówki z miasta we mnie 2008, (Publikacja w książce Ziemia moja, ziemia śląska, Kraków 2011), Dom Kultury 2009, Księga małych fotografii 2011, Satori 2012, W zasięgu wzroku i Pamiętnik WIP.

## Jednym zdaniem

■ W Domu Współpracy Polsko-niemieckiej w Gliwicach dyskutowano o kulturze polskiej i niemieckiej podczas spotkania połączonego z projekcją nagrodzonego European Media Grand Award pełnometrażowego filmu dokumentalnego „Oberschlesien – tu, gdzie się spotkaliśmy” w reżyserii Michała Majerskiego.

■ W cyklu „Szkice do opery” w Akademii Muzycznej w Katowicach z w koncertowej wersji „Strasznego dworu” Stanisława Moniuszki wystąpili Anna Leśniewska (Hanna), Natalia Skrycka (Cześniłkowa/Jadwiga), Maciej Komandera (Stefan), Stanisław Duda (Maciej/Miecznik), Paweł Konik (Skoluba/Zbigniew) oraz Grzegorz Biegas (fortepian, kierownictwo artystyczne).

■ Koncertową wersję „Stworzenia świata” – oratorium Józefa Haydna wykonali w Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach podczas koncertu przygotowanego przez IPIUM „Silesia” Beata Witkowska – Glik (sopran), Michał Gomulka (tenor), Maciej Bartczak (baryton) i Wojciech Stysz (fortepian).

■ W Studio Koncertowym Polskiego Radia Katowice w koncercie „Karnawał z Piązołą” zorganizowanym przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” wystąpiło TangoStan Quintet.

■ Na wystawę „Fotografia dzięki przyrody 2013” zapraszało Muzeum Górnośląskie w Bytomiu.



**Joanna Nowicka** (rocznik 1977) – zawodowo zajmuje się fotografią od 2006 roku, freelancer. Ukończyła socjologię na Uniwersytecie Śląskim oraz studia podyplomowe – projektowanie graficzne na łódzkiej ASP. Zajmuje się fotografią prasową oraz fotografią biznesową, a w wolnym czasie realizuje cykle fotograficzne z obszaru fotografii społecznej, fotografii architektury oraz portretu. Jest stypendystką Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury – projekt o architekturze wojennej na Śląsku (2010). Coraz częściej powraca do fotografii analogowej. Bierze udział, w rozłożonym na lata 2012 – 2014, artystycznym projekcie polsko-niemieckim SilesiaTopia, skupionym wokół zabrzańskich Biskupic. Brała udział w wielu wystawach grupowych (m.in. wystawa okręgowa ZPAF 2013, Śląskie. Zmiana. 2011, Architecture Week Ostrava 2011, Festiwal Sztuki Wysokiej w Bytomiu 2009, Międzynarodowy Festiwal Fotografii w Rybniku 2005-2009, Śląska Fotografia Prasowa 2007-2008, Międzynarodowy Festiwal Fotografii w Łodzi 2004) oraz wystawach indywidualnych. Od kilku lat fotograficznie wspiera Fundację na rzecz dzieci z chorobą nowotworową ISKIERKA – dokumentuje działania fundacji na śląskich oddziałach onkologii dziecięcej oraz projekty fundacji odbywające się poza nimi.

Foto. Joanna Nowicka



Wystawa prezentuje pamiętki rodzinne wyphotografowane od tyszan, wydobyte z prywatnych szuflad, domowych archiwów czy strychów. Uzupełnieniem są pamiętki przekazane przez mieszkańców miasta do zbiorów Muzeum Miejskiego w minionych latach. Na wystawę składają się rozmaite przedmioty, od drobiazgów, czasem zwyczajnych, czasem osobliwych, po prawdziwe unikaty. Wszystkie przedmioty mają jedną wspólną cechę – za każdą rzeczczą, nawet najdrobniejszą, kryje się indywidualna historia, wyjątkowa, będąca częścią składową historii lokalnej społeczności. Ocalając od zapomnienia nasze pamiętki, budujemy naszą tożsamość. Zdobywamy wiedzę o Nas samych, o społeczności w jakiej egzystujemy. Wystawa ukazuje, jak przechowyujemy i pielęgnujemy pamięć rodzinną: rodowitych tyszan oraz osób, które poprzez migracje z różnych stron Polski i Europy osiadły tu w latach budowy miasta.

**Krzysztof Goluch** (rocznik 1966) – mieszka w Knurowie. Absolwent Uniwersytetu Śląskiego – Wydziału Pedagogiki i Psychologii, Akademii Humanistyczno-Technicznej w Bielsku Białym oraz Uniwersytetu Śląskiego Instytutu Twórczej Fotografii w Opawie – Czechi. Zajmuje się fotografią dokumentalną i reportażową. Projekt pt.

Foto. Krzysztof Goluch



„Rugbiści” przedstawia grupę młodych niepełnosprawnych mężczyzn uprawiających dyscyplinę sportu, jaką jest rugby na wózkach.

**Anna66 Andrzejewska** (rocznik 1977) –. Zajmuje się fotografią kreatywną. Interesują ją relacje międzyludzkie. W zbiorze prac znajdują się fotografie kolorowe jak i czarno-biały minimalizm. Ich cechą charakterystyczną jest „piękna brzydota” i balansowanie na granicy kiczu. Jest uczestniczką wielu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Podziwia twórczość Zofii Rydet, Waldemara Jamy, Natalii LL. Doktorantka Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach.

Pod patronatem „Śląska”

Z zakamarków szuflad...

Z zakamarków szuflad, z zakamarków pamięci to tytuł nowej wystawy przygotowanej przez Mu-

zeum Miejskie w Tychach. Ideą przewodnią wystawy jest ukazanie historii lokalnej poprzez historie osobiste mieszkańców miasta, poprzez dzieje konkretnych osób i ślady materialne ich losów. Tytułami są różnorodne przedmioty, dokumenty i fotografie, które dziś mają charakter pamiętek, pieczołowicie przechowywanych przez rodzinę.



Wystawa Z zakamarków szuflad, z zakamarków pamięci; Muzeum Miejskie w Tychach

Wystawie towarzyszą dwa wydawnictwa. Pierwsze z nich to wydana w grudniu 2013 roku publikacja „Dzieciństwo, młodość i wielka budowa. Wspomnienia tyszan”. Książka zawiera wybrane wspomnienia nadesłane na dwa konkursy ogłoszone przez muzeum – „Tychy z lat mojego dzieciństwa i młodości” oraz „Budowa Nowych Tychów w moich wspomnieniach”. Książka powstała pod redakcją Marii Lipok-Bierwiazczonek i Joanny Kucz-Pieczki.

Drugie wydawnictwo to książka „Z zakamarków szuflad, z zakamarków pamięci”. 22 lutego o godz. 15.00 zaplanowano promocję książki, połączonej z oprowadzaniem po wystawie (przewodnikiem będzie Maria Lipok-Bierwiazczonek, autorka wystawy i publikacji).



Legitymacja członkowska Ligi Morskiej i Kolonialnej, 1936 rok; ze zbiorów Muzeum Miejskiego w Tychach.

Na promocję publikacji „Śpiewnik karpacki” pod redakcją Władysława Motyki z udziałem gości specjalnych: ks. pralata Władysława Zązła i Józefa Skrzęka zapraszał prof. Jan Malicki – dyrektor Biblioteki Śląskiej.

Również w Bibliotece Śląskiej odbył się koncert adeptów Studia Wokalistyki Estradowej.

W galerii ArtNova 2 ZPAP w Katowicach gości wystawa malarstwa i obiektów Marii Matyi-Rozpary.

Nominowaną do nagrody Śląski Wawrzyn Literacki książkę Krzysztofa Jaworskiego pt. „Do szpiku kości” prezentowała podczas spotkania Klubu Dobrej Książki w Bibliotece Śląskiej dr hab. Alina Świeściak.

„Ludzie i miejsca” to tytuł wystawy malarstwa Andrzeja Czarnoty – absolwenta katowickiego Wydziału Grafiki ASP w Krakowie, zajmującego się także rzeźbą i scenografią, autora 34 wystaw indywidualnych w kraju i zagranicą, która odbyła się w galerii Foyer Teatru Śląskiego w Katowicach.

Podczas koncertu poświęconego pamięci Karola Strzy Orkiestra Filharmonii Śląskiej pod dyrekcją Mirosława Jacka Błaszczyka oraz soliści Monika Sikorska-Wojtacha (fortepian) i Stefan Schulz (puzon) wykonali utwory kompozytorów związanych z miejscami bliskimi temu wybitnemu dyrygentowi i wieloletniemu dyrektorowi Filharmonii: Ludomira Różyckiego, Zygmunta Stojowskiego, Sorena Hyldgaarda

## BRUTAL – retrospekcja

– Te zdjęcia nie miały być moim protestem przeciwko wyburzeniu dworca, one miały dać poczucie dziwnej atmosfery tego miejsca, która zniknęłaby nawet w momencie pozostawienia budynku, gdyby poddano go remontowi. (...) – tłumaczy Michał Luczak – autor fotografii, które można oglądać w gliwickiej Czytelnicy Sztuki. Fotografie składające się na wystawę „Brutal – retrospekcja” wykonane zostały przez artystę między czerwcem 2010 r. a styczniem 2011 r. – w okresie kiedy trwała jeszcze walka o uratowanie od wyburzenia katowickiego dworca PKP i kiedy jego istnienie dobiegało końca. Jest to nie tylko dokumentacja budynku będącego najwybitniejszym przykładem architektury brutalistycznej w Polsce, ale przede wszystkim sentymentalna fotograficzna opowieść o Miejsku, które dla wielu mieszkańców miasta przez kilka dekad stanowiło swoisty punkt odniesienia. Nazywany Brutalem stał się niezaprzeczalnie ikoną wojewódzkiego miasta. Kilkadziesiąt fotografii i kilka planów architektonicznych, które także zostaną zaprezentowane podczas ekspozycji, to cenne „pozostałości” po organie wywanym gwałtownie z miejskiego ciała.



Michał Luczak, „Brutal-retrospekcja”

Niewątpliwą okazją jest możliwość zobaczenia publikacji „Brutal”, w której pierwotnie Luczak zaprezentował fotografie. Niedostępne już na rynku wydawnictwo otrzymało w 2013 roku nagrodę dla Najlepszej Publikacji Fotograficznej Roku w kategorii Selfpublishing.

Michał Luczak urodził się w 1983 roku na Górnym Śląsku. Ukończył studia w Instytucie Twórczej Fotografii na Uniwersytecie Śląskim w Opawie (Republika Czeska). Równolegle studiował także język hiszpański na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Mieszka w Giszowcu, górniczej dzielnicy Katowic, pracuje głównie w Warszawie. Od wielu lat dokumentuje Śląsk i zmiany, które tu nastąpiły po upadku komunizmu w 1989 roku. W latach 2008–2009 współpracował z Andrzejem Kramarzem przy projektach fundacji IMAGO MUNDI: „Stefania Gurdowa – Klisze przechowywane” oraz „Stefania Gurdowa – Czas niewinności”. W 2009 roku otrzymał włoskie stypendium Alexandra Boulat Scholarship, dzięki któremu uczestniczył w warsztatach fotograficznych z Andersem Petersenem. Jego najnowszy projekt „Młodzi górnicy” zdobył wyróżnienie w prestiżowym konkursie Magnum Expression Award, organizowanym przez agencję fotografów MAGNUM PHOTOS. Od roku 2010 jest członkiem kolektywu SPUNNIK PHOTOS skupiającym fotografów z Europy Środkowo-Wschodniej.

oraz kompozytora szczególnie mu bliskiego – Franza Liszta.

Na wykład z cyklu „Tajemnica i poznanie. Uwagi o kulturze i wyobraźni w Europie nowożytnej i najnowszej” zatytułowany „Walka karnawału z postem”, a ogłoszony przez dra Jacka Kurka zapraszało Muzeum w Chorzowie.

Na wykład o malarstwie Edwarda Okunia (1872-1945) – malarza, rysownika i ilustratora, reprezentującym nurt symbolistyczny w sztuce Młodej Polski zapraszało Muzeum Górnośląskie w Bytomiu.

Na koncert kołęd w Święto Epifanii (Święto Trzech Króli) zapraszała parafia ewangelicko-anglikańska w Katowicach.

## „Muza” po liftingu

Jeszcze nie przebrzmiały echa huczno-go otwarcia sali koncertowej przy Zespole Szkół Muzycznych w Sosnowcu, a już mieszkańcy mają nową niespodziankę. Oto dawno już zapomniane kino „Muza” wraca do łask. Po liftingu, którego koszt oszacowano na blisko 25 mln zł. (w tym 16,9 mln zł z dotacji unijnych) do nowej sali już nie tylko kinowej, ale tym razem widowiskowo-koncertowej zapraszają będzie gigantyczny (na wysokość trzech pięter)... radioodbiornik, zmontowany z elementów aluminiowych, grafitowego i hartowanego szkła a nawet brązowo-czerwonego modrzewia syberyjskiego lub jak zdecydują architekci – cedru kanadyjskiego. Wprawdzie wśród marek radioodbiorników znalazłam stylową Muzę (niczym nie przypomina ona proponowanej elewacji budynku), powiązania jednak radia z mającymi się tu odbywać m. in. konkursami tanecznymi czy koncertami rockowymi, trudno było mi się doszukać. Pytanie – dlaczego nagłośnienie nowej sali koncertowej (przy ZSM) nie sprawdza się w przypadku muzyki innej niż poważna? – pozostaje otwarte.

Fantazji jednak w tym mieście nigdy nie brakowało, więc i tym razem dziwić się nie wypada. Piękne i zabytkowe parki były się kiedyś o to, aby pomnik ikony miasta Jana Kiepury zdobył ich romantyczne alejki, nie wspominając już o reprezentacyjnej Alei Zwycięstwa, gdzie na balkonie jednej z kamienic wielki tenor śpiewem dziękował za zgotowane mu owacje a po usunięciu obelisku ku czci żołnierzy Armii Czerwonej pozostał cokolwiek przydziału. Jan Kiepura nie zagościł jednak w żadnym z tych miejsc. Stoi na miejskiej „paleńni”, czuwając (choć bezgłośnie) nad podróżującymi komunikacją miejską pasażerami, których wzrok z niecierpliwością śledzi nadjeżdżające autobusy i rzadko sięga ku górze, by ujrzyć tam wyciągniętą powitalną dłoń Mistrza. Pozostaje nadzieja, że w tak rozpędzonych inwestycjach kulturalnych znajdzie się także miejsce dla wyciekniętej od niemal stu lat małej sceny dla Teatru Zagłębia. Zespół tryska energią i widać ma niespożyte siły, czego byliśmy świadkami podczas premiery znakomitego spektaklu „, Eugeniuz Bodo – Czy mnie ktoś wola?”. Warto ten zapal wykorzystać. Dobra passa pod dyktando Zbigniewa Leraczyka i Doroty Ignatjew, sukcesy „Korzeńca”, „Bobiczka” liczne nagrody i wyróżnienia, które sławią miasto daleko poza jego granicami aż proszą się o dowód uznania w rodzimym grodzie. Mała scena z prawdziwego zdarzenia zespołowi teatru starszemu o pięć lat od miasta a także wszystkim teatromanom i wielbicieleom „Zagłębia” (a jest ich na szczęście wielu) po prostu się należy. A pierwotne plany, projekt architektoniczny Karola Steczkowskiego zakładał wzniesienie kompleksu, w którym miały się znaleźć: Teatr Zimowy, Hotel Sasaki, Teatr Letni. Minęło 117 lat pójdzmy więc na kompromis: zamiast Hotelu Saskiego i Teatru Letniego – Mała Scena – piękna, profesjonalna godna miasta i zespołu.

MARIA SZTUKA

## ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

### Zmarła Iwona Kolasińska

29 stycznia 2014 roku zmarła Iwona Kolasińska, pisarka i dziennikarka, związana od ponad 40 lat z Sosnowcem. Absolwentka Uniwersytetu Śląskiego, redaktorka naczelna „Górnośląskiego Informatora Kulturalnego” i Gazety Uniwersyteckiej US, znana czytelnikom z publikacji m. in. w tygodniku „Panorama”, „Trybunie Śląskiej”, „Dzienniku Zachodnim”, „Biuletynie Śląskim”, „Euro projektach PL”. Była także współautorką (z Jolantą Pieczką) książek, które ukazały się w serii rozmów ze znanymi osobami. Pierwszą z nich był wywiad z Emilem Właszcem – „Polityka bez narcozy” (2012), kolejną – „Cap nie koza, czyli zrób ze mną, co chcesz” – rozmowa z prof. dr. hab. n.med. Pawłem Lampe (2013), której promocja odbyła się 7 lutego w Bibliotece Ślą-



Fot. Agnieszka Sikora

skiej, niestety już bez udziału zmarłej pisarki. Iwona Kolasińska była nie tylko znakomitą dziennikarką, ale także niezwykle mądrym nauczycielem tego zawodu. Wszyscy, którzy „terminowali” pod jej opieką uczyli się od niej uczciwości, odpowiedzialności za słowo, kultury języka a przede wszystkim konieczności dogłębnego poznania tematu, którym się zajmowali. Nie znosiła fuszerki i niepotwierdzonych informacji. W naszej pamięci pozostanie jako „Mała” (tak ją zwykliśmy nazywać) ale z wielkim charakterem. Iwonko, Twój numer w komórce zostawiam, jakby co, będę dzwonić...

### Sosnowiecka Biblioteka wśród najlepszych

Miejska Biblioteka Publiczna w Sosnowcu otrzymała dofinansowanie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego na zgłoszone przez nią projekty, promujące czytelnictwo oraz szeroko rozumianą kulturę literacką. Wśród 437 złożonych wniosków sosnowieccy bibliotekarze uplasowali się na 4 i 5 pozycji. Uzyskane granty pozwolą na realizację zaplanowanych spotkań autorskich, warsztatów literackich, projekcji filmowych, wykładów, koncertów i wystaw, które wypełnią jubileuszową edy-

Jednym zdaniem

- 13 stycznia w Miejskim Klubie im. Jana Kiepury w Sosnowcu odbył się koncert noworoczny w wykonaniu Śląskiej Orkiestry Kameralnej. Wśród wykonawców znaleźli się: Iwona Socha (sopran) i Adam Zdunowski (tenor). W programie znalazły się najpiękniejsze arie, duety z oper, operetek i musicali.
- W Muzeum Saturn w Czeladzi Ewa Kopyńska, aktorka Teatru Zagłębia w Sosnowcu, wystąpiła z koncertem piosenek z repertuaru Ewy Demarczyk.
- W styczniu w Energetycznym Centrum Kultury w Sosnowcu, można było oglądać wy-

stawę malarstwa Małgorzaty Malkiewicz, należącej do grupy plastycznej „Relacje”, działającej pod kierunkiem Czesława Galuźnego.

### Sosnowiec sprzed 40 lat

W Sosnowieckim Centrum Sztuki – Zamek Sielecki do 23 marca można oglądać wystawę fotografii Stanisława Lisa. Zdjęcia pochodzą z lat 70. i 80. XX w. Autor skierował wówczas swój obiektyw na miejsca mało znane, oddalone od centrum miasta, ale urokliwe i znakomicie oddające atmosferę tamtych lat. Wielu budynków a nawet całych ulic dawno już nie ma. Wystawa stanowi więc sentymentalną podróż po zakamarkach dzielnic, takich jak Konstantynów, Śródląka, Klimontów, gdzie miejsce niewielkich kamieniczek zajęły potężne osiedla mieszkaniowe.

### Archeologiczna autostrada

Do 21 marca w Muzeum w Sosnowcu można oglądać „Archeologiczną autostradę”, czyli niezwykle interesującą wystawę, która obrazuje jedno z największych w historii polskiej archeologii, przedsięwzięcie badawczych a mianowicie wykopaliska, poprzedzające budowę autostrad i realizację innych wielkich inwestycji drogowych. Ekspozycja dotyczy głównie odcinka autostrady A4 Kraków – Tarnów, przebiegającego przez obszary zaliczane do najintensywniej zasiedlanych terenów przedwojennej Europy. Najciekawsze odkrycia są przedstawione w formie reportażu fotograficznego, który zaprasza na swoistą przejażdżkę tropem znalezisk archeologicznych. Finalnym etapem tej podróży są komputerowe rekonstrukcje osób, biżuterii, broni a także grobów i domów z czasów ich użytkowania. Najstarsze zabytki liczą 15 tysięcy lat, najmłodsze pochodzą z XIX wieku.

### Krzemieniec jak żywy

Fotografie, pocztówki, archiwalia, wydawnictwa i obrazy, pochodzące z Kolekcji Krzemienieckiego Muzeum Niepodległości w Warszawie można podziwiać w Muzeum w Sosnowcu do 21 kwietnia. Zgromadzone eksponaty przywołują klimat przedwojennego i powojennego miasteczka leżącego na skraju Wyżyny Podolskiej, w którym po raz ostatni, przed wyjazdem do Rumunii, obradował we wrześniu 1939 r. rząd Rzeczypospolitej. W części „Miasto i ludzie” można prześledzić przenikanie się wpływów polskich, żydowskich i ukraińskich, pozostałe segmenty to: „Pamięć o Słowackim”, „Religie” oraz „Wojna i czasy powojenne”. Wystawa przypomina jeden z ważniejszych niegdyś ośrodków kultury polskiej na Kresach. Liczne fotografie dokumentują życie Polaków, którzy pozostali tam po zakończeniu II wojny światowej.

- 19 stycznia w Dąbrowie Górniczej (Villa Moda) bawił publiczność kabaret DNO.
- W galerii Exlibris w Czeladzi Stowarzyszenie Inicjatyw Kulturalnych i Miejska Biblioteka Publiczna w Czeladzi zorganizowały wystawę fotografii artysty plastyka Jana Powalki, prezentującej miasteczka południowej Italii.
- Również w galerii Exlibris MBP w Czeladzi można oglądać wystawę „Inny wymiar – papier, drewno, materia” Anetty Siwik.

## Oplacalna „Zbrodnia”

Na pomysł „Zbrodni” wpadli dramaturg Michał Buszewicz i reżyserka Ewelina Marciniak. Inspirowany gombrowiczowskim opowiadaniem „Zbrodnia z premedytacją” spektakl „Zbrodni” powstał dwa lata temu. – Pracowaliśmy w pełnej symbiozie – twierdzi Ewelina Marciniak – ale każde słowo tej sztuki należy do Michała. Ja zajmowałam się kształtem teatralnym, on treścią i dialogami. Każde miało swój autonomiczny obszar. Nasze myślenie o całości uzupełniało się jednak bez zarzutu. Gombrowicz nas inspirował, z niego wzięliśmy klimat, zarys konfliktu, chcieliśmy jednak oboje, żeby przedstawienie wyraźnie korespondowało także z niepokojami współczesności.

Artystycznej symbiozie sprzyjała również obsada spektaklu. Twórcy przedstawienia wiedzieli bowiem, kto będzie jego wykonawcą, zanim przystąpili do pisania scen. Pierwszy swój wspólny spektakl „Nowe wyzwolenie” zrealizowali z grupą aktorów Teatru Polskiego. Współpraca z bielszczanami tak im imponowała, że postanowili napisać coś specjalnego dla nich. W rezultacie powstało widowisko bardzo interesujące. Co prawda, nie ma w nim tak charakterystycznej dla W. Gombrowicza natrętnej reżyserii, zmuszającej bohaterów do „upupiania się”, ale oscylowanie między absurdem a realnością przyniosło dobre, surrealne rezultaty. Z wielu scen emanuje aktorska radość gry, co nie zawsze się zdarza w niektórych spektaklach, nawet farsowych czy komediowych... Coś, co można nazwać naturalnym aktorskim szczęściem, przejawia się szczególnie w grze młodych artystów: Jaśminy Polak i kontrabasisty Marcina Nenki – szkoda że w tak nikłym wymiarze czasu.

Po wielu sukcesach w kraju przysłała pora na ekspansję zagraniczną. „Zbrodnię” zauważyli podczas krakowskiego festiwalu „Boskia komedia” organizatorzy SPAF Seoul Performing Arts Festival 2013. Koreańczycy zaprosili naszą trupę jako jedyny teatr z Polski. Ponadto występowały zespoły z Belgii, Chin, Francji, Japonii, Korei i USA. Oprócz twórców spektaklu i ekipy technicznej pod wodzą Andrzeja Żeromskiego do Korei polecili aktorzy – Tomasz Drabek, Jadwiga Grygierczyk, Marta Gzowska-Sawicka, Marcin Nenko, Jaśmina Polak i Rafał Sawicki. Na scenie Daehango Arts Theater Small Hall w Seulu grała czterokrotnie – od 23 do 26 października. „Zbrodnia” spotkała się z przychylnością widzów.

Bielscy twórcy nie tylko bawili koreańską publiczność swym świetnym spektaklem. Wizytowali m.in. polską ambasadę w Seulu oraz punkty graniczne na 38 równoleżniku, który dzieli tzw. Koreę Ludową od Południowej – jedno z najniebezpieczniejszych miejsc na naszej udręczonej konfliktami Ziemi. Na szczęście strzały padały tylko w bielskiej „Zbrodni”.

JAN PICHETA

# BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

## Publiczność lubi Rozenau

Spośród 78 prac 42 artystów, które zaprezentowano w listopadzie i grudniu na pokonkursowej wystawie XLI Biennale Malarstwa „Bielska Jesień 2013” w Galerii Bielskiej BWA, do nagrody widzowie wybrali obraz bielszczanki Małgorzaty Rozenau pt. „It's nothing” z 2013 r. Jak powiada dyrektorka BWA Agata Smalcerz, praca przedstawia fragment zachmurzonego nieba rozświetlonego „nieziemskim” światłem. Skontrastowane z tym osobiwym, metafizycznym pejzażem zdanie na płótnie „It's nothing” skłania do przemyśleń nad ulotnością piękna i przemijaniem. M. Rozenau urodziła się w Sosnowcu w 1971 r., ukończyła katowicki Wydział Grafiki krakowskiej ASP, a obecnie pracuje w macierzystej uczelni.



Małgorzata Rozenau, „It's nothing”, 2013

## Ikary dla kobiet

11 stycznia w Domu Muzyki BCK prezydent Bielska-Białej wręczył Ikary – coroczne nagrody w dziedzinie kultury. Wytypowany przez kapitułę Ikarów do nagrody głównej za rok 2013 reżyser, scenograf, malarz, autor takich filmów jak „Porwanie w Tiuturlistanie” czy „Gwiazda Kopernika” wieloletni dyrektor Studia Filmów Rysunkowych Zdzisław Kudła nie doczekał się Ikara. Prezydent miasta Jacek Krywul przysłał Ikarą za dotychczasową działalność w dziedzinie kultury dyrygentce Bielskiego Chóru Kameralnego Beacie Borowskiej. Jeszcze lepszym przykładem osobliwego gustu prezydenta jest nagroda specjalna dla tekściarza i reżysera akcji charytatywnej „Kopciuszek” Tomasza Szulakowskiego. W tym kontekście zdumiewa brak jakiegokolwiek wyróżnienia dla pisarza Artura Pałygi – uhonorowanego w ub.r. prestiżową Gdynińską Nagrodą Dramaturgiczną za sztukę „W sercu słońca gromadzi się popiół”. Oprócz B. Borowskiej i Z. Kudły nominowani do Ikara za dotychczasową działalność byli: Krzysztof Dadak, Krystyna Fuczik, Józef Holard, Piotr Kenig i Małgorzata Kozłowska. Nagrodę prezydenta Bielska-Białej za osiągnięcia roku 2013 otrzymała piosenkarka jazzowa Beata Przybytek. Nominacje w tej ka-

tegorii uzyskali Małgorzata Rozenau i Juliusz Wątroba.

## Wybitna wystawa Warchoła

Od 8 stycznia do 2 lutego w Galerii Bielskiej BWA prezentowana jest wystawa pn. „Mistrzowie warsztatu. Polski rysunek współczesny”. Jej kuratorem jest znany rysownik Paweł Warchoła. Ekspozycję zorganizowano w 50. rocznicę wystawy „Dokument 3” w Kassel, którą uznaje się za przełomową dla sztuki rysunku, gdyż przyniosła mu autonomię i rangę równorzędną malarstwu i rzeźbie. Wystawa przedstawia dzieła 43 artystów i jest pierwszą od wielu lat w Polsce tak dużą prezentacją sztuki rysunku. Wszystkie prace powstały po 2000 r. Kurator zaprezentował dzieła artystów, laureatów wielu konkursów krajowych i zagranicznych. – Rysunek jest ważny, bo potrzebuje go malarz, rzeźbiarz i projektant; to podstawowa forma zamiaru artystycznego – od jaskini po tatuaż na udach kobiety – powiada uczestnik wystawy prof. Józef Holard. Wystawa może się podobać nawet bardziej niż pokonkursowa ekspozycja ostatniej Bielskiej Jesieni. Zdaniem Pawła Warchoła, rysunek tworzony przez artystów polskich w ciągu ostatnich kilku dekad stał się jedną z ważniejszych wizytówek naszej kultury. Prezentowane prace eksplodują szeroki obszar, zarówno pod względem tematycznym, jak i technologicznym, od realizmu po abstrakcję, od klasycznego rysunku po film animowany i zapisy korzystające z najnowszych zdobyczy techniki. Ekspozycja zawiera m.in. rysunki Jana Dobkowskiego, Józefa Holarda, Anny Kowalczyk-Kłus, Zdzisława Nitki, Mariusza Tarkawiana, Jolanty Wagner, Henryka Wańka, Pawła Warchoła, Tadeusza Gustawa Wiktora i Ewy Zawadzkiej. Wystawie towarzyszył cykl warsztatów rysunku, prowadzonych przez Janusza Karbowniczkę, Natalię Pawłus, Tomasza Tobolewskiego i Pawła Warchoła.



Paweł Warchoła, „Pancernik 99”, 1999, rysunek

## Epoka Szersznika

21 stycznia minęło 200 lat od śmierci ks. Leopolda Jana Szersznika – niezwykłego erudyty, bibliofila, muzealnika, działacza społecznego. Z tej okazji w Książnicy Cieszyńskiej otwarto wystawę pn. „Leopold Szersznik i jego epoka”. Prof. Janusz Spyra wygłosił wykład pt. „Jezuita w dobie oświecenia”. Odbyło się także seminarium naukowe pn. „Historyk na prowincji w czasach nowożytnych”. Ks. Szersznik stworzył podwaliny nie tylko pod Muzeum Śląska Cieszyńskiego i Książnicę Cieszyńską. Niektórzy uważają, że był pierwszym ogrodnikiem, który posadził w Cieszynie magnolie. Dlatego gród nad Olzą jest w kwietniu najładniejszy w Polsce.

## Jednym zdaniem

■ Podczas sylwestrowego wieczoru w Teatrze Polskim zaprezentowano dwa spektakle premierowe – farsę Joego Ortona „Co widział kamerydner” w reż. A. Zaorskiego oraz „Latający Cyrk Monty Pythona” w reż. W. Mazurkiewicza.

■ 9 stycznia spotkaniem pn. „Miles Davis live in Poland” w bielskiej Grępielni reaktywowano klub jazzowy „Piątawka”, który w 1977 r. założył Jerzy Roelawski.

■ 10 stycznia z koncertem noworocznym – wraz z Joanną Jatkovską (sopran) i Ewą Bąk (fortepian) – wystąpił Chór ATH w Bielsku-Białej pod dyktando Jana Borowskiego.

■ 12 stycznia w Krakowskim Salonie Poezji w Galerii Bielskiej BWA z wierszami Jana Pichety wystąpiła Jadwiga Grygierczyk oraz specjalizująca się w piosenkach literackich Aneta Ryncarz.

■ 17 stycznia w Galerii Bielskiej BWA odbyła się projekcja filmów krótkometrażowych w ramach festiwalu Future Shorts Winter Season 2013/2014.

■ Sopran liryczny Swietlana Kalinichenko z Ukrainy oraz baryton Juliusz Loranzi (Wlochy) towarzyszyli bielskiej orkiestrze im. Telemanna 20 stycznia w TP w Bielsku-Białej podczas uroczystej gali kończącej V Strauss Festival.

■ W czechowickim Świcie od 24 do 28 stycznia odbył się Festiwal Dobrych Filmów.

■ 31 stycznia mija termin zapłaty 7 tys. zł za zaległy czynsz Zarządowi Gospodarki Mieszkaniowej w Bielsku-Białej przez Tadeusza Modrzejewskiego – kustosa prywatnego muzeum im. W. St. Reymonta (jeśli pasjonat nie zapłaci, muzeum przestanie istnieć).

■ XLV Przegląd Zespołów Koledniczych i Obrzędowych „Żywieckie Gody” odbył się w Żywcu i okolicach od 18 stycznia do 2 lutego.

■ Do 14 lutego w cieszyńskim Muzeum Drukarstwa potrwa wystawa eklibrisów belgijskiego prof. Martina Baeyensa i cieszyńskiego dra Krzysztofa Marka Bąka.

## Utrwalacze świątecznej atmosfery

Boże Narodzenie minęło wraz z zapachem wigilijnych potraw, życzeniami od mniej czy bardziej nieznanymi, gotowością dostrzeżenia bliźniego, aż do nakarmienia nieoczekiwanego gościa włącznie, i przekonaniem, że nawet zwierzęta przemówią ludzkim głosem, choćby nie miałyby niczego dobrego do powiedzenia. Mimo że okres radości wciąż trwa, jednak wraz ze zbliżaniem się Środy Popielcowej, witająca narodzenie Chrystusa gloria coraz wyraźniej przekształca się w ekstazyzną zabawę karnawalową. Warto więc zatrzeć świąteczną atmosferę tak długo, jak to tylko możliwe, pamiętając o wszystkim, co napisałam powyżej.

Na pewno pomóc w tym mogą imprezy miejskie. W przygotowaniach przedświątecznych użyteczna okazała się zorganizowana już po raz siódmy przez Częstochowską Organizację Turystyczną „Gwiazdkowa Aleja”; można było kupić prezenty, ozdoby oraz smakołyki na stół świąteczny. Aby nie sprowadzić atmosfery świąt do szaleństwa konsumpcji, zadbane też o wymiar estetyczny – rozstrzygnięto konkurs na najpiękniejszą witrynę (Topollino, kwaciarnia Prowinjonalna, Magiczny Dom, Caffè del Corso oraz pracownia florystyczna Artflora), a na deptaku zaprezentowało się wielu młodych artystów.

W styczniu w poszukiwaniu świątecznej atmosfery warto było zajrzeć na Jasną Górę. Tu dwa obowiązkowe przystanki – żywa szopka oraz Wieczernik z 40 drzewkami przystrojonymi przez przedszkolaków i dzieci. W konkursie trwającym do Trzech Króli zagłosowało 53 tysiące oglądających. Kolejną stacją pozamiejską powinien stać się Olsztyn z ruchomą szopką Jana Wewióra, znajdującą się obecnie tuż przy rynku.

Innym sposobem zachowania świątecznej dobroci jest koledowanie. Już po święcie Trzech Króli odbyło się wiele koncertów zawodowców i amatorów. Do wspólnego śpiewania tradycyjnie zaprosił Aleksander Markowski wraz z ks. Gabrielem Maciejewskim, Zespół „Częstochowa” koncertował w Kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, tematyczne jam session w Dobrym Roku przygotowali Michał Walczak, Michał Rorat, Hania i Zosia Stefaniak, a chórzysty Cantare śpiewał w czasie wernisżu grupy Werniks.

Ale chyba największym wydarzeniem było koledowanie rodziny Pospieszalskich w Filharmonii Częstochowskiej. Na co dzień muzyki występują w różnych projektach, m.in. Voo Voo, Kapelance, Dağadanie. Podobny koncert odbył się dwadzieścia lat temu tuż po nagraniu rodzinnej płyty z koledkami, wówczas Pospieszalscy wystąpili ze Steczkowskimi. Tym razem czternastoosobowy zespół łączący pokolenia zagrał na skrzypcach, fletach, kontrabasach, gitarach, trąbkach, klawiszach, cymbalach, saksofonach, słychać było także klarnet, akordeon, perkusję, bębenek czy tubę, a śpiewał tak, że częstochowianie zapamiętają na długo.

Podczas poszukiwań sposobu utrwalenia świątecznego nastroju warto było zajrzeć też do Pawilonu Wystawowego w parku Staszica na ekspozycje „Każydy święty ma swoje wykrety. Wizerunki świętych ze zbiorów Muzeum Częstochowskiego”, na której można było zobaczyć 74 wizerunki świętych wykonanych w różnych technikach i materiale (grafika, malarstwo, rzeźba, płaskorzeźba, drzeworyty). Najstarsze pochodziły z I połowy XIX wieku.

JOANNA KOTKOWSKA

## CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

### Polityka i muzyka

8 stycznia w Bibliotece Miejskiej odbyło się spotkanie z Muńkiem Staszczkiem zatytułowane *Historia i muzyka*, które poprowadził Sławomir Maślukowski, pracownik IPN, a prywatnie brat Maćka „Macia” Maślukowskiego, lidera zespołu Shambo, z którym Staszczek nagrał w zeszłym roku płytę *Tato*. Przyjazd muzyka związany był z przygotowaniem klipu *Po prostu mnie kochaj*. W spotkaniu wzięli udział fani wokalisty reprezentujący różne pokolenia.

Staszczek wspominał swój pierwszy pobyt na komisariacie w 1979 roku, gdy za rozlepienie ulotek przesłuchiwało go SB. Opowiadał, że do powstania T. Love pośrednio przyczynił się Wojciech Jaruzelski i ogłoszony przez niego stan wojenny. Wprawdzie ich teksty nie były bezpośrednio zaangażowane politycznie, ale opowiadały o ówczesnej rzeczywistości. Potem były pierwsze zagraniczne koncerty w Budapeszcie (1987) i wyjazd do Londynu (1989).

Związki polityki i muzyki nie muszą ograniczać się do jawnych deklaracji artystów, ale nie można zapomnieć, że polityka jest jednym z komponentów świata.

### Języki grafiki

W Sali Gobelinowej MGS do 5 stycznia można było oglądać *Przestrzenie grafiki*, wystawę przygotowaną przez Katedrę Grafiki AJD, kierowaną przez prof. Tomasza Chudzikę. Poprowadził ją forum dyskusyjne *Współczesne przestrzenie grafiki*, w którym wzięli udział przedstawiciele Wydziału Grafiki ASP w Katowicach, Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, Wydziału Grafiki ASP w Krakowie, Instytutu Sztuki UŚ w Cieszynie, Wydziału Sztuki Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego w Radomiu, Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu oraz Wyższej Szkoły Technicznej w Katowicach.

Wystawę prac 16 autorów zaaranżował Krzysztof Kula z Cieszyna. Na środku sali umieszczono instalację, która mogła kojarzyć się z sytuacją artysty grafika w świecie. Jednym z głównych pytań towarzyszących organizatorom była kondycja tej odmiany sztuki, w czasach rozwoju mediów elektronicznych. Dlatego oprócz tradycyjnych form na wystawie pojawiły się również instalacje graficzne slide-show w 3D. Tytułowe przestrzenie grafiki wyznaczały więc sposób upowszechnienia, określały przestrzeń odbioru, ale również zakres tematyczny. Na wystawie znalazły się: łodzie podwodne (Witold Zaręba), rysunki świata organicznego, które mogły pełnić rolę dydaktyczne (Zdzisław Wiatr), ale również prace ujawniające tajemnicę i niezwykłość świata dzięki np. hiperbolizacji poszczególnych elementów (Tomasz Chudzik).

### Jednym zdaniem

■ Zagrali: Teatr from Poland – Tune, Mokska; Muzyczna Meta – Makabunda; restauracja Klimaty – Śląska Grupa Bluesowa.

■ W MGS-ie wystawa Zbyluta Grzywacza *Cieleśność*, a w Antresoli malarstwo Zyty Paszkowskiej *Habeas corpus – Żebyś miała ciało*.

■ W Koncercie Noworocznym Magdalena Idzik (mezzosopran) i Adam Szerszeń (baryton) zaśpiewali arie i duety z operetek i musicali.

■ Sylwester można było spędzić na placu Biegańskiego z Anią Wyszczoni, na *Ostrej jeździe* w teatrze, albo na koncercie sylwestrowym w filharmonii

Niektóre prace chciały zdiagnozować współczesność. System Grzegorza Banaszkiwicz był opowieścią o jednym ze słów-wytrychów, uzupełnioną aleatorycznym pokazem zdjęć wlotów do studzienek kanalizacyjnych, niepokojących otworów..., by zwrócić uwagę na istnienie innej przestrzeni w otoczeniu znanym.

### „Na ratunek” dzieciom oraz seniorom

W tym roku pogoda pozostawiła niedosyt, ale mieszkańcy chętnie uczestniczyli w przygotowaniach na ten dzień atrakcyjnych. Zbiórkę prowadziło w Częstochowie 500 wolontariuszy. Wszystko po to, by wesprzeć tegoroczny cel „Na ratunek” dzieciom oraz seniorom.

Główną bazą miejskich działań pozostawał plac Biegańskiego, nie do przecenienia w czasie takich imprez. Już po raz drugi odbył się bieg „Policz się z cukrzycą”, poza tym można było kupić monetę okolicznościową, zjeść doskonałą grochówkę, wziąć udział w loterii fantowej, wycycytać papierowego żurawia z autogramem znanej osoby. Od 15.00 plac przemienił się w scenę muzyczną, z której na przemian brzmiał rock oraz hip hop. Zaczęło się koncertem Lipali (Tomasza „Lipy” Lipnickiego, autora hymnu zeszłorocznej orkiestry *Najgroźniejsze zwierzę świata*, z płyty 3850 (2012)), potem wystąpili muzycy miejscowi: BP (Bigger i Puchaty), freSZEjk oraz Sierociniec, a po światelku do nieba, główna gwiazda wieczoru, czyli Bracia.

Poza placem w ramach WOSP można było nurkować na basenie przy ulicy Niepodległości, a do orkiestry przyłączyła się również przychodnia weterynaryjna, czyli każdy pomagał, jak tylko mógł.

### Wspominamy Marlonę

10 stycznia w Teatrze from Poland odbył się koncert improwizacji *Spotkajmy się – przyjacielle dla Marlona*, poświęcony zmarłemu w czerwcu 2013 roku Marcinowi Marlonowi Króliszewskiemu. Swoje zainteresowania artystyczne wyniósł on z domu rodzinnego, a różnorodne projekty, w których uczestniczył, świadczą o jego nieustannym poszukiwaniu. Można by nawet próbować opisać go modernistyczną frazą – był tym, który „szukał szukaniem”.

Ukończył częstochowskie liceum plastyczne (przygotowywał wystawy wraz z żoną Małgorzatą Mizerą-Króliszewską), był aktywnym muzykiem, gitarzystą – członkiem zespołu Rażeni Piorunem (2001, reaktywacja luty 2012), a potem Roboty Drogowe. Zaangażował się również w prowadzenie jam session *Totalna improwizacja* w Carpe Diem. Poza tym przygotowywał filmy nie tylko na konkurs *Częstochowa w kadrze*, jego *Księża pszczyńskiego* pokazano w Gdańsku podczas festiwalu *Godność i praca*.

Wielości zainteresowań i tworzy próbował oddać organizatorzy spotkania – były obrazy, projekcje filmów, a przede wszystkim muzyka, zarówno Marloną, jak i improwizacje jego przyjaciół. Lista wykonawców objęła niemal całą muzyczną Częstochowę, wystąpił m.in. Janusz Yanina Iwański, Krzysztof Niedźwiecki, Darek Bafeltowski, Marcin Król, Przemysław Pacan czy Michał Walczak. Nie mogło również zabraknąć muzyków, z którymi grał: Wojciech Król czy Paweł Gajda (Rażeni Piorunem).

## Jablonkowanie promują nas w Europie

Na tegoroczne 67. Gorolski Świątko, które odbędzie się w dniach 1–3 sierpnia w Jablonkowie, przyjadą przedstawiciele środowisk polskich z całej Europy. Stanie się tak w ramach międzynarodowego projektu „Mnożenie przez dzielenie – Edukacja dla integracji”, w którym biorą udział organizacje polskie i polonijne z dziewięciu krajów Europy. Jest wśród nich właśnie także jablonkowski Miejskocowe Koło Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego.

Projekt EDI, jest współfinansowany z pieniędzy Unii Europejskiej w ramach programu „Uczenie się przez całe życie” i akcji „Projekty partnerskie Grundtviga”. Jest realizowany przez organizacje partnerskie – polonijne: z Holandii, Niemiec, Szwecji, Grecji, Francji i mniejszości polskich: z Łotwy, Litwy i z Republiki Czeskiej, konkretnie Koło PZKO z Jablonkowa. Polskę reprezentuje Stowarzyszenie „Integracja” działające w Suwałkach. Każda z wymienionych organizacji ma swojego koordynatora lokalnego, odpowiedzialnego za realizację projektu nad Olzą, jest to Leszek Richter.

Richter wyjaśnia, że projekt ma na celu zwiększenie skuteczności edukacji nieformalnej osób dorosłych w zakresie integracji europejskiej realizowanej na szczeblu lokalnym: przez zwykłych obywateli w sytuacjach codziennych, w miejscach pracy i aktywności pozazawodowej. Chodzi o eliminowanie negatywnych postaw i zachowań wobec różnego rodzaju mniejszości i grup tzw. „defaworyzowanych”, przelamywanie stereotypów i uprzedzeń oraz promowanie zachowań opartych na wzajemnym rozumieniu, akceptowaniu i poszanowaniu różnic oraz uznaniu prawa do własnej tożsamości prowadzących do współistnienia opartego na wzajemnym szacunku.

Projekt ruszył w sierpniu ubiegłego roku i będzie realizowany do sierpnia 2015 roku. Partnerzy będą się przez te dwa lata dzielić doświadczeniami i współpracować przy kreowaniu nowych rozwiązań. Temu mają służyć organizowane wspólnie seminaria, warsztaty, dyskusje, udział w wydarzeniach edukacyjnych oraz imprezach kulturalnych i integracyjnych, a także współpraca z lokalnymi władzami i mediami. No i wzajemne odwiedzanie się partnerów, a takie wspólne spotkania zwane „mobilnościami”.

Stronę jablonkowską projektu można znaleźć pod adresem: [http://gorolskiswiatko.cz/edukacja/Zaolziańska\\_„mobilność”](http://gorolskiswiatko.cz/edukacja/Zaolziańska_„mobilność”) zorganizowana będzie właśnie podczas tegorocznego „Gorola”. – Nasi partnerzy przyjadą do nas już kilka dni wcześniej, pod koniec lipca, i będą mogli na żywo poznać naszą kulturę, spotkać się z przedstawicielami polskiej mniejszości, samorządów lokalnych. Na pewno spotkają się też z paniami z Klubu Kobiet, bo, na przykład, w Niemczech partnerem projektu jest Stowarzyszenie „Polki w gospodarce i kulturze”. Podczas „mobilności” w Kolonii Polki z Niemiec żywo się interesowały działalnością naszych pań – mówi Richter.

JACEK SIKORA

# ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

## Scena Polska w rozjazdach

Ogromnym powodzeniem cieszy się wśród miłośników teatru nowa pozycja w repertuarze Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego, „Amadeusz” Petera Shaffera. – To przedstawienie bardzo się widzom podoba, dostajemy mnóstwo listów, maili z podziękowaniami, widzowie dziękują nam także telefonicznie i życzą kolejnych sukcesów – mówi kierownik literacki zespołu, Joanna Wania.

Od razu dodaje, że Scena jednak nie zapomina również o starszych sztukach ze swojej oferty programowej. Z tymi spektaklami wyjeżdża w różne regiony Polski. W styczniu aktorzy wystawili na przykład „Makbeta” Williama Szekspira (w reżyserii kierownika artystycznego zespołu, Bogdana Kokotki) w Warszawie, Radomiu i Wrocławiu. Także większość lutego aktorzy znad Olzy spędzili w autokarach i hotelach w Polsce. Polskim widzom Scena Polska zaproponowała tym razem „Lalkę” Bolesława Prusa (Lublin, Radom, Warszawa, Częstochowa, Rybnik), „Przygody Tomka Sawyera” Marka Twaina (Zawiercie, Łódź, Lublin, Stalowa Wola) oraz „Zbrodnię i karę” Fiodora Dostojewskiego (Łódź, Rybnik, Chrzanów i Bytom).

– Będziemy obecni także nad Olzą, oprócz „Amadeusza” 16 lutego wspólnie ze Sceną Lalek „Bajka” zagramy w naszym teatrze ponownie „Małą syrenkę” Hansa Christiana Andersena. Szykujemy się już jednak również do kolejnej premiery. Rozpoczął się już próby do sztuki „Enron” brytyjskiej autorki Lucy Prebble, której wystawienie nad Olzą będzie polską prapremierą. Nowością jest też temat, dotąd jeszcze nieporuszony na Scenie Polskiej i innych polskich teatrach. Chodzi o pokazanie korupcji w dużych korporacjach, nieuczciwość, oszustwa finansowe. To sztuka mówiąca o nas z początku XXI wieku. Na pewno warto tę sztukę obejrzeć. Premiera odbędzie się 29 marca – dodaje Joanna Wania.

## Pamięć o polskich żołnierzach

Setną rocznicę wybuchu I wojny światowej w 1914 roku oraz 95. czechosłowacko-polskiego konfliktu granicznego w 1919 roku wspominali w niedzielę 26 stycznia licznie zebrani uczestnicy uroczystości wspomnieniowej w Stonawie. Najpierw podczas nabożeństwa w miejscowym kościele parafialnym pw. św. Marii Magdaleny, następnie przy pomniku 66 stonawskich ofiar pierwszego w XX wieku konfliktu światowego oraz na mogile 20 polskich żołnierzy zamordowanych w wojnie 7-dniowej. Kontynuacją była popołudniowa biesiada historyków w Domu PZKO.

Do Stonawy zjechało wielu znaczących gości na czele z ministrem rządu polskiego, Janem Stanisławem Ciecchanowskim, kierownikiem Urzędu ds. Komendantów i Osób Represjonowanych, oraz konsulem generalną RP w Ostrawie, Anną Olszewską. Z wiązkami kwiatów dla poległych przybyli kombatanci, przedstawiciele organizacji polskich w RC oraz zaprzyjaźnionych z nimi środowisk historyczno-wojskowych w Polsce. Gospodarzem spotkania było Miejskocowe Koło PZKO w Stonawie, które otacza opieką mogiłę polskich żołnierzy.

## Sięgnij po „Gazetę Avion”

W bogatej ofercie prasy Czytelnik i Kawiarni Avion/Noiva pojawił się kolejny tytuł. Jest wyjątkowy, do dyspozycji tylko w Avionie i nosi nazwę „Gazeta Avion”.

„Gazeta Avion” ukazała się w dwóch wersjach językowych – po polsku i czesku, a jej wydawcą jest Biblioteka Miejska w Czeskim Cieszynie. Z lektury 12-stronicowego pisma dowiemy się m.in., jak Avion wyglądał przed wojną i dlaczego zniknął po siedmiu latach. Historyk Janusz Spyra opisuje historię legendarnej kawiarni, natomiast poetka Renata Putzłacher przypomina losy Rosalii Wiesner, jej przedwojennej właścicielki. W gazecie znajdziemy ponadto wspomnienia osób pamiętających dawny Avion. Przeczytamy ponadto w jaki sposób zrodziła się myśl odbudowy kawiarni i co dzieje się w niej współcześnie.

Gazetę można nabyć w Avionie za jedyne 29 koron.

## Jednym zdaniem

■ W sobotę 4 stycznia miłośnicy folkloru z obu stron Olzy spotkali się w Mostach koło Jablonkowa na tradycyjnym XXXVI Balu Gorolskim. W tamtejszym Domu PZKO bawili się m. in. konsul generalna RP w Ostrawie Anna Olszewska, minister przemysłu i handlu w rządzie Jiřego Rusnoka Jerzy Cieciála oraz prezes Zarządu Głównego PZKO Jan Rylko.

■ Przebój „Znak” Ewy Farnej został polską piosenką roku w konkursie T-Mobile. W pokonanym polu pozostawił 19 innych utworów.

■ W zaolziańskim „Głosie Ludu” w cyklu „Spacer z...” po Opawie, byłej stolicy tzw. Śląska Austriackiego, oprowadzał dziennikarzy znad Olzy Libor Martinek, czeski poeta, znawca i tłumacz literatury polskiej, związany z uniwersytetami w Opawie i Wrocławiu.

■ Prawie 270 młodych śpiewaków wzięło udział w X Przeglądzie Szkolnej Działalności Śpiewaczej. Impreza zorganizowana przez Polskie Towarzystwo Artystyczne „Ars Musica” oraz Centrum Pedagogiczne dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego odbyła się 21 stycznia w Miejskim Ośrodku Kultury „Strzelnica” w Czeskim Cieszynie.

■ Tegoroczna, cztertnasta z kolei ogólnokrajowa Kwęsta Trzech Króli zakończyła się kolejnym rekordowym wynikiem. Mieszkańcy Republiki Czeskiej do skarbonek wrzucili ponad 81 mln koron – o 4 mln koron więcej niż rok temu. W diecezji ostrawsko-opawskiej zebrano w tym roku ponad 13 mln koron.

■ W przyszłym roku turystyczną atrakcją Herclawy powinna stać się replika Szańców, czyli historycznej fortyfikacji, która została wzniesiona na terenie tej jednej z najbarziej w wschodnich połonych wsi Republiki Czeskiej w XVII wieku. Na odbudowę Szańców gmina otrzyma dotację z Unii Europejskiej w wysokości ponad 4 mln koron.

■ W lutym do polskich szkół w całym regionie trafiło nowe wydanie „Pamiętnika starego nauczyciela” Jana Kubisza. Dzięki wsparciu finansowemu Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Zarząd Główny Macierzy Szkolnej w RC postarał się o wzniesienie książki, która zawiera wiele cennych informacji o życiu i szkolnictwie na Śląsku Cieszyńskim przed stu laty.

■ W Sali Rycerskiej na zamku we Frydku-Mistku odbyła się 30 stycznia promocja nowej książki „Plicni sanatorium w Jablonkowie”. Publikację przygotowała do druku czwórka autorów: Radim Konečný, Marie Butula-Cichá, Magdaléna Roháčová i Libor Müller; a została wydana z okazji obchodzonego w tym roku jubileusza 90-lecia otwarcia jablonkowskiego sanatorium przeciwgruźliczego.

■ Ostrawscy twórcy przymierzają się do filmu o „Ostravaku Ostravskim”, głównym blogerze usługującym się w swoich internetowych zapisach, komentującym życie nie tylko w stolicy województwa morawsko-śląskiego, stylizowanym ostrawskim dialektem. Zdjęcia powinny ruszyć w Ostrawie latem bieżącego roku.



Piotr Kossakowski, plakat

## XXIII Biennale Plakatu Refleksja

Oglądałam ostatnio film „Debiutanci” Mike Mills’a. Ważnym elementem scenografii, dopełniającej niebanalną historię o przemijaniu, chęci życia i potrzebie miłości, są znajdujące się w filmowanych wnętrzach polskie plakaty. W salonie, w którym rozgrywa się wiele istotnych dla filmu scen, znajduje się plakat Andrzeja Krajewskiego do filmu „Siedem razy kobieta” a w sypialni głównego bohatera umieszczono „Wielką majówkę” Marii Ilnatowicz. Reżyser jest z wykształcenia plastykiem, w swoim dziele umieścił wątki autobiograficzne. Między innymi zaakcentował, jak ważna jest dla niego „szkoła polskiego plakatu” – od lat 40. rozpoznawana i ceniona na całym świecie. To tylko jeden z wielu przykładów, kiedy możemy bezpośrednio odczuć satysfakcję z wagi sztuki powstającej w naszym kraju. Imprezą, która pomogła w promocji i określeniu tego wyjątkowego zjawiska, jest funkcjonujące nieprzerwanie od 1965 roku Biennale Plakatu Polskiego, 2 lutego w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach zakończyła się wystawa towarzysząca jego 23 edycji.

Katowickie Biennale pełni dla polskiego plakatu wciąż ważną rolę. Pielęgnuje tradycję, zespala środowisko, promuje kolejne pokolenia twórców. Plakat nie jest już tak wszechobecny jak kiedyś, zmieniają się jego funkcje, mimo to wciąż młodzi artyści wybierają ten sposób plastycznej wypowiedzi. Osoba, dzięki której Biennale prężnie funkcjonuje od prawie półwiecza, jest jego przewodniczący – prof. Tadeusz Grabowski. To dzięki jego determinacji i wytrwałości impreza ta organizowana jest z takim rozmachem i cieszy się dużym zainteresowaniem zarówno twórców jak i miłośników dobrego plakatu.

Na każdym Biennale Polskiego Plakatu pojawia się wielu młodych twórców, ale też tych, którzy od kilkudziesięciu lat wysyłają na nie swoje plakaty. Rok 2013 odebrał nam dwóch wieloletnich towarzyszy katowickiej imprezy – prof. Tomasz Jurę oraz ikonę polskiego plakatu – Waldemara Świerzego, którego uhonorowano pośmiertnie złotym medalem.

Tegoroczne Biennale postawiło przed organizatorami kilka pytań. O najważniejszych z nich pisze w tekście do katalogu Krzysztof Dydo, dyrektor Galerii Plakatu w Krakowie. Zauważa: „Zmieniają się uczestnicy – to naturalna zmiana pokoleniowa, zmieniają się też uwarunkowania, technologia, moda, zachowanie itd.. Nasuwa się pytanie, czy formuła, jaką do tej pory posługiwało się Biennale, nie powinna również ulegać transformacji. (...) Być może pomogłoby to w powiększeniu oferty tematycznej konkursu i zachęciło do wzięcia w nim udziału tych, którzy teraz nie widzą dla siebie w nim miejsca. A są, bo widzę wiele ciekawych plakatów na ulicach polskich miast (...), a nie trafiają niestety na Biennale. (...) jestem przekonany, że należy w przyszłości powrócić do ich tematycznego podziału. Niemal reaktywować podział na czystą reklamę, plakat kulturalny, społeczno-ideowy, polityczny (...) i plakat autorski.”. Być może taka zmiana pozwoliłaby określić nowe funkcje plakatu, dopuściłaby dziedzińny wcześniej pomijane, a równocześnie pomogła w sprawiedliwym nagradzaniu wszystkich twórców – trudno skupiać się tylko na formie, porównując np. plakat autorski, reklamowy i plakat zaangażowany w ważne kwestie społeczne. Pytania te zostały zadane. Odpowiedź na nie przyniosą kolejne edycje Biennale.

Grudniowy wernisaż prac Anity Tomali w Galerii Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum” był dla mnie – muszę przyznać – zaskoczeniem. Wprawdzie za każdym razem wystawy tam organizowane mają w sobie jakiś element niespodzianki, ale... Tu trzeba dopowiedzieć, że kierownik Galerii Zbyszek Mędrała nie ogranicza się do prezentowania twórców jednej grupy, przedstawicieli jednego nurtu sztuki, jakiegoś „izmu” albo gatunku, czy rodzaju prac w określonej technice lub konwencji, więc zawsze proponuje coś innego. Wystarczy wspomnieć, że w tym miejscu świetne „klasyczne” grafiki pokazała Joanna Piech, ciekawe komputerowe prace inspirowane refleksją dotyczącą dekonstrukcji zaprezentowała Natalia Romaniuk, realistyczne portrety kobiece „we wnętrzu” (zawsze z jakimś „cytatem” plastycznym – obraz, rzeźba itd.) wystawiła Sylwia Woźniczka, zaś swoistym kontrapunktem do jej twórczości by-

## Bajkowo

ła ekspozycja malarskich „protest-songów” Michała Minora. W Galerii można było też obejrzyć nawiązujące do tradycji „polskiej szkoły” nowoczesne plakaty Tomasza Kipki i Stefana Lechwara, ale też świetne prace Kaji Renkas udające plakaty retro. Były też rysunki, fotografie, nawet instalacje, słowem – różnorodność.

Dlaczego zatem zaskoczyła mnie wystawa prac Anity Tomali zatytułowana *Ilustracje?* Po pierwsze – bo to były rzeczywiście ilustracje. Rzadko mam do czynienia z książkami dla dzieci, unikam w księgarniach działów, w których są prezentowane, ponieważ już lata temu zraziła mnie dominująca w tych publikacjach pseudo-disneyowska poetyka, amerykański seryjny kicz. Przez to nie wiedziałem, że jeszcze w ogóle egzystuje coś takiego jak artystyczna szata graficzna wydawnictw dla najmłodszych czytelników. Po drugie – zdziwiło mnie, że tego rodzaju twórczością zajęła się osoba tak młoda, świeżo po studiach w katowickiej ASP, bo przedstawiciele tej generacji raczej się buntują przeciw sztuce zastanej, prowokują, epatują tzw. nowatorstwem albo sięgają po nowe środki, np. multimedia. Tymczasem Anita Tomala zajmuje się tworzeniem sztuki dla dzieci – malowaniem świata trochę magicznego, trochę z dziecięcego punktu widzenia, czyli wzbogacającego rzeczywistość fantazją. Sądzę, że artystka nieprzypadkowo postanowiła jako swoją pracę dyplomową przygotować książkę z ilustracjami do wierszy Danuty Wawiłow, gdyż ta autorka budowała swoje utwory właśnie na docieraniu do wyobraźni najmłodszych czytelników poprzez sięganie do trochę abstrakcyjnego humoru, momentami nawet do surrealizmu. Ilustracje bardzo dobrze wpasowały się w te teksty. Fragmenty książki można było oglądać w Galerii „Ateneum” i przekonać się, że dyplom z wyróżnieniem uzyskała Tomala absolutnie zasłużenie. To zresztą nie jedyny jej sukces. Swoje prace pokazywała na wystawach w kraju, ale też w Nowym Yorku.

Ekspozycję w Galerii obejrzałem z przyjemnością, zastanawiałem się nawet, czy ja – wychowany na książkach ilustrowanych przez Jana Marcina Szancera, Bohdana Butenkę i innych wielkich ilustratorów – nie ulegam jakimś sentymentom z dzieciństwa, na wszelki więc wypadek ściągnąłem na miejsce synka mojej bratanicy, ośmioletniego Krzysia, żeby na nim przetestować prace. Bardzo mu się podobały, z radością nazywał malowane zwierzaki, nawet wierszyki czytał. Mnie jednak najbardziej zaintrygowały podobizny jakichś niesamowitych dzieciaków z oczami w dziwnych barwach, dzieciaków może z kosmosu, może z horroru, może z koszmarnego snu. Przeróżające, śmieszne, piękne, co widzieć obok.



ANITA TOMALA

# Bajkowo

Galeria  
Śląskiego Teatru  
Lalki i Aktora  
„Ateneum”



07.03.2014  
godz. 19.00

Spektakl teatru „Naumiony”  
pt. **Marika**

Muzeum Górnosląskie w Bytomiu  
ul. W. Korfańskiego 34

bilety: 15 zł

# CO U NAS - W MUZEUM ?

 **Muzeum  
Śląskie**



31.01–27.04.2014

**Odkrywanie tajemnic Majów. Polskie wykopaliska w Gwatemali**  
Wystawa fotograficzna autorstwa Roberta Słabońskiego



14.02–29.06.2014

**Wojna od frontu i od zaplecza**  
Ślązacy w latach 1914–1918

Przeżył ją przed sławą i wojny, w czasie niej i po niej – w sposób żmudny, wyśledkowy i niełatwy. Zmienił się.



20.02–04.05.2014

**Jean-Louis Cerisier. Malarstwo**

Twórca jest jednym z najciekawszych współczesnych malarzy sztuki i interaktywnej w Francji.

Muzeum Śląskie w Katowicach  
ul. W. Korfańskiego 34, 41-200 Katowice  
tel. 32 774 44 00 / fax 32 774 99 87  
e-mail: zenska@muzeumslaskie.wf.pl  
www.muzeumslaskie.wf.pl



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego

Muzeum Śląskie w Katowicach, ul. W. Korfańskiego  
14, Jury Demarsa, Województwo Śląskie  
wzrost: 170 cm, waga: 60 kg, kolor włosów: ciemny  
Kolor: ciemny, wzrost: 170 cm

www.muzeumslaskie.wf.pl